

APATYA
INDYWIDUALNA I ZBIOROWA.

Wszystkim, a przynajmniéj bardzo wielu znany jest stan umysłu cechujący się bezwładnością woli, przytępieniem energii, zobojętnieniem uczucia. Człowiek w tym stanie porusza się jeszcze, ale zaledwie; wygląda jakby machina, w któréj paliwo już dogorywa i za chwilę staną wszystkie tryby i kółka. Stanowi takiemu w człowieku dają nazwę apatyi, depresyi, paraliżu woli itp. Usposobienie podobne napada ludzi zarówno pospolitych jak i niepospolitych. Słyszymy nieraz zwyczajnych robotników, skarżących się na takie moralne obezwładnienie, z którego nie umieją sobie zdać sprawy; w życiorysach znów i autobiografiach wybitniejszych osobistości czytamy skargi na apatyą, jaka ich trapiła całemi miesiącami, pozbawiając bystrości i jasności sądu, energii do czynu, wrażliwości na otaczające zjawiska. Po dłuższym lub krótszym czasie energia i chęć do życia, do czynu, znów wracały, ciągnęli daléj rozpoczęte przedtém roboty, odzyskiwali dawny humor. Gdy sobie pragnęli późniéj zdać sprawę z téj apatycznéj fazy życia, nie mogli wynaleść źródła ani w sobie ani obok siebie; wzywani lekarze także nie umieli wskazać przyczyny, chociaż byli przekonani, że bez przyczyny nic się nie dzieje, i że apatya musiała być wynikiem jakiegoś zakłócenia czynności fizyologicznych organizmu, może jakiegoś niepowodzenia w interesach, zawiedzionych nadziei, obrażonéj miłości własnéj itp. Bądź-co-bądź, czytelnik nie będzie wymagał dłuższego określania apatyi, jako stanu dość często spotykanego wśród znajomych, lub doświadczanego na sobie. Jednakże nim z nami zechce iść daléj, zatrzymamy go chwilę nad apatyą stoików, która nieco inaczéj wyglądała aniżeli ta pospolita, o jakiéj mówimy.

Otóż mędrcy ci, poszukując najwyższego szczęścia, zalecali swoim zwolennikom krótką maksymę, prowadzącą do niego: znoś i wstrzymuj się, *sustine et abstine*. Znoś wiele a wiele, i wstrzymuj się od wiela a wiela, jeżeli chcesz używać tego olimpijskiego spokoju, jakim się napawają nieśmiertelni. Na Olimpie bywały wprawdzie intrygi, czasami szpetne kłótnie i spokój ów był tylko poetyczną figurą; niemniéj jednak stoicy zalecali skończonemu mędrcowi spokój zwany *apatheia*, zkąd téż poszła i spolszczona apatya, tylko już w innym sensie. Za naszą apatyę żaden stoik nie dałby obola, a cóż dopiero, żeby ją miał za cechę skończonego mędrca! Przeciwnie, stoicy nie uciekali się do budyjskiéj kontemplacyi, brali udział w sprawach publicznych, a przez apatyą chcieli w swoich wyrobić ten hart duszy, który nie pozwala zginać karku i niezmrużoném okiem patrzy w oblicze śmierci. Więc téż ta apatya stoików przydała się wielu dzielnym ludziom, jak o tém świadczy stary Tacyt, opisując dzieje Rzymu z pierwszego wieku naszéj ery. Na takie czasy, jak owe, trzeba było w istocie stalowych charakterów, ażeby wytrzymać. Kwitła tedy apatya stoicka jako jedyne lekarstwo przeciw znikczemnieniu ludzi i ze starym światem przepadła. Przypomnieliśmy o niéj tylko gwoli antykwarskiemu nawyknieniu, żeby okazać, jak to z latami zmieniają się pojęcia przywiązywane do wyrazów: apatya dzisiejsza i apatya stoicka, toż-to antypody!

Dzięki zdolności umysłu naszego do upatrywania podobieństw nietylko między rzeczami, lecz i między stosunkami tych rzeczy, upowszechniło się porównywanie człowieka ze społeczeństwem i przenoszenie cech charakteryzujących jednostkę na ogół ludzki. Ztąd-to poszło, że w naukach społecznych i politycznych dowody, czerpane ze stanu indywiduum, zaczęto stosować do zbiorowiska ludzkiego i jak życie organiczne jednostki, tak i rozmaite jego fazy przeniesiono na społeczeństwo. Słyszymy zatém rozumujących o organizmie jednostkowym i zbiorowym, o ruchliwości indywidualnéj i ogólnéj, o apatyi człowieka i społeczeństwa. Upodobnianie takie dwóch rzeczy bardzo różnych, porównywanie dwóch wielkości tak odmiennych, stosowanie wniosków wyciągnionych z sytuacyi jednostki, do ciala tak złożonego jak społeczeństwo, prowadziło i prowadzi do najfałszywszych następstw. Tak właśnie ma się rzecz i z apatyą indywidualną, przeniesioną na ogół. Póki pamiętamy, że to tylko podobieństwo dość luźne, że co słusznie daje się stosować do jednostki, nigdy nie może być rozciągane do tysięcy i milionów, że to tylko analogia lub metafora; póty nie można nic powiedzieć przeciw nazywaniu stanu pewnego społeczeństwa w danéj chwili apatycznym. Uważana za dowód, metafora prowadzi niechybnie do

fałszywych wniosków. Zastrzeżenie to, czynione nieraz, powtórzyliśmy tutaj dlatego, że na czele postawiono obok siebie apatyą indywidualną i zbiorową niejako dwa stany identyczne, gdy tymczasem są one tylko nieco do siebie podobne. O téj różnicy czytelnik zechce pamiętać, a piszący będzie się starał przypominać ją w odpowiedniém miejscu.

Co się tyczy apatyi indywidualnéj, nie owéj stoickiéj, ale pospolitéj, spotykanéj często, daje ona pole do uwag dla psychologa, moralisty i lekarza. To, co o niéj powiedziano na początku, wystarczy. Tutaj zaś chcemy roztrząsnąć pytanie, czy w istocie społeczeństwo nasze doknięte zostało takim bezwładem woli, jaki mu przypisują obcy i swoi, a jeżeli tak jest, zkąd to poszło i jakie przeciw chorobie lekarstwo.

Niejeden prawdopodobnie z czytelników naszych słyszał i czytał uskarżanie się na apatyą społeczeństwa, które umié tylko narzekać, ale do przeciwdziałania nie ma woli; że go już nic nie interesuje oprócz teatru; że codziennie snuje projekta, do których wykonania, gdyby były nawet wykonalne, niezdolne jest ruszyć ani ręką, ani nogą, i tylko językiem żwawo rusza, by się zdawało, że coś robi. Jest w tych oskarżeniach wistocie dużo prawdy, chociaż nie jest-to ściśle biorąc apatya, ani téż tylko nam właściwa niemoc. Jak się na tę niemoc zapatrywać a od apatyi bronić, jeszcze pomówimy.

Niektórzy z jaśniéj widzących i głębiéj odczuwających to zsuwanie się społeczeństwa coraz niżéj, probowali i probują środków kaustycznych, palących, naturalnie tylko słownych, przypuszczając, że jak prąd galwaniczny, słowo ich zdoła obudzić społeczeństwo z tego letargu. Dotychczas jednak skutków nie widać; zahypnotyzowany nie chce się zbudzić, dmuchania w twarz nie pomagają. Sam on się zahypnotyzował i gryząc surowe kartofle, wierzy, iż jé pomarańcze.

Zauważmy najprzód, iż lubo w spotykanych twierdzeniach, zarzucających społeczeństwu apatyą i dobrowolny hypnotyzm, jest wiele prawdy, ale bynajmniéj nie cała prawda. Apatya, dotykająca indywidua, może jedynie przenośnie stosować się do ogółu; ściśle biorąc, społeczeństwo nie może zapaść w torpor czy letarg; ono żyje, pracuje mniéj lub więcéj pokaźnie, rozwija się, czasami się cofa; ta regresya bywa dłuższą lub krótszą, ale ruch nigdy w niém nie zamiera. Dla patrzących powierzchownie brak wielkich, głośnych czynów jest dowodem konania społeczeństwa. Tymczasem czyny drobne spełniane w skupieniu umysłu, dokonywane w domu i zą domem, na tych polach, jakie są dostępne, stanowią o istocie bytu

społeczeństwa. Są one kapitałem powolnie gromadzonym, który narasta przez pokolenia i przynosi niezawodne odsetki tym, którzy czekają nie z założonemi rękoma. Przejęcie się tą prawdą ocala indywidua i społeczeństwa bliskie bankructwa; tylko, że zrozumienie jéj bywa nadzwyczaj trudne, szczególniéj dla umysłów gorączkowych, dla wyobraźni zbyt bujnych, które gdy myślą o długiéj, mozolnéj drodze regeneracyi, tracą wiarę w siebie i zapadają w apatyą. Kto jednak podgrzewa lampą owoc, ażeby prędzéj dojrzał, albo regeneracyi spodziewa się od cudu, ten oczywiście zawiedzie się w nadziei i swoją apatyą zarazi innych. Zrozumienie pewnika, iż mesyaszem zbawiającym rozczarowanych jest praca około domu, rodziny, nauki, że stanowi nieodzowny warunek bytu,—zrozumienie tych elementarnych prawd, równa się ocknieniu zahypnotyzowanych. Stara to prawda, stare jak świat narzędzie, ale niezużyte i jedynie skuteczne. Praca milionów rąk uczyniła ludy tém, czém są dzisiaj; żaden mistrz polityczny, żaden wojownik choćby najszczęśliwszy nie potrafi z próżnego nalać, z piasku wznieść piramidy. Taki proces dziejowy odbywa się lat tysiące z pewną fatalnością; ani człowiek, ani naród ostać się nie zdołają bez ciągłéj, energicznéj pracy około zachowania swojego bytu. Jeżeli tego w czas nie zrozumieją, los ich nauczy i zmusi do rachowania się z tém żelaznem prawem: *ducunt volentem fata, nolentem trahunt;* kto nie chce z dobréj woli, będzie robił z musu. Jeżeli zaś sobie powiedzą, jak ów wyrostek matce: „i kaszy jeść nie chcę i po wodę nie pójdę“— mogą być pewni, że im manna i przepiórki z nieba nie spadną.

Jakże się z tego punktu widzenia przedstawia nasze społeczeństwo? jaki jego bilans pod koniec roku? Takiego bilansu, ile tyle ścisłego, niktby ułożyć nie zdołał wprost dla braku danych. To, co za pośrednictwem dzienników dochodzi do wiadomości publicznéj, gdyby nawet było ścisłe, nie daje podstawy dość szerokiéj do oparcia wniosku. Powtóre, żadna statystyka nie mieści w sobie drobnych prac i zabiegów ludzkich, lubo to pewna, że gdy miliony rąk pracują energicznie, suma dóbr osiągniętych da znać o sobie w poważnych przedsiębiorstwach, nie mówiąc już nic o podniesionéj skali życia. Oceniając tą miarą pracowitość naszą, można z niejaką słusznością zarzucać społeczeństwu apatyą. Gdy się zakłada jakaś fabryczka grzebieni lub firanek, gdy powstaje jakiś zakład do klejenia pudełek, lub wyrobu zabawek dziecinnych, gazety przez parę tygodni donoszą o tym wzroście naszego przemysłu; potém, za miesiąc, przypuszczając, że publiczność już zapomniała o nowości, znów ją stylizują troszeczkę odmienniéj i ku zbudowaniu czytelnika ogłaszają. Nie czytaliśmy jednak, żeby który z dzien-

ników zadał sobie pracę zsumowania porzuconych projektów, zawiązujących się a niezawiązanych spółek; byłby to bardzo niepochlebny obraz naszéj wytrwałości. Przeszkody, mówią projektodawcy, są niesłychane; trzeba chodzić, kłaniać się, prosić tygodnie i miesiące zanim się coś wykołacze. Tak to bywa naprawdę; formalistyka może odstręczyć niejednego; ale to nie stanowi usprawiedliwienia. Formalistyka istnieje wszędzie w państwach nowożytnych; w jedném miejscu jest jéj więcéj, w drugiém mniéj i jakoś ludzie, gdy chcą mocno i nie żałują fatygi, swojego dopną. Pod tym względem nasz sangwiniczny temperament dużo nam szkodzi. Ruszamy się żwawo, zwłaszcza biadając, ale wytrwać przy pomyślanéj idei przez 24 godzin rzadki z nas potrafi. Nie jest to wcale cecha apatyi, lecz niewyrobionego charakteru, szybko układanych, ale nieprzetrawionych projektów.

Na temat chwiejności naszéj możnaby dużo powiedzieć; wszakże nie do inkwizycyi nas powołano i zresztą już inni pomalowali nas czarno, może zbyt czarno. Strzegąc się jednak pesymizmu w charakterystyce społeczeństwa, nie można zamilczéć, że chociaż pracujemy pod grozą głodowéj śmierci, przecież pracujemy z a m a ł o i n i e d b a l e. Mowa tu oczywiście o masie ludności, nie o wyjątkach; po fabrykach bowiem, w karności i pod rygorem niemal wojskowym, dzieje się inaczéj. Tam ludzie pracują tak, jak i na Zachodzie, po 12—16 godzin na dobę i wyroby ich nie bardzo ustępują zagranicznym. Zato, gdzie brak takiego rygoru, jak po mniejszych warsztatach i w domowych zatrudnieniach, lenistwo jest kolosalne, a robota licha. Kto zna ludność rolniczą, stanowiącą przynajmniéj $^5/_7$ ogółu zaludnienia, pracującą może ze 4 miesiące w ciągu roku na polu, w ogrodzie, stodole, a marnującą resztę roku w prawdziwéj apatyi, ten nie będzie się dziwił naszemu ubóstwu. Były wprawdzie dobre chęci ze strony klasy oświeceńszéj podniesienia przemysłu włościańskiego, któryby ręce wolne od pracy rolnéj zatrudnił i dobrobytu przysporzył; ale usiłowania te, jak pokazała niedawno wystawa w Warszawie, bardzo niewiele jeszcze osiągnęły. Patrząc na niektóre okazy, zdawało nam się, że mamy przed sobą wyroby Kamczadalów, takie to jeszcze niezdarne. Jest-to pole dla prawdziwych miłośników ludu wiejskiego nadzwyczaj rozległe a zapuszczone odłogiem; urodziłyby się na niém wprawdzie nie filozofia chłopska, ale sukno, płótno, sprzęty domowe lepsze i piękniejsze niż dotychczasowe, jeżeli tylko na polu mogą się rodzić sukmany, stoły, stołki, garnki i tym podobne niefilozoficzne rzeczy. Tymczasem, gdy téj pomocy i opieki zaniedbano, wzrastający prze-

mysł wielki wyruguje zawiązki włościańskiego i przymnoży proletaryatu, którego i tak już podobno na milion liczą.

I rzemieślnik nasz pracuje mało i źle; zwykle ta warstwa ludności pracuje 3 dni w tygodniu, a przez drugie 3 przepija zarobek; następnie żąda ceł protekcyjnych, skarżąc się na zabijanie rękodzieł miejscowych przez konkurencyą zagraniczną. Co się tyczy strony technicznéj i estetycznéj wyrobów rękodzielniczych, stoją one w porównaniu z zagranicznemi, w wielu gałęziach produkcyi, znacznie niżéj, są mniéj trwałe, a często zupełnie partackie. Gdy się z rzemieślnikiem o téj niższości rozmawia, słyszy się ciągle od dawnych lat jedno i to samo: brak kapitału, lub brak kredytu; zaledwie roztropniejszy pojmuje, że winą tego stanu jest nie sam brak kredytu, ale także brak szkoły fachowéj, a nadewszystko brak solidności w robocie, słowności w terminie. Majster wini czeladź i w wielu razach słusznie; czeladź skarży się na majstra, że wyzyskuje pracę i mało płaci. Jest-to od wieków powtarzający się lament, a złe jak było, tak jest, bo lamentami nigdy jeszcze nie dźwignęło się ani rzemiosło, ani rolnictwo. Jeżeli w czém, to właśnie w tém biadaniu naszém przejawia się apatya, przerażająca myślących ludzi. Miliony słów bardzo wymownych i rozumnych nadrukowały dzienniki, wzywając do zakładania szkół fachowych, tworzenia wzorowych warsztatów, ażeby podźwignąć rzemiosła, a jednak zaledwie kilka ech na te głosy odpowiedziało.

Jak w produkcyi materyalnéj tak i w umysłowéj pracy, nie można powiedzieć, żebyśmy byli apatyczni; przeciwnie i na tém polu jesteśmy aż nadto ruchliwi, tylko, że ruch ten odbywa się przeważnie w jednym kierunku, w kierunku fantazyi. Jeżeli bowiem przejrzymy katalogi wychodzących nowości literackich i artystycznych, przekonamy się, że lubo plon jest nieobfity, jednakże najwięcéj produkujemy romansów oryginalnych i tłómaczonych. Jeżeli zapytamy księgarzy, jaki gatunek utworów jest najbardziéj poszukiwany, odpowiedzą nam, że romanse, szczególniéj świeże, gdyby można realistyczne, a do tego Zoli et Comp. Bo to, proszę pana, po francusku to i skandal jest przyjemniejszy, a zresztą *naturalia non sunt turpia*, rzeczy naturalne nie są szpetne, wszystko niech będzie *au naturel*, bez żadnych idealistycznych kondymentów. Zapytajmy po czytelniach, na jakie książki najwięcéj jest abonentów? Na romanse, byle świeże, a nie nudne, nie moralizujące, przecież to nie dla klasztoru.

Czém znów sfery tak zwane inteligentne najwięcéj się zajmują po romansach? — muzyką, teatrem, kartami, bilardem i balami. Jakoż, jesteśmy dopiéro w końcu października, a już słychać o „aranżowaniu“ całego szeregu koncertów i balów; bal wioślarzy, bal su-

biektów, bal panieński, bal dziadów powązkowskich, bal dziadów brudnowskich; kościarki zwane siódemkami także bal wyprawiały onego czasu, póki ich nie obłożono podatkiem. Okazuje się, że tylko jeden fiskus mógłby powściągnąć ten animusz do tańca, odziedziczony widocznie po tancerzach z Tatarami. Niechajże teraz pessymiści zarzucają nam apatyą; my konając jeszcze sobie zaśpiewamy: „albo my to jacy tacy, jacy tacy“. To nie jest wcale apatya, to pełnia życia, nadmiar sił żywotnych. Niech tam Żydy i Niemcy szachrują, niech skaczą około złotego cielca, niech się zmateryalizują; ty Polaku będziesz się agitował około łóz bilardowych, w stanie natury, *au naturel*, bez żadnych osłon, nawet i liści figowych.

Więc jakiż nasz bilans? Kilkanaście tysięcy hektarów ziemi straconych na kresach, to na *minus*, a na *plus* znak zapytania. I to nie dowodzi wcale apatyi, bo przecież trzeba się ruszać i nawet spocić, nim się wydepcze zezwolenie na przyjęcie oferty, nim bank sprawdzi tytuły własności, nim notaryusze ostatecznie dokonają układu.

Obiecywałem czytelnikowi nie malować naszego społeczeństwa czarno, a tu wyszło z pod pióra coś bardzo niepochlebnego. Rzeczywiście, barwy jaśniejsze lepiéj usposabiają widza; po co i na co poruszać żółć, skoro jéj ulać nie można? Może diagnoza objawów przytoczonych wyżéj nie bardzo jest ścisła, może przez okopcone patrzymy okulary; dlatego dajmy już pokój satyrze, a poszukajmy przyczyn tego stanu, który jedni nazywają apatyą a drudzy nadmiarem życia i fantazyi.

Etiologia objawów społecznych jest nauką trudną, niemasz bowiem zjawisk bardziéj złożonych nad społeczne; jeżeli zatém pogląd nasz będzie niezbyt ścisły, powinien znaleść pobłażanie u tych, co lepiéj znają rzeczy. Za punkt wyjścia posłuży nam porównanie, które z natury swojéj słabym jest dowodem.

Apatya następuje w człowieku po wyczerpaniu sił organicznych, gdy ich zbyt pośpiesznie używano; po długiéj, przymusowéj bezczynności, gdy niejako zanikły; po zawiedzionych nadziejach, gdy były zbyt wysoko napięte; po chorobach dotykających systemat nerwowy; nareszcie, w idyotyzmie przyrodzonym lub nabytym. Może to nie wszystkie źródła apatyi indywidualnéj; lekarz zapewne by miał dużo do zarzucenia téj etiologii: wszakże profana nie będzie bardzo winił.

Teraz porównanie. Jak w człowieku tak i w społeczeństwie może zachodzić wyczerpanie sił materyalnych przez nieprodukcyjne ich użycie, przez bezczynność przymusową i dobrowolną całych

warstw; przez zawiedzione nadzieje, zawieszone na obłokach, fantazyą podparte. Gdyby po takich zawodach nie nastąpiło rozczarowanie i apatya, musiałaby inną być natura ludzka, niż ją znamy, zwłaszcza koło siebie; albo musieliby ludzie mieć więcéj hartu i tego szlachetnego zapału, którego zawody nie ostudzają. Otóż, bohaterowie i święci należą wszędzie do wyjątków; reszta, to średniaki, którzy popychają swoje taczki ze spuszczoną głową. Jeżeli ich ogarnia apatya i zaledwie głód do roboty znagla, nikt znający naturę ludzką nie będzie na nich kamieniem rzucał.

Ale, przypominamy, że to tylko porównanie, które gdyby nawet zupełnie odpowiadało obecnemu położeniu, jeszczeby nie powinno prowadzić do zwątpienia. Jak człowiek dotknięty apatyą, rozczarowany, bezsilny żyć jednak musi, a więc ruszać się, dźwigać z odrętwienia; tak tém bardziéj społeczeństwo musi znaleść w sobie energią do dalszego rozwoju. Masa ludzka nie wyczerpuje się tak prędko jak jednostki; nowe pokolenia przynoszą z sobą nowe, świeże siły; doznane klęski, rozczarowania, nie giną w niepamięci; starsi przypominają je młodszym; budzi się wiara w możność poprawy ku lepszemu; pierzchają majaki, ludzie zaczynają znów pracować i przekonywają się, że jeszcze żyć mogą. Byle chcieli pracować.

Czy to jedyne lekarstwo na apatyą? A gdyby tak legion aniołów i anielic, jak mawiali romantycy, możeby się podjęli roboty, mybyśmy tymczasem pisali ody na ich pochwałę. Niestety, po zniesieniu pańszczyzny musimy sami rękawy zawinąć i nadrastającemu pokoleniu jedną ręką podawać chléb, a drugą pochodnię oświaty.

K.





STOSUNKI HANDLOWE GALICYI

Z CESARSTWEM NIEMIECKIEM.

Galicya jest przeważnie krajem rolniczym, prawie zupełnie pozbawionym wielkiego przemysłu. Ten ostatni reprezentują jedna cukrownia, dwie papiernie, kilka młynów parowych, browarów, gorzelni i tartaków, zakłady hutnicze arcyksięcia Albrechta, oraz dobywanie i rafinerya nafty. Do takiego stanu doprowadziło Galicyą niefortunne położenie geograficzne, pozbawione dogodnych komunikacyi lądowych i wodnych i biurokracya austryacka, która, w ciągu prawie stu lat rządów centralistycznych, starała się wszelkiemi sposobami przeszkodzić rozwojowi przemysłu galicyjskiego, ażeby tą drogą dopomódz wzrostowi przemysłu w sąsiednich prowincyach monarchii austryackiéj, mianowicie na Morawach i w Czechach. Wskutek, zatém niesprzyjających okoliczności politycznych i geograficznych odbyt Galicyi ogranicza się do wywozu płodów rolniczych i leśnych, których głównym odbiorcą i nabywcą do czasów ostatnich były Niemcy. Na wywóz do tego państwa wpłynęły bardzo niekorzystnie w czasach ostatnich: najprzód cła niemieckie z 1879 r., następnie znaczne ich podwyższenie od 1-go lipca 1885 r., dalej zamknięcie granicy niemieckiéj dla bydła galicyjskiego, nakoniec niepomyślne zmiany w taryfach kolejowych niemieckich. Wszystkie te okoliczności, razem wzięte, zmniejszyły ogromnie wywóz galicyjski przez granicę niemiecką.

Prof. T. Pilat ze Lwowa zadał sobie pracę obliczenia handlu Galicyi z Niemcami, w celu wykazania zmian, jakim ten handel uległ w ostatnich latach, i rezultaty swych poszukiwań ogłosił w dwóch pracach, jednéj niemieckiéj i drugiéj polskiéj. Rozprawa niemiecka została wydrukowana w austryackiéj *Statistische Monat-*

schrift pod tytułem: *Die Statistik der Güterbewegung auf Eisenbahnen und deren neuste Fortschritte in Deutschland* (Wiedeń, 1887). Polską pracę autora znajdujemy w *Wiadomościach statystycznych o stosunkach krajowych, wydanych przez krajowe biuro statystyczne* (T. X. Zeszyt 1, Lwów. 1887). p. t. „Handel Galicyi i Bukowiny, tudzież innych krajów Austryackich z Cesarstwem Niemieckiém w 1885 roku.“

Do prac wyżéj wymienionych nie mogły posłużyć autorowi tablice statystyki cłowéj austryackiéj, albowiem obejmują one cały obszar cłowy austro-węgierski wraz z Bośnią i Hercegowiną. Tylko rząd węgierski umożebnił statystykę specyalną handlową krajów korony węgierskiéj przez zaprowadzenie małéj opłaty statystycznéj od wszelkich towarów przesyłanych przez granicę państwa w jakimkolwiek kierunku, nawet w stosunkach z austryacką połową monarchii. Dla pozostałych części monarchii Habsburgów podają wykazy cłowe tylko granicę, przez którą towary wysłane zostały, lub przez którą przybyły do monarchii.

Również niedokładną jest austryacka statystyka kolejowa, w któréj każda przesyłka przewieziona przez więcéj niż jedną koléj liczoną bywa tyle razy, ile kolei ją przewiozło.

Daleko lepszą jest niemiecka statystyka ruchu towarów na kolejach, zaprowadzona przez pruskie ministeryum robót publicznych w roku 1883 (1). Dla dania dokładnego obrazu ruchu towarowego podzielono Niemcy na 36 okręgów handlowych, prócz których utworzono jeszcze 15 okręgów handlowych zagranicznych. Wszystkie rodzaje towarów rozsegregowano na 85 kategoryi, a ilości ich podawane są na wagę w tonach, opuszczając przesyłki, ważące mniéj niż 500 kilogramów (1½ tony).

Pod koniec roku 1885 należało do związku statystycznego 65 przedsiębiorstw kolejowych tak, że tylko 9 małych dróg prywatnych nie przyjęło udziału w statystyce ruchu towarowego Niemiec. Do okręgów handlowych zagranicznych zaliczano pod N. 50 Rosyą bez Polski, pod N. 51 Kr. Polskie, pod N. 52 Galicyą, Bukowinę i Mołdawią, pod N. 53 Węgry, Wołoszczyznę, Serbią, Bulgaryą i resztę krajów bałkańskich; pod N. 54 Czechy, pod N. 55 inne kraje austryackie.

Dyrekcya ruchu kolei Czerniowieckiéj ułatwiła autorowi wyłączenie ruchu towarowego pomiędzy Niemcami a Mołdawią tak, że

---

(1) Statistik der Güterbewegung auf deutschen Eisenbahnen, nach Verkehrbezirken geordnet, herausgegeben vom k. preuss. Ministerium der öffentlichen Arbeiten. Berlin C. Heymann's Verlag.

mógł obliczyć oddzielnie ruch towarowy z Niemcami: Galicyi i Bukowiny razem wziętych wskutek niemożności ich oddzielenia, dalej Czech i nakoniec innych krajów austryackich. Nie zostały zaś wcale uwzględnione posyłki pocztowe, posyłki mniéj niż 500 kilo ważące i ruch na drogach wodnych.

Ruch towarowy pomiędzy Galicyą i Bukowiną z jednéj a Niemcami z drugiéj strony wynosił razem w przywozie i wywozie w roku 1885-m 414.372 tony, t. j. nie całe 7% obrotu ogólnego krajów austryackich; w r. 1886 — 398.559,5 ton. Cały obrót handlowy Przedlitawii z Niemcami za wyłączeniem bydła, obliczono w r. 1885 na 6.161.176.5 ton i w 1886 na 6.415.778 ton. Z Galicyi i Bukowiny wysłano do Niemiec w r. 1886-m 187.174,5 ton, otrzymano zaś ztamtąd 211.385 t. Różnica na korzyść przywozu wynosi 24.210,5 ton; przewyżka ta w 1885 r. była mniejszą, mianowicie 4.632 tony. Widzimy zatém, że udział Galicyi i Bukowiny w handlu z Niemcami jest stosunkowo nieznaczny; daleko większym jest udział Czech, na które przypada blisko ²/₃ części całego obrotu i innych krajów austryackich z 29% sumy ogólnéj.

Najgłówniejszemi artykułami przewozu kolejowego pomiędzy Galicyą i Bukowiną a Niemcami były następujące:

	w r. 1885		w r. 1886	
Wywieziono do Niemiec:				
zboża, włączając kukurudzę, nasiona strączkowe, olejne i in.	101.592	—	48.842,5	ton;
drzewa	44.386,5	—	63.106	„
mąki i wyrobów młynarskich . . .	10.234,5	—	10.209,5	„
nawozów.	10.116	—	11.542	„
innych towarów	22.949,5	—	33.961,5	„
Otrzymano z Niemiec:				
węgla kamiennego i koksu	166.229	—	173.022	„
cementu	12.508	—	14.073,5	„
żelaza, wyrobów żelaznych i metalow.	8.571	—	4.100	„
cynku . . . . , ...	5.172	—	4.623	„

Z powyższego zestawienia widzimy, że wywóz płodów rolniczych, wskutek podwyższenia ceł niemieckich, zmniejszył się więcéj, niż o połowę i prócz tego, kiedy w r. 1885 wynosił 27,83% ogólnego wywozu płodów rolniczych z krajów austryackich, w r. 1886 dosięgnął tylko 16,30%. Wogóle z krajów austryackich wywóz ten zmniejszył się z 364.971,5 ton w r. 1885 do 299.570,5 ton w roku następnym. Zmniejszenie to więc jest mniéj znaczne, niż dla Galicyi i Bukowiny. Uderza nadto ta okoliczność, że pomimo iż Galicya i Bukowina mają wybitną cechę krajów rolniczych, jednak ich wywóz do sąsiednich Niemiec jest mniejszy, niż krajów trzeciéj grupy

złożonéj z Moraw, Szląska i krajów alpejskich i nadmorskich, które wysłały do Niemiec płodów rolniczych w r. 1885-m 162.767,5 ton, t. j. 44,60% sumy ogólnéj, a w r. 1886-m 152.015 ton, t. j. 50,75%. Nawet Czechy wysłały w 1886 więcéj, niż Galicya z Bukowiną, a mianowicie 98.713 ton, t. j. 32,95%.

Zmniejszenie wywozu z Galicyi i Bukowiny dotknęło poszczególne płody rolnicze w rozmiarach następujących:

		w r. 1885		w r. 1886	
wywieziono	pszenicy	48.020,5	—	16.034	ton
„	żyta	18.025,5	—	7.823	„
„	owsa	9.162	—	3.321,5	„
„	jęczmienia	1.646	—	830,5	„
„	siemienia lnianego .	6,818	—	4.455	„

Jęczmienia wysłano do Niemiec ze wszystkich krajów austryackich w r. 1885-m 119.065 ton, w 1886 — 97.800, z których to ilości ogólnych przypada na Czechy 46.800,5 i 46.668,5 ton a na inne kraje austryackie 70.618,5 i 50,301 ton.

Z powodu zamknięcia granicy niemieckiéj wywóz zwierząt domowych z Galicyi i Bukowiny ustał zupełnie, wywieziono tylko w r. 1885-m 1261 koni, w 1886 — 1410; nierogacizny w r. 1885-m 847, w 1886 — 2255 sztuk.

Czasowe, ale często powtarzające się zakazy przywozu owiec i nierogacizny do Niemiec przez granicę galicyjską, motywowane względami weterynaryjno-policyjnemi, zamknęły prawie zupełnie tę gałąź wywozu dla Galicyi i Bukowiny, pomimo że ona dla innych krain austryackich ma jeszcze pewne znaczenie. I tak wywieziono owiec z Austryi do Niemiec w r. 1885-m 26.344 sztuki, w 1886—93, nierogacizny w r. 1885 — 31.346, w 1886 — 158.794 sztuki. Również znaczny był wywóz drobiu z Austryi do Niemiec, w roku 1885 — 202.468 i w 1886 — 188.981 sztuka, w czém Galicya i Bukowina żadnego nie miały udziału. Najznaczniejszym był wywóz z Czech, który wynosił w r. 1885-m 157.056 sztuk, w 1886—173.351 sztukę.

Dosyć znaczny jest wywóz z Galicyi i Bukowiny do Niemiec mąki i wyrobów młynarskich, których wysłano w roku 1885-m 10.234,5 ton, w 1886—10.209,5; kiedy ze wszystkich krajów austryackich wywieziono w r. 1885-m 19.512 ton, w 1886 — 22.118. Zmniejsza jednak znaczenie tego wywozu ta okoliczność, że do wyrobów młynarskich zaliczono otręby, których znaczne ilości wysyłają młyny parowe galicyjskie do Niemiec i które powinny by być spotrzebowane na miejscu.

Spirytusu i wódki w r. 1885 wcale z Galicyi i Bukowiny nie wywieziono; w 1886 tylko 9 ton; przyczyną tego braku wywozu były cła niemieckie i ceny tamtejsze. Z innych krajów austryackich wywieziono spirytusu do Niemiec w r. 1885-m 499,5 ton, w 1886—71 t.; przywieziono zaś z Niemiec pięć razy więcéj, mianowicie w r. 1885-m 2.620,5, w 1886 — 2.795,5 ton.

Ponieważ Galicya ma tylko jednę cukrownią (w Sędziszowie), przeto nie może produkować cukru na wywóz; wykazane zatém ilości wywiezionego z Galicyi i Bukowiny cukru w r. 1885 — 426 i w 1882 — 222 tony, okazały się cukrem rosyjskim, oddanym do przewozu na granicznéj stacyi galicyjskiéj. Cukier stanowi ważny artykuł wywozu tylko dla Czech, które wysłały do Niemiec w roku 1885-m 43.858 5, w 1886—45.774,5 ton.

Drzewo i wyroby z drzewa stanowią ważną część wywozu do Niemiec z Galicyi i Bukowiny, nawet pomimo podwyższenia ceł niemieckich od 1-go lipca 1885 r. Wywóz ten wyniósł w r. 1885-m 44.386,5 ton, t. j. 16,59% wywozu z Austryi, w 1886 — 63.106 ton. t. j. 26,42%. Wogóle jednak wywóz tych produktów z Austryi nieco się zmniejszył, wynosił bowiem w 1885 r. 267.576; w 1886 — 238.861 tonę. Niemcy nie mając drzewa odpowiedniego, muszą go sprowadzać z Austryi, przyjmując nawet na siebie część opłaconego cła. Zato przywóz drzewa z Niemiec do Galicyi i Bukowiny był bardzo mały i wynosił w roku 1885-m 187 ton, w 1886— 236,5 ton.

Węgiel kamienny stanowi dla Galicyi i Bukowiny główny przedmiot przywozu z Niemiec, a szczególniéj ze Szląska pruskiego i wynosił w roku 1885-m 166.229, w 1886 — 173.022 tony. Zmniejszył się obok tego przywóz do Galicyi i Bukowiny żelaza, towarów żelaznych, maszyn i t. p., który czynił w 1885 8.571, w 1886—4.100 ton i cynku, którego przywieziono w roku 1885-m 5.172, w 1886 — 4.623 tony. Wysłano zaś do Niemiec rud żelaznych i innych kruszcowych w r. 1885-m 4.662, w 1886—7.583,5 ton i cynku w 1885—1.126 i w 1886—1.423,5 ton.

Z liczby materyałów budowlanych powiększył się przywóz z Niemiec do Galicyi i Bukowiny cementu z 12.508 ton w 1885, do 14.073,5 w 1886 r.; do całéj Austryi przywieziono go w 1885 r. 42.792, w 1886 — 36.132,5 ton.

Z działu materyałów tkackich zasługuje na uwagę wywóz z Galicyi i Bukowiny lnu i konopi (w 1885 r. 741, w 1886—1.226 ton), oraz wełny (w 1885 roku 792,5, w 1886 — 1.358 ton). Jednak w ilościach ostatnich znajdują się znaczne partye wełny rosyjskiéj, którą oddano w Galicyi na koléj, z przeznaczeniem do Niemiec.

Przywóz tkanin gotowych, płócien, towarów bławatnych, sukien i t. p. z Niemiec do Galicyi i Bukowiny wynosił w r. 1885 tylko 5,5 ton, w 1886 — 189. Jest to dowodem, że Galicya i Bukowina zaopatrują się w wyroby tkackie tak samo, jak w inne wyroby przemysłowe, prawie wyłącznie z innych krajów korony austryackiéj.

Przywóz towarów kolonialnych zmienił swój dawniejszy kierunek wskutek taryfy celnéj austro-węgierskiéj z d. 25-go maja 1882 r., nakładającéj znacznie niższe cła na przedmioty przywożone bezpośrednio morzem. Wskutek téj różnicy cła dowóz do Austryi zwrócił się na Tryest i Fiume (Rjekę) i zaniechane zostały porty północno-niemieckie: Hamburga, Altony, Bremy i inne. Pozostał z całego tego działu tylko znaczniejszych rozmiarów przywóz do Galicyi i Bukowiny z Niemiec śledzi i innych ryb (w 1885 r. 3.262, w 1886—3.679 ton) i ryżu (w 1885 roku 1.649,5, w 1886—1.213,5 ton). Są to przedmioty spożycia codziennego ubogiéj ludności, z powodu ich taniości. Ponieważ cło od ryb surowych wynosi 1 złr. od cent. metr., od ryb suszonych, solonych lub przyprawionych od 5 do 15 złr., przeto powstała w Tarnowie fabryka t. z. rosyjskich sardynek, która sprowadza rybki morskie w stanie surowym, tylko bez głowy i przysposabia je dla spożycia. Za same ryby zapłaciły Galicya i Bukowina Niemcom—podług obliczeń autora—koło 978.600 złr., które zostałyby w kraju, gdyby hodowla ryb była tam staranniejszą. Wina wywieziono do Niemiec z Galicyi i Bukowiny w r. 1885-m 62,5, w 1886—119,5 ton. Wywóz ten spowodowany został pośrednictwem handlowém firm kupieckich krakowskich i Nowego Sącza, wysyłających wina węgierskie do Niemiec.

Z materyałów i wyrobów chemicznych znaczną rubrykę eksportu stanowią nawozy, których wysłano z Austryi do Niemiec w r. 1885-m 18.303, w 1886—19.318 ton; otrzymano zaś ztamtąd w r. 1885-m 14.803, w 1886—20.878,5 ton. Z ilości powyższych przypada najwięcéj na Galicyą i Bukowinę, które wysłały w 1885 r. 10.116, w 1886 — 11.542 ton. Jednak na ostatnie cyfry złożyły się prawie wyłącznie fosforyty z Podola rosyjskiego, które w roku 1885 przez długi czas leżały na składach na stacyach granicznych galicyjskich, zanim je wysłano do Niemiec.

Pomyłką w regestrowaniu tłómaczy autor wykazany wywóz z Galicyi i Bukowiny do Niemiec w 1885 r. 121 ton drzewa farbierskiego, albowiem w r. 1886 znika on zupełnie, wtedy, kiedy przywóz tego drzewa z Niemiec wynosił w 1885 r. 2,5, w 1886 — 13,5 ton.

W tenże sposób tłómaczyć należy wywóz do Niemiec z Galicyi i Bukowiny 218 ton szkła w r. 1885 i 160 w 1886. Znany jest bowiem niski stan hut szklannych galicyjskich.

Bardzo ujemne znaczenie ekonomiczne ma wywóz szmat do fabrykacyi papieru, których wywieziono z Galicyi i Bukowiny do Niemiec w r. 1885-m 710,5, w 1886 — 620 ton, i wywóz makuchów olejnych w 1885 r. 707,5, w 1886 — 812,5 ton. Wywóz ten daje świadectwo, że tak cennych materyałów nie umieją zużytkować we własnéj produkcyi.

Żałować bardzo należy, że znaczną rubrykę stanowią „inne nieoznaczone towary“, których wywieziono do Niemiec z Galicyi i Bukowiny w 1885r roku 22.949,5, w 1886 — 33.961,5 ton. Można było z ilości powyższych wydzielić choć kilka najznaczniejszych kategoryi towarów.

Ponieważ dla handlu Galicyi najważniejszemi są wywóz zboża i nasion, a następnie drzewa, przeto prof. Pilat starał się wyszczególnić, w jakie strony Niemiec idą transporty towarów powyższych. Okazało się, że najznaczniejszym odbiorcą zboża z Galicyi i Bukowiny w 1885 roku było Królestwo Saskie, które otrzymało $^3/_4$ całego wywozu pszenicy z Galicyi i Bukowiny do Niemiec. Po Saksonii następują: Szląsk pruski, zwłaszcza nadgraniczny obwód regencyi Opolskiéj, następnie Bawarya. Towar wysyłany z Galicyi i Bukowiny musi unikać kolei niemieckich, a zwłaszcza pruskich, które w interesie własnéj krajowéj produkcyi nie przyznają ulg zagranicznym towarom. Przy téj sposobności wyraża autor życzenie, żeby zarządy kolei austryackich trzymały się podobnéj polityki. Największe ilości wysyłanego do Niemiec drzewa idą do regencyi Opolskiéj, na Szląsku pruskim, która zabiera prawie cały wywóz drzewa opałowego i podkładów kolejowych.

W dalszym ciągu podaje autor tablicę przewozu przez Niemcy towarów do dalszych krajów i z dalszych krajów przez Niemcy do Austryi drogami żelaznemi w r. 1885. Obrót kolejowy przez Niemcy jest daleko mniejszy, niż obrót w bezpośrednim stosunku z Niemcami. W roku 1885 wysłano przez Niemcy do innych państw 192.432 tony, z których przypada na Galicyą i Bukowinę 10.455, na Czechy 109.334 a na inne kraje austr. 72.643 tony. Przywieziono zaś przez Niemcy z innych państw wszystkiego 142.231,5 ton, z których otrzymały Galicya z Bukowiną tylko 564, Czechy 61.680 i inne kraje austryackie 79.987,5 ton.

Z Galicyi i Bukowiny wysłano najwięcéj przez Niemcy zboża i nasion (3.501,5 ton), z których przypada na pszenicę

1842,5; na siemię lniane 519,5; na tytuń 340 ton. Otrzymano zaś przez Niemcy 160 ton kartofli, przeważnie z pogranicznych okolic Kr. Polskiego, przesłanych przez Szląsk pruski do Galicyi. Następnie znacznym był wywóz z Galicyi i Bukowiny przez Niemcy drzewa 2.172,5 i smarów, asfatu i żywicy 1982,5 ton. Zwierząt domowych nie otrzymano ani wysłano przez Niemcy, to samo można powiedzieć o nafcie i innych olejach mineralnych. Dowóz nafty amerykańskiéj ustał zupełnie wobec konkurencyi nafty kaukaskiéj, produkcya zaś galieyjska jeszcze zbyt mało rozwinięta, żeby mogła myśléć, przy danych warunkach transportowych i cłowych, o wywozie do Niemiec, albo przez Niemcy na zachód.

Dla uzupełnienia obrazu stosunków handlowych Austryi z Niemcami, należałoby jeszcze zużytkować obrót towarowy na drogach wodnych, ale statystyka ruchu towarowego na tych drogach, zarówno austryacka jak i niemiecka, mało jest rozwinięta i jéj rubryki nie odpowiadają kategoryom przyjętym przez statystykę kolejową niemiecką. Najznaczniejszym jest ruch przewozowy na Elbie i Dunaju. W roku 1885 wywieziono Elbą do Niemiec 1.473.820 ton, otrzymano stamtąd 171.667 ton. Główne artykuły wywozu Elby były:

węgla kamiennego i brunatnego . . .	1.200.919	ton
cukru, melasy i syropu	77.538	„
zboża i nasion	60.500	„
kamieni i wyrobów kamiennych	54.752	„

Przewóz towarów na Dunaju był daleko mniejszy, niż na Elbie, wynosił bowiem w r. 1885 do Niemiec 95.894 ton, główne artykuły były:

zboża	56.110	ton
mąki	13.268	„
drzewa	9.630	„
owoców	8.232	„

Z Niemiec przywieziono Dunajem do Austryi 69.331 ton.

Dla Galicyi ma jedynie znaczenie przewóz na Przemszy, wpadającéj z lewéj strony do Wisły. Przewieziono po niéj mianowicie węgla kamiennego z granicznych kopalni szląskich w 1885 r. 64.061 ton do Galicyi.

Jako uzupełnienie wyżéj przytoczonych danych statystycznych, zebranych przez prof. Pilata, mogą służyć wiadomości, podane przez p. Szczepanowskiego w ostatniéj jego pracy o Galicyi. P. S. w dziele: „Nędza Galicyi w cyfrach“ (Lwów, 1888), starał się obliczyć w przybliżeniu wartość przywozu i wywozu galicyjskiego. Po-

dane przez niego liczby odnoszą się do 1869 i 1883 roku tj. ostatniego przed otwarciem kolei transwersalnéj. W zestawieniu tém nie wyróżnił autor pochodzenia towarów przywożonych do Galicyi ani krajów, do których zostały z niéj wysłane.

	w 1869 r.		w 1883 r.
Wywóz z Galicyi wynosił . .	36 mil.	—	85 mil. złr.
Przywóz do Galicyi „ . . .	27 „	—	83 „ „

W okresie zatém uwzględnionym zarówno wywóz jak i przywóz towarów do Galicyi powiększył się prawie w trójnasób.

Główne przedmioty wywozu z Galicyi w 1883 r. były podług ich wartości:		Główne przedmioty przywozu do Galicyi w 1883 r. były podług ich wartości:	
zboże i rośliny strączkowe	24.000.000 złr.	towary bławatne . . .	36.000.000 złr
mąka i mlewo	2.250.000 „	„ skórzane	12.800.000 „
nierogacizna	10.000.000 „	cukier	3.000.000 „
owce	7.250.000 „	wino	1.450.000 „
bydło rogate	7.200.000 „	żelazo i wyroby żelazne . .	14.000.000 „
mięso	2.900.000 „	machiny i narzędzia . . .	3.300.000 „
jaja	7.000.000 „	oliwa i tłuszcze	1.000.000 „
masło i smalec	7.000.000 „	likiery	1.000.000 „
wełna	7.000.000 „	mydło i świece	1.100.000 „
nafta i wosk ziemny . . .	3.500.000 „	śledzie	400.000 „
drzewo	2.000.000 „	kawa	540.000 „
pierze	2.000.000 „	towary korzenne	500.000 „
len i konople	1.500.000 „	ryż	450.000 „
spirytus	1.400.000 „	porcelana i szkło	750.000 „
skóry	1.350.000 „	papier	750.000 „
szmaty	700.000 „	wegiel	500.000 „
i t. d.		i t. d.	

Z powyższego okazuje się, że prawie ⅚ całego przywozu do Galicyi stanowią dwie rubryki tj. żelazo i machiny z jednéj strony, w ilości przeszło 17 milionów, a tkaniny i towary bławatne i skórzane z drugiéj strony w ilości blisko 50 milionów.

Witold Załęski.



TRZY EPIGRAMATA KOCHANOWSKIEGO.

W roku 1564 dokonano dzieła ważnego dla rozwoju humanizmu w Polsce: z drukarni Daubmana w Królewcu ukazał się pierwszy łacińsko-polski słownik, „*opus antehac non visum*“ (1). Autor, Jan Miączyński, człowiek wszechstronnie wykształcony, wielki bywalec i zręczny dworak, najpierw ksiądz, potém dyssydent, posiadał wielu przyjaciół w gronie ludzi miłujących naukę, którzy bez względu na to do jakiego obozu religijnego należeli, pośpieszyli w pochwalnych epigramatach a nawet dłuższych wierszach łacińskich i polskich złożyć hołd mrówczéj pracy i powitać nowe dzieło. Utwory te poświęcone są autorowi lub jego mecenasom Radziwiłłom. Z obozu protestanckiego znajdujemy tu Andrzeja Trzycieskiego (2), Jakóba Lubelczyka (3) i Weigla (4), z katolików uczonego Hiszpana Roizyusza (5), J. D. Solikowskiego późniejszego arcybiskupa lwowskiego, wreszcie Jana Kochanowskiego, podówczas sekretarza królewskiego, którego trzy epigramata umieszczono na samém czele, niby na honorowém miejscu. Pomijając innych autorów, zajmiemy się jedynie tym ostatnim.

---

(1) Lexicon latino-polonicum ex optimis latinae linguae scriptoribus concinnatum a Joanne Mączinsky equite Polono Interprete, opus antehac non visum etc. Regiomonti 1564, fol., 32, 515, 2,

(2) Znany biograf Reja.

(3) Wydawca pierwszego kancyonalu polskiego.

(4) Zapewne Walentyn Weigel, mistyk protestancki (1533—1588), Niemiec.

(5) Piotr Ruiz de Moros, dawniéj prof. prawa w Krakowie, podówczas kanonik wileński.

Joannis Kochanovii Secretarii Regii in Dictionnarium Joannis Mączyński.

Accisis Italum rebus Romaque subacta
Cum Patrium fugeret lingua latina solum
Exul Sarmaticis ultro consedit in oris:
Ut sane illam huius non piget hospicii
Huic datus interpres Mączinius utpote clarus
Aeque Romano ac Sarmatico eloquio (1).

Alíud eiusdem.

Żebyś do Skoly nie po wszytko chodził
Ale sam czasem drugiemu pogodził
Wielką mieć pomoc s tych Kxiąg gościu będziesz
Gdy nad Łacińskim Językiem usiędziesz:
Nie bądźcie hardzi swym Żakom Mistrzowie
Wszystko tu naidzie, co wy macie w głowie.

Alíud eiusdem.

Jako wszystki narody Rzimowi służyły
Póki mu dostawało y mocy y siely:
Także tesz skoro mu się powinęła noga
Ze wszystkiego nań świata uderziła trwoga.
Fortunniejszy był ięzyk bo ten wszytkim miły
Tak zawzdy trwalszy owoc dowcipu nisz siły.

Ostatni epigram znajdujemy już w pierwszém wydaniu „Fraszek“ (1584) na str. 75 pod tytułem „O Rzymie“; ma on tu dwa drobne waryanty, mianowicie w drugim wierszu czytamy „y szczęścia y siły“ a w piątym „y dziś miły“, oraz zmieniono we Fraszkach pisownię słowa „wszystek“ na „wszytek“. Być może, że nie był on pisany umyślnie dla Miączyńskiego, gdyż nie odnosi się tak bezpośrednio do jego dzieła, jak dwa pierwsze epigramata; prawdopodobnie oddawna przeznaczony był do fraszek. Drugi z powyżéj przytoczonych polskich wierszy umieścił p. Löwenfeld w swojém dziełku o Kochanowskim (2), dodając, że nie ma go w żadném zbiorowém wydaniu. Ale dziwna rzecz, dlaczego w takim razie nie przytoczył łacińskiego epigramatu, którego także nie ma w żadném wydaniu, zwłaszcza że wspomniane dziełko traktuje właśnie o łacińskich utworach poety. Pragnąc uzupełnić notatkę p. Löwenfelda, podaję obecnie ów niedrukowany w żadném wydaniu epigra-

(1) Dosłowny przekład: Po upadku państwa Italskiego i zdobyciu Rzymu, gdy język łaciński porzucił ziemię ojczystą, spoczął jako wygnaniec na wybrzeżu dalekiéj Sarmacyi. Lecz nie jest dlań przykrém to schronienie, dano mu za tłómacza Miączyńskiego, zarówno sławnego z łacińskiego jak i z polskiego wysłowienia się.

(2) Löwenfeld, Johann Kochanowski und seine lateinischen Dichtungen, Posen, 1877, (III Anhang, s. 152). Przedrukowany jest ten epigramat w wydaniu pomnikowém Dzieł Kochanowskiego, tom II, str. 399.

mat łaciński, rad, że choć tym drobnym wierszykiem wydobytym z dotychczasowego ukrycia, przyczynię się do pomnożenia spuścizny literackiéj Kochanowskiego. A że o całéj sprawie rozpisałem się może cokolwiek obszerniéj, niżby należało, niech mię usprawiedliwi ta okoliczność, że słownik Miączyńskiego jest rzadkością bibliograficzną a umieszczenie w nim wierszy Kochanowskiego dodaje nowy szczegół do ocenienia jego stanowiska literackiego i stosunku do innych znakomitości współczesnych.

Henryk Kopia.

We Lwowie, w październiku 1888.





ZŁY DUCH.

OBRAZEK.

(Dokończenie).

Maksym zaciął się; w chałupie całemi wieczorami siedział, fajkę pykając. Nudno mu było! Przywykł już przez lat wiele długie wieczory u Szmula, albo w któréjkolwick chacie z sąsiadami spędzać, przywykł, że czekano na niego z kwartą piwa, że słuchano go w milczeniu, ile razy przemówił, lubił przytém posłuchać co inni mówili.... Teraz siedział jak wilk sam jeden, w ciemnawéj izbie! Stary chrapał na piecu, Franka nie było, głupi Piotrek jak tylko misę kaszy wyjadł, szedł spać do bydła; żonka spracowana, ociężała, drzémała pod piecem, machinalnie szepcąc pacierze.

Jedna tylko Ewka czuwała wytrwale przez cały wieczór! Przędła kądziel pod lampką, koło okienka; niezręcznie, powoli snuła nitkę, spoglądając z ukosa na Maksyma. Siedział za stołem, z głową na ręku opartą; w czystéj koszuli, spiętéj pod szyją zielonym, szklanym guzikiem; rumiany, z białém czołem, z niebieskiemi oczami, z wąsami jak len jasnemi, wyglądał jeszcze dość młodo i ładnie; mało to ją obchodziło, nudziła się więc i żeby zamiast mądrego, przystojnego chłopa, wilk za stołem siedział, zérkałaby i na wilka.

Nie zwracał na nią uwagi, wiedział, że była zła, leniwa, rozhukana, jak prawie każda bezdomna przybłęda; z początku zły był w duszy, że ją do chaty przyjęli, wstydził się jéj przed ludźmi, sam kazał żonie, żeby ją przybrała z większego w całą koszulę i nową czystą spódnicę. Podczas samotnych wieczorów, kazał jéj parę razy ognia do fajki podać. Zrywała się z ławy, w dwóch susach była przy kominie, wygrzebawszy żar z popiołu, przynosiła gore-

jący węgiel, przerzucając go z ręki do ręki. Kładł węgiel na fajkę, ona stała przy nim milcząca, uśmiéchnięta, spoglądała siwemi oczami to w twarz, to na fajkę. Oswoił się z nią, przywykł do téj jedynéj duszy, czuwającéj w pośród głuchego chrapania, mieszającego się z szelestem prusaków na ścianach, z urywanym brzękiem świerszcza pod piecem. Kiedy raz, wziąwszy kądziel, chciała iść na wieczorynkę do sąsiedniéj chaty.

— Po co? — ofuknął — nie dziewczyna przecie?... sołdatka! mąż w cudzéj stronie, sam jeden, nie trzeba tu bez niego wesołości szukać!

Był przekonany, że pilnuje cnoty i moralności; weseléj zrobiło mu się na duszy, gdy Ewka od drzwi wróciła i znowu usiadła pod oknem na ławie. Przemawiał do niéj coraz częściéj, ale zawsze jakby z niechęcią, z musu, nie podnosząc oczu; pomimo to widział jéj twarz szczupłą, czarniawą, siwe oczy i ten uśmiéch bezczelny, drgający jakiś. Spluwał ze złością; w dyabła dawno nie wierzył, czuł jednak, że w téj chudéj przybłędzie siedzi zło wszelkie, zebrane po ciemnych brudnych kątach podczas włóczęgi wśród różnych ludzi! Nie wierzył jéj na jeden szeląg, ale litował się czasami, żal go brał, widząc jak spała skurczona na kupie worków w kącie, koło ich tapczana, przykryta spódnicą, wyglądała mała, szczupła jak dziecko; drżała przez sen, bo z pod przegniłych węgłów chłód przenikał, jak niegdyś w spróchniałéj izbie przy kuźni! Latem w odrynie sypiała, potém do izby przeszła; przy mężu nie poniewierałaby się po kątach. Maksym widział, że dzieje się krzywda samotnéj kobiécie; nic nie mówiąc, nazajutrz wniósł stare łóżko ze świérna, na którém Maksymowa ustawiła zaraz dzieżę z chlebem, zostawiając trochę miejsca na siennik Ewki.

— Na co jéj to?— mówiła w najlepszéj wierze—nie przywykła ona, nieboraczka, cały swój wiek po kątach sypiała! Niech pamięta, że z próżnemi rękami przyszła, niech uczy się pokory i za swoję dolę Bogu dziękuje.

Żonka miała słuszność; z innéj chaty wyprawiliby nawet taką ubogą przybłędę, teraz gdy mąż do wojska poszedł, niechby służyła przez zimę; oni tego nie zrobią, ale zato pilnować muszą... z pod rąk rwie jadło wszelkie, jeszcze z chaty wynosić zacznie.... Dzika koza! do żadnéj baby w wiosce niepodobna! Raz przez sień przechodząc, chciał ją z drogi usunąć, ręką do pleców dotknął; myślała, że ją obejmuje, trąciła go łokciem w piersi, aż do ściany odskoczył! Złajał ją, na dwór wypędził i drzwi zamknął; przed żonką jednak nie wspomniał, bo wogóle nie lubił bez potrzeby gadać z babami, dla Ewki złagodniał ostatecznie.

— Przybłęda, prawda, ale już do chaty należy, trzeba jak swoję uważać— mówił do żonki — a to jeszcze ucieknie i szukaj wiatru w polu!

Naprawdę bał się, żeby nie uciekła; ile razy ujrzał ją samę w polu, albo nad brzegiem, stawał i przyglądał się jéj zdaleka. Wśród pustéj, szaréj przestrzeni wyglądała jak podrastająca dzieweczka; mógłby ją wziąć na ręce i do chaty zanieść, takie to było chude i szczupłe! Ale silna!

— Hm, głupia! co jéj do głowy przyszło! — rozmyślał, uśmiechając się pod wąsem — ażeby tak... kiedy... naprawdę?... kto wié!

Każdego razu, jak przechodziła koło niego, zdawało mu się, że go zaczepi... Czasami brwi ściągał, a czasem tylko czekał. Szła daléj swoją drogą, niespokojna, ruchliwa jak zwykle, on wracał do chaty jakiś zły, ociężały; krzyczał na żonkę, że w piecu pali bez miary; w dusznéj izbie wytrzymać trudno! zrzucał kożuch, rozpinał koszulę, siedział za stołem markotny, a potém ni z tego ni z owego dodawał, że Ewka taka sama w chacie gospodyni jak ona, albo dziwił się ochrypłym głosem, że te przybłędy wszystkie takie są leniwe, niezdatne, na chléb nawet zarobić nie potrafią!

I tego dnia, gdy płot grodząc, ujrzał ją idącą od chaty, pewny był, że do niego przemówi. W polu nie widać nikogo, ludzie skryli się przed chłodnym deszczem, co mżył od rana; na drodze od lasu parę wozów łozy sunęło się zwolna jeden za drugim, baba, białą płachtą okryta, prowadziła pierwszego konia za uzdę; wjechali do wioski, i znowu na szerokiéj przestrzeni ani żywego ducha. Ewka stała nad brzegiem, wpatrzona w ciemną rzekę. Od kilku dni dręczył ją straszny niepokój; miejsca sobie znaleść nie mogła; latała po chatach, siadywała sama jedna na płotach, to znów wpadała do izby nachmurzona, z zaciśniętemi zębami, spoglądała badawczo po kątach! Chciała rzucić wszystko, chciała uciec z téj chaty przeklętéj gdzieś w świat... Andrzeja szukać! Bosa, bez przyodziewku, wstydziła się iść między ludzi, mogłaby wprawdzie Maksymowi kożuch schwycić, trochę szmat różnych porwałaby uciekając, pieniędzy tylko nie miała i siły jakoś nie miała! Przygnębili ją w téj chacie przeklętéj, pracą i głodem przymorzyli. Dawniéj trzech dni nie wytrzymałaby z temi wilkami, a teraz?... Żeby choć w swoję stronę, do téj wioski, gdzie niegdyś obdarta głodem marła, wałęsając się po rowach i zaroślach! Zacisnęła pięści, ogarnął ją żal, niecierpliwość dziwna, ot zaraz, w téjże chwili gotowa była biedz, lecieć choćby w to urwisko piaszczyste, jałowcem i olszniakiem porosłe, nad którém obok niéj Maksym płot grodził! Siekierę w kołek wbił, obejrzał się nieznacznie, podszedł i stanął nad brzegiem.

— Cóż ty tak stoisz na chłodzie — mruknął, patrząc na drugi brzeg lasem porosły.

— A cóż? w budzie waszéj mam ciągle siedziéć — odrzekła — czy ja wasz pies, czy sługa, że dzień i noc dobra waszego mam pilnować?...

Nigdy jeszcze nie odpowiadała mu tak hardo; zżymała się, podrzucała ramionami, o mało że się nie wiła jak żmija!

— Ot jaka! — pomyślał, kręcąc głową z zadowoleniem; odmłodniał trochę, orzeźwiał, jakby swą starą ociężałość zostawił przybitą do kołka siekierą.

— Nie pies ty, ani sługa, tylko bratowa.

Odszedł; do ust, do myśli cisnęło się wiele słów miłych, pieszczotliwych: ptaszynka... chudzieńka... taka biédna... siéroteńka... snuło się po głowie ni z tego ni zowego. Wstrzymał się jednak, głupstwa nie powiedział, ale i na dalszą rozmowę zdobyć się nie mógł; wodził wzrokiem po przeciwnym brzegu, jakby pierwszy raz w życiu tę okolicę widział. Ryże cielę wyszło z lasu, biegło brzegiem z wyciągniętą szyją.

— Czyje to? — spytała Ewka.

— Zbłąkane widać, może leśnika, a może z wioski — odrzekł stłumionym głosem.

— Zginie jeszcze!

— A może i zginie!.. Gotów był płynąć na drugą stronę, cielę złowić, do leśnika, czy choć do dyabła odprowadzić, byle tylko Ewka z nim jechała. Uśmiechnął się.

— Zła niby, a żywiołki żałujesz — rzekł, patrząc na nią łaskawie; ujął za rękę wyżéj łokcia. — Ty u nas potłuściała — dodał — przez zimę poprawisz się jeszcze lepiéj!

— Albo zdechnę z głodu! — zawołała rozjątrzona.

Język się rozwiązał, sypała słowami o biédzie swéj, o niedoli, mówiła zadyszana, sapiąca, to żałośnie, to ze złością wykrzykiwała, powtarzając stokrotnie, że ucieknie, nie wytrzyma, urwie się z téj chaty przeklętéj! On wciąż ją za rękę wyżéj łokcia trzymał, poruszając palcami od czasu do czasu, nie słuchał tam bardzo i nie bardzo rozumiał, wiedział tylko, że na głód skarży się, że odzież chciałaby miéć lepszą! Eh, czy to tam wielka rzecz taką szczyptę nakarmić i przyodziać!

— Cicho — szeptał — cicho!.. biédna ty, dalibóg, co prawda, to prawda! Cicho — pogłaskał ją po plecach — kupię tobie, zobaczysz, ot... poczekaj... tylko...

Kupił w istocie nowiutkie trzewiki w pierwszą niedzielę, sprawił granatowy kożuch, odzież różną kupował. Zdawało się, że nić

sknerstwa, krępująca dotąd jego duszę, zerwała się raptem! A tylko od czasu do czasu stara natura odzywała się w nim coraz słabiéj! Każda chustka, każda spódnica miała już być ostatnią, nie przysięgał, ale postanawiał, że więcéj nie kupi! Ewka na wszystko ramionami wzruszała. Same szmaty jéj dawał! Miała już pełną skrzynię odzieży różnéj, wstążek, paciorek, kolczyków i pierścionków, ale do włożenia nic nie miała! Chodziła jak dawniéj w płóciennéj brudnéj spódnicy, w czarnéj jak ziemia koszuli, bosa, wychodząc z izby, przykrywała się Maksymowéj kożuchem. I narzekała po dawniejszemu, tylko jeszcze żałośniéj, jeszcze natarczywiéj; on wciąż jedno powtarzał:

— Cicho, no, cicho! kupię, zobaczysz... poczekaj... trochę!

Z początku wstydził się swojéj słabości; zpochmurniał, zły był na siebie, codzień powtarzał w duszy, że to przejdzie, z chaty uciekał, z furmanką jeździł, między ludźmi zapominał o wszystkiém, jak tylko do chaty miał wracać, znowu głupia słabość ogarniała! Ruchliwa, czarniawa jaszczurka wiła mu się przed oczami jak żywa. Zaledwo przed wrota zajechał, była już przy wozie i skrzącemi oczami spoglądała na jego kieszenie, ręce w siano zasuwała, szukała, węszyła, gadając bez wypoczynku o żonce, o starym, o chacie, żywiołce, sąsiadach, czekała co jéj da, co przyniósł, podarek z rąk wyrywała i dopiéro rozejrzawszy gdzieś za gumnem, na strychu, albo w stajence, wracała zła jak furya do izby. Wszystko to było za mało! Żeby pełne wozy przyprowadził za sobą i wówczas jeszcze wzruszyłaby ramionami pogardliwie! Na chustki, fartuchy, spódnice patrzéć już nie chciała! Powoli płótno i sukno ze świérna wykradać jéj pozwolił; miała już kubeł pełny, skrzynię nową na strychu, wielką kłódką zamkniętą, codzień piekła sobie i smażyła co na myśl przyszło, pomimo to wyschła, zczerniała, oczy zrobiły się jeszcze większe, chciwość ją gryzła, strach dręczył; nieraz już chciała i kubeł i skrzynię w krzakach zakopać, dobro swoje ukryć przed ludźmi, przed samą sobą, i znowu zacząć do nowych kubłów nowe rzeczy składać. Maksym z pieniędzy żonki nie miał już ani grosza, przez zimę sprzedał Szmulowi dwie krowy i owce po jednéj sprzedawać zaczął.

— Karmu nie ma, pozdychają do wiosny!—krzyknął, gdy żonka owiec dawać nie chciała; dała w końcu, żeby tylko hałasu i ludzkich gawęd uniknąć!

— Karmu nie mamy!—powtarzała przed sąsiadkami, krzywiąc się jakoś dziwnie; łzy miała w oczach a próbowała uśmiéchać się przed ludźmi. Widziała, że giną! Od czasu jak Ewka codzień zaczęła jeść kiełbasy i jajecznicę, Maksymowa zwątpiła o miłosierdziu

bożem, do świérna chodzić przestała! Krzątała się po dawniejszemu, pracowała, nie wiedząc sama co robi! Bywały dni, w których zapominała podoić krowy, raz nawet zapomniała nakarmić wieprze.

— To już przed śmiercią! — szepnęła do siebie i przeżegnała się. — Matko boska! zlituj się nad nami! — powtarzała z głębokiém westchnieniem ze sto razy na dzień.

Chciała czasem inny pacierz zmówić—nie mogła, tylko te słowa wciąż miała na myśli i na języku: „Matko boska! zlituj się nad nami!“

A tu i dawniejsza słabość dokuczała coraz dotkliwiéj, wątroba znowu zaczęła serce naciskać! Dziwnéj téj choroby dostała po śmierci trojga młodszych dzieci! Felczer śmiał się wówczas, gdy mu o téj kombinacyi wspomniała; zamilkła, ale przy każdém zmartwieniu czuła, jak wątroba mocniéj lub słabiéj ugniatała serce! I teraz, jak tylko o zmroku, lub wieczorem, stojąc koło komina spojrzała z ukosa na Ewkę za stołem, wpatrzoną siwemi oczami w Maksyma, jak tylko zmiarkowała, że on chmurzy się niby, brwi ściąga, a coraz częściéj na nią patrzy, gada coś zcicha, albo na jéj szepty głową kiwa nieznacznie,—czuła na sercu wątrobę olbrzymią, ciężką jak kamień! Wybiegała przed wrota, tak jak stała przy kominie, w spódnicy tylko i w koszuli. Mróz ją przejmował, ręce, nogi krzepły, łzy spływały po twarzy...

— Matko boska!.. zlituj się... nad nami!— powtarzała bezmyślnie, łowiąc uchem śmiech Ewki, urywane, ochrypłe słowa Maksyma.

Gdy umilkli, wracała do izby, stawała przy kominie.... nie mogła tylko przypomniéć sobie, czy już soliła krupnik czy—nie? Kosztowała, ale i smaku jakoś złowić nie mogła; w uszach jéj wciąż brzęczał śmiéch, ochrypłe słowa, a w myślach wciąż jedno snuło się bez końca!

— Matko boska! zlituj się nad nami!

Dostatek topniał jak śniég na wiosnę, a ona nawet żałować swego dobra nie mogła! Patrzyła szklanemi oczami, nie rozumiała dokładnie czy to sen, czy prawda? Przy ludziach tylko mówiła z dawnym spokojem, że umyślnie Ewkę z mężem każdéj niedzieli do miasteczka wysyłała, żeby rozerwała się trochę w swoim smutku wdowieńskim! Pożyczała jéj swego kożucha, chustki czerwonéj z zielonéna w kraty, stała przed wrotami gdy na wóz siadali, śmiała się nawet do przejeżdżających sąsiadów! Maksym wracał podpiły; w kieszeniach siermięgi znajdowała pierniki, pachnące mydło w kolorowych papierkach, czasem pierścionek albo paciorki. Ewka przywoziła zawsze śledzie w sinéj bibule, cukier, obwarzanki, chowała pod siennik w łóżku i kładła się na tém w kłębek skurczona, zér-

kając z podełba błyszczącemi oczyma, uśmiechała się zadowolona z dnia, w którym zjadła i wypiła więcéj, niż dawniéj przez cały miesiąc. Układali się do snu, gasili światło. W ciszy nocnéj odrętwiała z żalu Maksymowa słyszała wyraźnie chrapanie starego i chłopców na piecu, Maksyma na ławie pod oknem... tylko Ewki oddechu podsłuchać nie mogła! Leżała jak bez duszy...

— Wiedźma ona może?... czy zły duch?...

Na myśl tę włosy powstawały na głowie, dreszcz przebiegał po grzbiecie.

— Matko boska! zlituj się nad nami! — szeptała w najwyższéj trwodze.

Wątroba, jak kamień grobowy, coraz dotkliwiéj uciskała serce!

Raz od wrót do chaty ledwo się przywlokła! Było to w wielkie święto, a choć słonko wiosenne dogrzewało już dobrze, Ewka wystroiła się we własny siwy kożuch, białą chustkę zawiązała na gładziutko przyczesanych włosach, korale, niebieskie i żółte paciorki zwieszały się pod kołnierzem cienkiéj, kramnéj koszuli. Uśmiéchała się, widząc, że jadący i idący, chłopcy i żonaci oglądają się na nią, żartują z Maksymowéj, radząc, żeby męża z nią do miasteczka nie puszczała! Umyślnie marudziła na wozie przed wrotami, zanim cała wioska nie przeszła! Odjechali nareszcie; Maksym patrzał w nią jak w obrazek! Maksymowa, wróciwszy do chaty, usiadła w sieni na progu, plecami do podwórka zwrócona, skurczyła się we dwoje, ręce skrzyżowała pod piersiami. Głodne kury otoczyły ją odrazu, dziobały po plecach, wchodziły do sieni, odzywając się żałośnie. W obórce ryczała krowa, najprzód jedna, potém druga, obie naraz odzywały się do słonka, co błyszczącemi smugami wciskało się do obórki przez szczeliny w ścianach, przez strzechę dziurawą. Maksym odjeżdżając mówił jéj, żeby w południe krowy trochę na pole puściła.... Pamiętała o tém, słyszała ich ryk żałośny, ale z miejsca ruszyć się nie mogła; osłabła, jakby naraz wszystkie jéj siły w ziemię weszły! Wiedziała, że człek powinien znosić wszystko cierpliwie, że każda dola od Boga sądzona, przytém wstyd jakiś niezwyciężony ogłuszał ją, oślepiał, nie tylko przed ludźmi, w chacie przed swoimi, ale sama przed sobą nawet, wyraźnie myśléć o całéj sprawie nie mogła....

— Odurzenie... grzech... kara boska! — powtarzała w duszy, usiłując o tém nie myśléć, zapomniéć, i zapomniałaby może, żeby nie ta wątroba na sercu!

— Na złe już przyszło! — szepnęła.

Słonko grzało w plecy, a w piersiach serce ciężkie, nabrzmiałe, aż urywało się z bólu. Kury dziobały jéj bose nogi, jedna prawie

do krwi ugryzła, pewno ta... czubata! najgorsza ze wszystkich, co nawet koguta bije! Nie spojrzała na nią, nie otwierała oczu, dysząc zwolna, czekała, kiedyż nareszcie udusi ją wątroba!

Wtém od łąki, między odrynką i płotem rozległ się tentent bosych nóg po zmarzłéj ziemi; rżenie, pyrchanie, śmiéch i krzyk obudził ja raptownie. To Stasiek i Adamek z rozwianemi czuprynami, zaczerwienieni od wiatru, pędzili jeden za drugim, podrzucając głowami jak rozbrykane konie.

— Matko, siana, owsa dajcie! — wołali zadyszani — jadła nie żałujcie, my konie, jedziem zdaleka! popasiem się, odpoczniem i znowu w drogę!

Spojrzała na nich przez ramię, stali przed drzwiami oblani słonkiem wiosennėm, zasapani, rumiani, z jasnemi główkami, podobni do siebie jak jeden! rżeli i śmieli się na przemian.

— My konie, matulu, dalibóg! Ja szymonowy a on tatuli — gadał Stasiek — mnie wilki téj zimy jedli....

— Nie, mnie wilki jedli, a ciebie złodzieje ukradli, tylo co tatulo dopędził i odebrał.

— Łżesz, mnie jedli, a ciebie kradli!.. bo ja tatuli.

Rzucili się na siebie, żeby praw swoich i tożsamości osoby pięściami dowieść. Matka rozbroiła ich w porę.

— Głupi, wy, głupi, a toż wy obydwa tatuli! — rzekła, pędząc ich do izby przed sobą — chodźcie, obroku i siana dam, odpocznie sobie przy żłobie!

W zadymionéj izbie jaśniéj się zrobiło od białych główek, rumianych twarzyczek; chłopcy rżeli przy misce krupniku, kopali nogami, aż stary podniósł się na piecu, wysunął szyję, patrzał na nich, trzęsąc siwą głową.

Wątroba usunęła się z serca Maksymowéj! Tylko w chwili, gdy uprzątając izbę, nachyliła się przy łóżku Ewki, żeby podnieść z ziemi brudną spódnicę i koszulę, domową skorupę kopciuszka, uczuła dotkliwe palenie w piersiach.

— Nie pójdziecie na poniewierkę, nie dam wam krzywdy zrobić, robaki wy moje — powtarzała z pośpiechem, pięścią oczy wycierając. — Wyrośniecie zdrowieńkie, ładnieńkie, dla was ja duszę w ciele zatrzymam!

I zatrzymała! Zdrowia nawet, sił nabrała jak cudem! W świérnie były pustki, z obórki znikło jeszcze dwie krowy, przez całe lato żyli zielskiem różnėm, na chléb żyta pożyczać musieli. Maksymowa jakby tego nie czuła; w chacie pracowała po dawniejszemu, codzień na zarobek szła, pieniędzy tylko swoich nie oddawała już nikomu! Stary osowiał, osłabł jakoś, nie pytał o nic, ogłuchł, czy tylko uda-

wał głuchego; pracował jeszcze, ale już wolę synom zostawił zupełną, na Maksyma nie patrzał, nie mówił z nim nigdy, do obórki, do świérnu zaglądać przestał; czasem tylko na Maksymowę szklane oczy podnosił; rozumieli się doskonale; parę razy nawet chciał jéj oddać swój skarb—wstrzymał się, na myśl tę palce krzepły, tracił władzę w rękach.

— Złodzieje i mór nas nawiedzili, dziadulu — mówiła do niego;—ale zdrowie zostało, nie zginiem.

— A ludzie co gadają?—pytał ochrypłym głosem, w ziemię wpatrzony.

— Nic nie gadają! Jeden Bóg tylko wié, które jabłko robak toczy!

W istocie nie wiele gadali, dziwili się tylko zkąd na Maksyma to „nieszczęście“ przyszło? Dawniéj wódki do gęby nie brał, teraz pił w święta, upijał się w dni powszednie; jak tylko zmierzchło, z pola wrócił, siermięgę na ramiona zarzucał, ze spuszczoną głową wlókł się do Szmula... Miarkę, drugą wychylił, skrzywił się jako po gorzkiém lekarstwie i nie przemówiwszy do nikogo, wracał do chaty, dłuższą drogą koło zarośli.

Pracował po dawniejszemu; tylko mówić przestał zupełnie; w święto, w niedzielę, jeżeli do miasteczka nie jechał, cały dzień siedział w obórce, na starym cebrze dnem do góry wywróconym; palił fajkę, przysłuchiwał się jak koń siano chrupał, czasem machnął ręką, muchy i bąki z grzbietu opędził; wdzięczny koń zwracał głowę ku niemu—patrzyli sobie w oczy spokojnie z ufnością, Maksym w ludzkie oczy tak patrzéć nie mógł. Z Ewką nie gadał, obrzydła mu już dawno! Czasem jednak, jakby z nałogu, jak pod wpływem nieprzepartéj siły, przywoził jéj z miasteczka pierniki, obwarzanki, cukierki groszowe; zostawały w kieszeni siermięgi, sam oddawać nie chiał, ona zaś, dawno już przestała wybiegać na jego spotkanie!

Teraz pełno jéj było wszędzie! Biegała po chatach od rana do nocy; tu dziecko pokołysze, tam schwyci ceber z zielskiem, świniom na podwórko wyniesie, pełła w ogrodach, doiła krowy, za krosnami czasem z pół dnia siedziała, byle tylko nie codzień w téj saméj chacie, byle przy śmiéchu i wesołości gotowa była nawet żąć parę godzin! Przypomniało się jéj dawniejsze życie, bez opieki, bez przymusu, jak ptak na swobodzie! Na noc tylko do chaty wracała, przekradając się za płotami żeby we wrotach Maksyma, Maksymowéj, albo starego nie spotkać. W fartuchu, za pazuchą niosła zwykle sér schwycony po drodze, kawał płótna, trochę nici, lub chociaż jajko, słoniny kawałek. Chwytała wszystko co mogła. Nad nią, jak groźne widmo, stawał czasem Franek! Wróci wkrótce, chatę

postawi i znowu ją do pracy zaprzęgnie, bić zacznie! Eh, może nie wróci! Na świecie giną czasami... i Andrzej nie wrócił, a obiecywał!... Poszłaby z nim choć na koniec świata; chaty, ziemi nie miał do roboty nie pędzałby tak, jak te woły przeklęte!

Parę razy Maksymowa wyrwała jéj z rąk ręcznik, kawał płótna, które schwyciła gdzieś z płotu, czy z łąki.

— Co ty robisz!—szeptała do niéj przed chatą w zmroku wieczornym, oglądając się czy ich kto nie słyszy i nie widzi,—za złodziejkę okrzyczą! w turmie zgnijesz! Już i tak na tobie nitki poczciwéj nie ma!

Ewka patrzyła na nią szeroko otwartemi oczami, na ustach drgał uśmiéch bezczelny.

— Nu, tak cóż?—podrzuciła ramionami po swojemu.

Maksymowę aż w sercu ukłuło ze zgrozy i oburzenia.

— W turmie zgnijesz!—powtórzyła.

— Eh, i tam ludzie żyją! A chata wasza to nie turma?

Maksymowa załamała ręce:

— Czy w tobie duszy nie ma? czy ty głupia, sama nie wiész co robisz, co gadasz? Dość już ty biédy narobiła... my przez ciebie dobytek stracili... dobro całe poszło bez śladu, jakby nigdy w chacie nie było!

— Bo to wasz taki dureń!—syknęła Ewka!—Nieraz ja jemu mówiła: nie sprzedawaj krowy Szmulowi za psie pieniądze, zarznij lepiéj, zjemy, to i stary i żonka pożywi się... wszystkim byłoby dosyć! Nie chciał! nie mogę, powiada, własnéj krowy zarznąć! Głupi! ludzie ludzi rzną, a on krowy zarznąć nie mógł!

— Co ty jemu dała, że on dla ciebie duszę zgubił... że on i dziś jeszcze jak nie swój chodzi... wódkę pije!...

— Pije? bo dureń! do siwych włosów dożył, a wódki nie kosztował! Teraz, jak zaczął pić, to dosyć nasmakować się nie może! Ot dla czego pije! Ja tam jemu nic nie dawała! I duszy nie zgubiła! Jaki był, taki jest, wół przeklęty! Pieniędzy, dobytku trochę zmarnował—za to pożył! Przy śmierci będzie miał co wspominać! Chłop, bogaty niby, kapuściane liście palił! Splunęła; podrzuciła ramionami! Na tytoń żałował! Nauczyła ja rozumu! Za to jak upił się, powtarzał nie raz: „Ewka, póki ja ciebie nie znał, to i dobra żadnego nie znał!“ Tfu! aż wstyd, że teraz baby chłopów rozumu uczą! Na trzeźwo tego nie mówił! wiedział, że chłopu wstyd durniem być! A chciał jeszcze, żeby go na s t a r s z y n ę wybrali!

Zaśmiała się, wzruszyła ramionami, wyciągnęła rękę po skradzione płótno.

— Oddajcie! Do turmy za to nie wezmą! Dziś żebraczka włóczyła się po wiosce, żyd z kramem przejeżdżał, to i schwycili! Nie bójcie się, wiem ja kiedy można! Więcéj ja w życiu złapała, niż wy zarobili.

Maksymowa odsunęła jéj rękę, płótno mocno pod pachą trzymała; odezwać się tylko nie mogła. Słowa Ewki duch w piersiach stłumiły.

— Czy ty paciérz mówisz?—spytała w trwodze wielkiéj.

— A mówię! Myślicie może, że jak nie gospodarska córka to i paciérza nie umié. Schowajcie wy psu pod ogon wasze gospodarstwo! Ja tam i bez waszego dobra żyć potrafię.

Gadać dłużéj nie miała ochoty; poszła sobie wolnym krokiem ku wrotom; przechodząc, zérknęła na płótno pod pachą Maksymowéj.

— Biednyż ty Franku, biedny! A gdzież ty swoję doleńkę posiał, że takie ciernie, takie pokrzywy porosły!—szepnęła żałośnie Maksymowa.

Wyschła, postarzała przez te lat kilka, z czerstwéj baby, pozostała zżółkła staruszka; oczy od łez wyblakły, głos zaginął gdzieś w zapadłéj piersi! mówiła z cicha, szepcząc, zapracowywała się od świtu do nocy, w święta nawet, w niedzielę, pasała swoje dwie krowy po miedzach; w łatanéj koszuli, w staréj spódnicy, w wypłowiałéj chustce na głowie, wyglądała jak najuboższa kątnica! Ale za to w obórce znowu było ośm owiec, rosło dwie ciełuszki a krowy, choć stare, najtłuściejsze były z całéj wioski!

— Połowę dobytku trzeba będzie Frankowi oddać,—rzekł raz do niéj Maksym, gdy siedzieli obok siebie na przyzbie. Milczała; serce krwią opłynęło, nawet najcichszym głosem przemówić nie mogła.

— Po starym kilka groszy zostanie... Niech bierze, żeby krzywdy nie miał!

— Ale naszym synkom krzywda będzie!—szepnęła i pożałowała słów swoich. Maksym schylił się we dwoje, brwi ściągnął, patrzał w ziemię.

Przebaczyła mu dawno, że trochę zgłupiał na starość. Na prawdę nigdy za siebie do niego żalu nie miała; żałowała go dla niego samego. Zmarniał, zubożał, z pierwszego gospodarza w wiosce skurczył się w staréj chałupie, zeszedł na ostatniego; sam to czuł, choć nigdy o tém nie mówił! Widziała, jak raz wyjął ze skrzyni czarną kamizelkę i spodnie, rozglądał przed oknem, głową kiwał. Jéj łzy w oczach stanęły—wyszła z izby: pomyślałby może, że ona mu tych kilku kropel wódki codziennéj żałuje? Któż wié?

może to i prawda, że jak raz skosztował, to już swoję miarę wypić musi!

— To i oddamy,—rzekła,—niech mu na pożytek idzie. Jak nasza chata oczyści się, może lepiéj będzie!

— Lepiéj będzie,—powtórzył.—Ha, tak już było sądzono!—dodał po namyśle.

— Franka szkoda!

— Czemu? Eh, żonka ona może lepsza od innych! byle pracować chciała! Z rąk nic nie wypuści, wszystko do chaty garnie. Niech głupi za nią wstydzi się, ona wié, jak żyć na świecie! Na swojém może i pracować będzie!

— Nie będzie! Wiedźma, święconéj ziemi boi się! Niech ją piorun spali. Bodaj ona wskroś ziemi poszła! Taka przeklęta! Na mszę dam, krzyżem leżéć będę, kiedy ją czort raz z naszéj chaty porwie!

Maksym został, odszedł zwolna przez podwórko ku łące; w niéj serce zamarło—może do Szmula? Wyciągnęła szyję—czekała ze stłumionym oddechem, w prawo czy lewo pójdzie? W lewo! tam przy płocie chłopcy psa do kałamaszki zaprzęgali, popatrzał, pogadał i obudwóch do lasu zabrał; poszedł miedzą przez żyto... Chłopcy biegli zanim. Maksymowa własnym oczom nie wierzyła!.. Wśród zielonego żyta widziała plecy męża, za nim dwie jasne główki chłopców, do lasu szli, a jéj się wciąż zdawało że powoli w prawo do Szmula zwracają! W las weszli!

Trzecią już niedzielę w chacie siedział, trzeci tydzień do karczmy nie zaglądał.

— Nie grzéch, ale hardość duszę jego zgubiła! Na świecie różnie bywa! pijaki, rozbójniki, bezwstydniki żyją, a nikt im powietrza, ani słonka bożego nie żałuje! Ludzie przywykają do nich, bo wiedzą, że oni już tak na świat przyszli, taka im dola sądzona! A on, sokolik, chciał być najpierwszy, taki akuratny, spokojny sobie... Zgrzeszył, a teraz pamięć wódką zaléwa! Rozmyślała, krzątając się koło wieczerzy.

Co chwila nos i oczy fartuchem ocierała, a w głowie aż wrzało od myśli różnych! Chciałaby go załagodzić, uspokoić, duszę by oddała temu mężowi marnotrawnemu! Postanowiła usmażyć jajecznicę i cały udój mléka uparzyć do kaszy! Wieczerzę da wcześnie, zanim ta „wiedźma“ z miasteczka przyleci! Pastwiła się nad nią jak mogła, garnki i miski po jadle psom lizać dawała, żeby ani kropli jednéj „téj“ nie dać.

— Niech jé tam, gdzie pracuje!—powtarzała dla uspokojenia swéj duszy.

Ginęło też w wiosce wszystko, kury, jaja, séry, masło, chléb ktoś z pod rąk chwytał! Czatowali na złodzieja wszyscy: baby, dzieci, parobcy i Ewka! Stroiła się teraz; kramne swoje spódnice, koszule, chustki nosiła, do dworu czasem do lżejszéj roboty szła, w wiosce babom dzieci niańczyć pomagała; prawie do każdéj chaty co dzień wślizgała się w różnéj porze, strzelała na wszystkie strony siwemi oczyma, pomagała niby Maksymowéj;—ale gdzie kto przysiadł. z choroby, czy ze zmęczenia, i ona przysiadała na płocie, przed wrotami, na przyzbach, byle tylko na słońcu! Wyciągała bose nogi, prostowała ręce, ziewała!

— Oto *łom*! mówiły o niéj baby; przezorniejsze podéjrzewały ją o kradzież, żadna jednak na uczynku złowić nie mogła; gadały o tém przed Maksymową.

— Grzéch wam sierotą poniewiérać! Nikt jéj za rękę nie złowił—mówiła niby oburzona.—Niech ją tam na sztuki rozerwą, jak w swojéj chacie będzie!—dodawała w duszy;—dość już i tak... wszystkiego... Jeszcze złodziejowi okrywę!

Czekali Franka wszyscy. Maksym, chodząc po polu, zawczasu miarkował jakie zagony jemu odda, gdzie chałupę postawią; stary czekał go ze śmiercią; Maksymowa, codzień, z rana, w południe, pod wieczór wybiegała przed wrota, w prawo w lewo patrzała, chociaż do wioski jedna tylko droga wiodła. Zdawało się jéj, że czuje na własnych plecach bolesne uderzenia, jakiemi Franek żonkę powita—aż drżała z zadowolenia! Za złodziejstwo, za szelmostwo, za hultajstwo, za wszystko on jéj zapłaci! Czorta z niéj wypędzi, albo zabije! Może i kij porządny z sobą przyniesie?

Ewka tylko uszami strzygła, nadsłuchując gdzie jaki żołnierz wrócił, miarkowała coś w duszy, a że przed nią chaty jakoś zamykać zaczęli, pilnowali jéj trochę—schwyciła czubatą kurę Maksymowéj i na kilka dni znikła. Wróciła zczerniała, w zabłoconéj spódnicy, w chusteczce zsuniętéj z głowy na plecy; rozczochrana, z zabłoconemi nogami skurczyła się na przyzbie, kolana rękami objęła, siedziała tak nasrożona dzień cały; za pazuchą miała jeszcze piernik i parę obwarzanków, ale o głodzie zapomniała jakoś! W swoje strony biegała, do dworu, gdzie wraz z Andrzejem służyła dawniéj... Myślała, że się dowie coś o nim, że spotka go może. Nikt o nim nie słyszał, nikt go na oczy nie widział: we dworze wszyscy parobcy nowi, gadać z nią nie chcieli. Z ekonomową tylko pogadała trochę, dzieciom obwarzanków przyniosła; przyszła niby dzieci odwiédzić. z tęsknoty, z dobrego serca. Kłamała, że teraz jest gospodynią w bogatéj chacie, w dostatku żyje, sługę ma.. dzieci tylko mrą jedno po drugiém! Siwe oczy łzami zaszły, gdy o tém mówiła, wiedziała już.

że Andrzeja nie ma, że znowu do chaty przeklętéj wrócić musi, złość i niepokój gryzły za serce; płakała tedy nad urojonemi dziećmi, nos i oczy ocierając czerwoną chusteczką, w któréj obwarzanki przyniosła! Ekonomowa rozczulona, dała jéj na drogę kawał suchéj bułki i odgotowanéj słoniny; Ewka jedno i drugie psom dworskim rzuciła, od czasu jak zamieszkała w wiosce, rozwinęła znacznie smak i upodobania. Wolała mrzéć głodem, niż łamać zęby na byle jakiém jadle. Siedząc na przyzbie, ciągle o Andrzeju myślała... obiecał że wróci... że ją zabije... i tego zabije czyją żonką będzie! Niech by teraz wrócił! Nie zrobiłby jéj nic złego... A tego szelmę niechby zabił!.. Po co ją za żonkę brał? Po co jéj dolę i młodość w ciężkiéj pracy zmarnował! Myśląc o tém, zgrzytała zębami, i tym razem miała szczere łzy w oczach.

Franek wrócił nareszcie. Usłyszawszy o tém, Ewka wyskoczyła z izby do obórki, jak dzika kotka na strych się wdrapała, zasunęła się w kąt między deski i stare obręcze: przez chwilę oddechu złowić nie mogła, tak serce biło gwałtownie! Słuchała, wpatrywała się w ciemność... pierwszy strach minął, ochłonęła nieco i—podrzuciła ramionami po swojemu.

— *Horsz licho koli boiszsia, i bieda budzie i nadrażyszsia*! — mruknęła zupełnie uspokojona; wciąż podrzucając ramionami, zlazła ze strychu, wysunęła się z obórki. Ciemno już było, na podwórku pusto zupełnie, w chacie przez oświetlone okienko ujrzała wszystkich koło stołu, nawet głupi Piotr w rozpiętéj koszuli, z otwartą gębą, siedział rozparty, uśmiéchał się, słuchając! Ciekawość ją wzięła jak téż Franek wyglądał.. Zbliżyła się do okienka, głowę przytuliła do ściany. Lampka i łuczywo paliły się w izbie, aż trzy misy stały na stole; okruchy chleba przy każdéj, ślady mleka i kaszy, świadczyły, że już kolacya skończona.

— Zjedli!—szepnęła przez zaciśnięte zęby.—A teraz słuchają! Stary co przez cały tydzień dogorywał na piecu, teraz siedział wyprostowany, z podniesioną głową, z wypiekami na twarzy, Maksymowa, Piotr, dwóch dzieciaków z wioski, wszyscy stół obsiedli, wszyscy w oczy Frankowi patrzą, słowa jego łowią, hukną śmiéchem jednogłośnie, ucichną, jeden drugiego łokciem szturgnie, głową na Franka wskaże, zadziwią się i słuchają daléj! On siedział plecami do okienka zwrócony, szynel tylko widziała, z czerwoném naszyciem na ramionach, głową jasną, ostrzyżoną niziutko, a gdy się do sąsiada zwrócił, spostrzegła, że ma wąsy! W izbie było gwarno, wesoło, chłopcy dokazywali na środku, na czworakach chodzili, jeden na drugim konno jeździł, przewracali się jak młode koty, i coraz jeden, to drugi parsknął śmiéchem donośnym, aż szybki

w oknach brzękły! Maksym tylko siedział zdala pod ścianą, fajkę pykał, wpatrzony przed siebie ponuro. Ewce zdało się parę razy, że na okienko, przy którém stała, oczy zwrócił, brwi jeszcze groźniéj zmarszczył, podniósł rękę i podrapał się za uchem jak w wielkim kłopocie. Jéj tylko tam nie było.... a przecież ona jego żonka!... Przyszedł zdaleka, cztéry lata jéj na oczy nie widział, je, pije, ze swemi gada, śmieje się, o niéj ani wspomni! Nie wołał jéj, nie szukał... słyszałaby na strychu siedząc... w trwodze wielkiéj, słyszała przecież jak szeleściały liście na gruszy, jak świerszcz w trawie brzęczał... Nie wołał!... Nagadali już może... a może i sam zapomniał! Dusza zmiękła na chwilę... Ewka mrugnęła parę razy, zacisnęła powieki... od światła, od długiego patrzania... czy tak... od czegoś.. łzy zaszkliły się w oczach.

Jakby przebudzona nagle, wzruszyła ramionami:

— Niedoczekanie ich! z trzech misek wszystkiego zjeść nie mogli! Podniosła się na palcach, wyciągnęła szyję: patrząc z góry dostrzegła w jednéj trochę zsiadłego mleka, w drugiéj—kilka kartofli...

— Ha, dobra psu i mucha! Przygładziła rękami włosy nad czołem, czerwoną chusteczkę mocniéj związała pod brodą, poprawiła koszulę i fartuch; weszła do izby śmiało, rezolutnie od progu już krzyknęła na męża.

— Ty, Franek, chamem był i chamem wrócił! ojcu pokłonił się, bratu pokłonił się, a o żonce zapomniał! Bodaj tak o tobie ludzie zapomnieli!

W istocie odwykł od niéj i zapomniał! Na razie, zapytał gdzie jest, czy zdrowa? Ale gdy go otoczyli swoi, gdy po pierwszém powitaniu, każdy z ciekawością, z pewném uszanowaniem osobę jego i ubiór oglądać zaczął, gdy zasypali go mnóstwem pytań bezładnych, urywanych zgłupiał jakoś! nie wiedział sam o co ma pytać, odpowiadał niby, słuchał, a wzrokiem po izbie okopconéj wodził, uśmiechał się do ciemnych kątów, do komina, za okopconą belką w pułapie dostrzegł wiązkę ziół uschłych, którą sam niegdyś zasunął! Patrzył i dość napatrzéć się nie mógł! Wyprostowany w grubym szynelu, sztywny, niezbyt rozmowny, wyglądał hardo, surowo nawet!

— Żołnierz... światu wiele widział, mądry, bywały... z ludźmi odrazu gadać nie chce,—myśleli bracia, ojciec, dziadźkowie; nie dzi wili się i nie obrażali, owszem, z tém większą atencyą byli dla niego, podsuwali miski z jadłem, chléb i łyżkę; jeden z dziadźków, z wielkiéj atencyi, dłonią otarł mu mleko z brody, drugi co chwilę

tabakierę podsuwał, ojciec tylko i Piotr z rozczulenia, z szacunku i podziwu słowa przemówić nie mogli.

— Żołnierzyk ty nasz mileńki!—szeptała uszczęśliwiona Maksymowa! Szeroka twarz Franka, czerwona szyja wykładająca się na kołnierz szynela, w zachwyt ją wprawiały.

— Ot, jak tam karmili, jak doglądali sierotę biédnego! Zdrów wrócił, wyrósł, wyładniał, bodaj mu jasne słonko całe życie świéciło! Ważny taki sobie... powolny... jak należy!.. nauczyli mądrości po świecie!...

W zachwycie, w rozczuleniu wielkiém poduszkę z tapczanu porwała i między ścianę i plecy Franka zasunęła! Był to najwyższy dowód szacunku; przedtém uczyniła to raz jeden tylko, księdza z kolędą w chacie przyjmując! Franek przyjął atencyą z uśmiéchem, chciał nawet zażartować ze staréj—nie mógł, w gardle go coś dławiło. Woń jadła, siermięgi i łapci, ciepło serdeczne wyglądające z ociężałych, wpatrzonych w niego twarzy, duch jakiś swojski zaklęty w tych ścianach zczerniałych... rozbierały go, chodziły po kościach, jak febra, albo jak żal głuchy, którego ani wygadać, ani wyrazić nie można!

— Chata.. cha... ta moja... mileńka... cha... ta!—szeptało coś w duszy, podczas, gdy ze ściągniętemi brwiami, z najeżonym wąsem, przygryzając każde słowo chlebem w soli moczonym, opowiadał trochę łamanym językiem, gdzie był, co widział, jakie miasta, jakie rzeki przechodził, na maszynie jeździł, złote i srebrne mundury widział...

— A u was tu koni nie kradli? choroby na żywiołkę nie było, ślepy kasztan Jakuba żyje? a? — przerywał nagle, spoglądając po twarzach obecnych.

Uśmiéchali się wszyscy, jak dziatwa, która, nasłuchawszy się bajek cudownych o kiju samobiju, o braciach rozbójnikach, zaciekawiona, ale i znużona już trochę, z przyjemnością do najbliższéj prawdy wraca! Nawet wejście Ewki nie zepsuło ogólnéj harmonii! Maksymowa tylko zaklęła z cicha, stary spojrzał ponuro, a Maksym z ławy wstał, ociężałym krokiem do komina podszedł, fajkę zapalił i wysunął się z izby, w chwili gdy Franek żonkę po twarzy pogłaskał, i koło siebie na ławie posadził. Czarnobrewa, rumiana, z bezczelném wejrzeniem, ładną mu się wydała, nawet po różnych dziéwkach, które na świecie widział! Śmiał się do niéj, za policzki, za ramiona szczypał, wiedział, że jest jego żonką, i rad był że jest właśnie taką, jaka mu się najlepiéj podoba! Zapytała, czy o niéj pamiętał? czy przyniósł jéj chociaż chustkę, albo fartuch? Zaśmiał się! on na świecie tyle ładniejszych widział, tyle ich znał w różnych wsaich

i miastach, że czasu nie miał i ochoty o żonce myśléć! Podarku nie przyniósł, bo sam z dwudziestu groszami z miasta wyszedł, po drodze chléb z wodą jadł, sypiał w polu, w lesie, ostatniego dwojaka oddał staremu żołnierzowi na drewnianéj nodze, który przepił w karczmie koszulę, a na chléb grosza nie miał? Zresztą, na co babom ubranie! Zgrzebna koszula i spódnica na cały wiek wystarczyć powinny! Przy pracy czém starsza odzież tém lepiéj, a w święto niech w chacie siedzą i dzieci pilnują.

Drażnił ją umyślnie; w miarę jak mówił, czerwieniła się, poruszała nozdrzami, uśmiéchała się złym, przyczajonym uśmiéchem, w którym widać było białe, ostre zęby. Lubił takie dzikie kotki! Uderzył ją po plecach i obiecał, że jak będzie dobrze pracować, kupi jéj za grosz piernika! Nazajutrz przekonał się, że z niéj nic nie było i nic nie będzie! Wstał przed świtem. Drażniła go woń siana, na którém spał, przez całą noc majaczyły się drzewa, chaty, Niemen, urwiska piasczyste, zarośla i lasy, widział to wszystko, dotykał rękami, czuł w koło siebie! Rzucał się na sianie, otwiérał oczy, wodził nieprzytomnym wzrokiem po ciemnéj odrynie, i nie dowiedziawszy się gdzie jest, co robi, zasypiał znowu, i znowu widział toż samo! Zerwał się w końcu, świt chłodny otrzeźwił go odrazu. Wiedział już, że koszą trawę pod Kisielami, że jeszcze na dwa tygodnie roboty będzie, bo łąki zalało, po pas w wodę leźć trzeba, okoszają tedy po brzegach tymczasem, czekając nim wyschnie. Przed słonkiem był już na łące—szynel i czapka zostały w odrynce, nawet żołnierską koszulę zostawił; Maksymowa dała mu wczoraj nowiutką siwą odzież pachnącą miętą i majerankiem, jak cała jéj skrzynia; z cywilizacyjnego okresu zostały mu tylko buty, mocno dziegciem przejęte, i srebrny kolczyk w lewem uchu, który miał go leczyć od szumu w głowie, od łamania w krzyżach, nabytego podczas długich, chłodnych podróży.

Stał w trawie po kolana, sam jeden na łące, mgłą zasłanéj.

Cisza. Szarawe chmury szybko za las płynęły na wschodzie, wązki złotawy pas wychylał się zwolna. Nawet ptaki drzémały jeszcze; gdzie niegdzie w olszniaku świergoliły wróble urywanym głosem, jak przez sen Franek oglądał się, nadsłuchiwał; sam nie wiedział, co go tu tak rano przywiodło? Bekas podniósł się z pod nóg jego, przeleciał kilka kroków niziutko, wpadł w błoto, poruszył bagno drzémiące, ostrą trawą porosłe; ruch ten głuchém echem odezwał się w szarawém powietrzu, zaszumiało z cicha, wiatr nagle zbudzony, poruszył z lekka olszyny.

Franek drgnął, ścisnął kosę w ręku; jak wczoraj na ścianę chaty, tak dziś na tę okolicę napatrzyć się nie mógł! Wszystko po sta-

remu, nic tu nawet nie urosło, nic się nie zmieniło, trawa tylko w tym roku rosła dobrze—odrazu zmiarkował, że ze swojéj części ze sześć albo z ośm wozów zbiorą. Obliczył, spoglądał bacznémi okiem na rozrzucone pokosy. Budził się w nim gospodarz skąpy, chciwy na siano szczególnie, na ten chléb powszedni żywiołki, która droższą mu była nad własną duszę. Sześć krów zostawił, dwa konie i cztérnaście owiec! Teraz młodzieży przybyło zapewne. Stare może sprzedali... Zaraz będzie się czém podzielić, gdy ojciec zamrze i trochę grosza na nową gospodarkę zostawi! Wyostrzył kosę, machnął po trawie raz, drugi, trzeci—trawa kładła się równiutko jak usłana! Nie zapomniał! Zmężniał, siły nabrał, przez tyle lat był tylko machinalnym pionkiem w szeregu, że teraz, gdy się znalazł na szerokiéj swobodzie, zdawało mu się, że rok cały bez wypoczynku pracować będzie, że mu sił i ochoty na sto lat wystarczy! Machał kosą, uśmiéchał się do myśli wesołych! Teraz dopiero żyć zacznie! Mędrszy jest od tych wołów—sąsiadów, co mchem porośli, na miejscu siedząc! Szacunek ludzki ma i znaczenie wielkie! Bać się go będą, bo wiedzą, że on między nimi pierwszy, że z nim sprawy nie wygrają! Co „osoba", to nie chłop pierwszy lepszy! On ma za sobą cztéry lata służby akuratnéj, wiernéj... chwalili go tam... zapamiętał nawet kilka pochwał od najbliższéj zwierzchności, w wiosce nikt o nich wprawdzie nie słyszał, lecz on sam pamiętał... o tém dobrze, był rad z siebie, pysznił się swoją przeszłością! Tak, jest teraz „osobą". Chatę z kominem wystawi, otoczy ją ciosowym ostrokołem... Niech widzą jak mieszka człek, co świata wiele widział, żyć umié i o nikogo nie dba!

Ostrzył kosę zawzięcie. Dźwięk stali rozległ się po łesie, zadrgał we mgle nad łąką w trawie wysokiéj, falującéj zlekka od porannego wiatru! Kosa lśniła się jak brzytwa, on wciąż jeszcze ostrzył, mrużył oczy, poruszył plecami. Dawno już tego brzęku nie słyszał! Sąsiedzi pewno myślą, że on taki jak dawniéj głupi parobek, co każdego słuchał, każdemu wierzył, swego rozumu za grosz nie miał! Ho, ho, zobaczą! Wczoraj już, swoim „dziaćkom" starym, co już ze sto lat na świat boży patrzą, opowiedział o fuzyach cudownych, o bohaterach, których żadna kula nie bierze, powtarzał baśnie różne, wylęgłe w fantazyi parobka-żołnierza, który na wpół dziką naturę oszołomiła siła imponująca! Uwierzą! Eh, on sam przecież kiedyś nawet w czorta wierzył! Kosił coraz zamaszyściéj, powtarzając machinalnie owe: raz, dwa, raz, dwa, w takt których przez lat kilka serce jego biło!

Zmachał się, spotniał, rzucił kosę, przez chwilę stał wyprostowany, oddychał miarowo jak we froncie! Przysiadł w końcu, spojrzał

na pas łąki skoszonéj za jednym zamachem;—dawniéj przy takiéj robocie odpocząłby już sobie parę razy, wysmoktałby ze dwie lulki, i choć raz jeden napiłby się wody z kałuży; zresztą dawniéj sam dyabeł nie potrafiłby go obudzić przed słonkiem... Hm, teraz on inny człowiek. Sąsiadów będzie w grozie trzymał!.. a chatę może nawet z dwoma kominami wystawi!

Chmury pierzchły, słonko wychyliło się z za pagórków piasczystych nad rzeką. Od wioski wraz z pianiem kogutów, ze skrzypem studni, rykiem krów i żałośném beczeniem owiec, doleciał piskliwy i ochrypły głos bab młodszych i starszych, ukazały się pierwsze gromadki kośców w płóciennéj odzieży, z grabiami, z błyszczącemi kosami na ramieniu, szli miedzą po dwóch, po trzech; za nimi, jak rozbitki różnobarwnéj, niesfornéj armii, dreptały baby w siwych, różowych i czerwonych kaftanach, w koszulach i spódnicach za kolana podkasanych większość klęła pastucha, dziś bydło po słonku wypędził, niektóre szeptały pacierze, a wszystkie miały na myśli Ewkę, Franka, plotki różne, które od wczoraj już kotłowały w głowie, mąciły pamięć, szczypały w język! Staruszki odmłodniały, młode śmiały się zawczasu, a tylko kilka wychudłych, z przygasłemi oczami, szło spokojnie, apatycznie, dźwigając w obu rękach garnki z jadłem, wiązki grubych powrozów. Franek z daleka już swoich spostrzegł, Ewki tylko dopatrzéć nie mógł. Nie zdążył jeszcze zapytać o nią a już, jak w ulu słonkiem ogrzanym, zabrzęczało, zasyczało złowrogo! Śmiéchy, przysłowia, porównania posypały się ze wszech stron, baby gadały między sobą, mężczyzni tylko ramionami wzruszali, czasem ofuknęli którąś bardziéj gorliwą. Do Franka nikt właściwie nie gadał, nikt mu jeszcze opowiadać „wszystkiego“ nie zaczął, nikt nawet nie myślał tak, odrazu truć życia człowiekowi, co przez kilka lat chaty nie widział, nikomu nic złego nie zrobił; i dopiero wczoraj do swoich wrócił. Żartowali między sobą tylko, ale od tych żartów, jak od rozbijanych kamieni, odskakiwały ostre odłamki i wszystkie jakoś w stronę Franka zmierzały. Słuchał; a chociaż dziesiąte ledwo słowo zrozumiał, domyślił się, że żonka jego musiała chyba z dziesięciu ludzi zabić, z dziesięć wiosek spalić, może kościół okradła, i kto wié, może nawet na własną żywiołkę rękę zabójczą podniosła, tak czarną, niemal zwęgloną wychodziła z tych żartów wesołych. Brwi ściągnął, wargi nadął, minę trzymał żołnierską, żeby sąsiedzi widzieli, że on tam o plotki nie dba: jak co nie pomyśli znajdzie, z winowajcą rozprawić się potrafi! Machał tedy kosą, od czasu do czasu na ręce spluwał, a w duszy już przysiągł, że jéj nie daruje—zabije albo może i gorzéj... Spoglądał z ukosa czy nie idzie. A baby wciąż gadały, coraz wyraźniéj do niego zmierzając.

— Czemu ty sobie, Franeczku, nowéj żonki nie sporządził? — spytała rezolutnie Jakubowa, wygadana baba z czerwonym nosem, szeroką gębą, z zielonemi oczami, — twoja tu ze wszystkiém zdarła się.

Baby zachichotały chórem, jedna szturgnęła ją w bok łokciem.

Franek udał, że nie słyszy. kosząc rozmawiał z Maksymem, na baby nie spojrzał, zawsze lekceważył ród niewieści i wolałby urodzić się żydem niż babą; teraz, jako żołnierz, nawet i patrzéć na nie nie chciał. Wszystkie postarzały, zwiędły ostatecznie, ładniejsze dziewczęta przez ten czas powychodziły za mąż do innych wiosek, wiedźm zato czarniawych z ostremi nosami przybyło parę. W całéj wiosce jego Ewka najładniejsza! — Hm, co tam babskie gadanie — pomyślał. Zanim rząd pokosów położył, zmiękł znacznie.

W świetle słoneczném łąka błyszczała od rosy, mieniła się od barw różnych: żółtawa po brzegach, przechodziła w ciemną zieloność na błotach, gdzie tatarak wiązał się z wysoką, ostrą trawą, w któréj drgało coś zlekka, trzepotało, ruszało się nieznacznie. To życie ukryte, strwożone brzękiem kos, głosem ludzkim, wiecéj zajmowało Franka niż gwarna rozmowa; co chwila spoglądał w tę stronę, nadsłuchiwał; widział, że Ewka przyszła w czerwonéj spódnicy, w niebieskich paciorkach i białéj chusteczce na głowie; powolna jakaś, ociężała, schyliła się parę razy po siano, przetrzęsła garść jedną, drugą i znowu stanęła z opuszczonemi rękami, wodząc wzrokiem po łące, usianéj pstrokatą bab gromadą, bielejącemi na słońcu kościami. Franka nie dostrzegła na razie, dopiéro późniéj spojrzawszy w stronę błota, zobaczyła samotnego kośca bez czapki, z jasną, nisko przystrzyżoną głową.

— Bodaj on przepadł! — mruknęła i pochyliła się nad robotą. Od cztérech lat już nie pracowała tak długo, tak ciężko jak dzisiaj! Rąk i nóg nie czuła, w krzyż ból wlazł straszny, pot oczy zalewał, gryzła wargi, zaciskała zęby, ale głowy nie podnosiła, bała się; przysięgała w duszy, że to raz ostatni, że zerwie się z łańcucha i choć w wodę pójdzie, ale do tych wołów nie wróci.

Franek milczał, w południe razem ze wszystkiemi zjadł mléka i kartofli; wrócił do roboty markotny. Wieczorem zaś nawet do chaty nie zachodził, szynel żołnierski na ramiona zarzucił, bez czapki, poszedł sobie brzegiem Niemna; górą szedł, potém spuścił się urwiskiem ku wodzie.... Patrzał, rozglądał się, jakby nie swemi oczyma,— buta znikła, zapomniał nawet, że był żołnierzem, dawna natura odżyła na dawnym gruncie. Wiedział już, że brat go skrzywdził, żywiołkę, zapasy zmarnował; miarkował tedy co zrobić? czy swego dochodzić, pokłócić się odrazu, w chacie harmideru naro-

bić, czy czekać cierpliwie, spokojnie, tymczasem wziąć co dadzą, a resztę odbierać nieznacznie, raz groźbą, to znów dobrocią, skubać brata po trochu. Znał Maksyma i wiedział, że choć za mądrego uchodzi, w istocie strasznie jest głupi; wstydu boi się, przed ludźmi chce za honorowego uchodzić, grosza cudzego na duszy nie ma, spokojny, niemrawy ale sprawiedliwy. Teraz w oczy jemu spojrzéć nie śmié, ustępuje z drogi, sam pierwszy nawet rozmowy nie zaczyna. Te oznaki żalu i pokory więcéj jeszcze przekonały Franka o winie, niż poczucie krzywdy; pokorny, milczący Maksym wydał mu się wielkim przestępcą, który dla świętego spokoju, zrobi wszystko co zechce.

— Nie byłby on taki cichy, żeby nie wiedział, że prawda za mną! ho-ho! Mógłby ja go z chaty z żonką i z dziećmi wyprawić, mógłby ostatnią koszulę zabrać! Skrzywdził on mnie biédnego sierotę, z torbą puścił, na żebraka wykierował! Ja na służbie był, Bogu i cesarzu służył, a on tu moję chudobę marnował!—powtarzał w duszy, jakby przed niewidzialném jakiémś audytoryum, które sprawę jego sądzić miało!

Sam zaś o krzywdzie swéj sądził trochę inaczéj, — z cztérech zmarnowanych krów, trzy należało do Maksymowéj, owieczki wszystkie do niéj należały, z zapasów téż większość ona do chaty wniosła, resztę przysporzyła pracą, oszczędnością, prawie skąpstwem. Pozostała tedy tylko jedna krowa i żonka, z pierwszéj—prawie połowa do Maksyma należała, o drugiéj—narazie Franek zapomniał, a gdy sobie przypomniał, zamyślił się jakoś, sam nie wiedział jak wielkiéj wagi będzie ten fakt w razie procesu i czy nie zepsuje sprawy zeznanie świadków, że zmarnowana żywiołka w większéj części poszła na korzyść jego żonki? Myślał tedy, miarkował, ale nic jakoś wymyślić nie mógł, po radę do ludzi iść bał się.... Widział, że Maksym strasznie pokorny, i to wystarczało do korzystnych zamiarów! Spróbuje zresztą, jeżeli brat bronić się będzie,— hm, to wówczas... zobaczymy... jeżeli ulegnie, widać sam się do winy poczuwa.

— A kogo karać, jeśli nie grzesznika? — pomyślał w duszy — może tam jego strata będzie... no, tak czego lazł, czego biédy szukał? Już tak na świecie sądzono, że kto siebie nie obroni, tego nikt nie obroni! Cóż ja mam jego żałować, kiedy on sam siebie nie żałował?

Czém dłużéj myślał, tém silniéj był przekonany, że słuszność jest za nim, tém głupszym wydawał mu się Maksym, pokorny, ze stulonemi uszami!

— Widać czuje winę! — powtarzał, chociaż sam téj winy dokładnie jakoś zrozumiéć nie mógł. — Taką krowę zmarnował! a!... On nie oddałby téj krowy za sto rubli! Tak, dla innych może ona i dziesięciu rubli nie warta, a on jéj za sto nie oddałby! Po ojcu, po matce im się dostała... ryża, na czterech nogach, w dodatku z rogami! Śliczna krowa! Pół świata przeszedł, a takiéj nie widział! Jakże on śmiał, ten złodziéj, sprzedawać ją samowolnie! Niechby zginęła, niechby ją wilki zjadły — dopuszczenie boże! Ale sprzedawać prawa nie miał! I Bóg i ludzie, i sądy przenajświętsze toż samo przyznają!

Krowa ta rozplątała całą sieć myśli i pojęć zagmatwanych w ciemném sumieniu; uspokoił się, poweselał, uczuł jakby pewny grunt pod nogami! Teraz zrozumiał pokorę i nieśmiałość Maksyma!

— Żarty to, taka krowa! Żeby chciał nawet odkupić, gdzież on taką znajdzie? Może sobie mówić, że piękniejszą kupił, ale dla niego tamta była i lepsza i piękniejsza. Jakże go przekona, kiedy krowę dawno już żydzi zjedli!

Głęboko przekonany o słuszności sprawy, gotów był przysiądz, że krowę tę lubił nad wszystko, że ją sam wykarmił, wychował, że nie oddałby jéj nawet za sto rubli! Zmiarkował przytém, że przez te lat cztery cieląt byłoby ze czworo, albo i więcéj!

— I ten złodziéj śmié jeszcze mnie w oczy patrzéć, śmié gadać ze mną, taką krzywdę wyrządziwszy! Żeby mógł, duszę by moją czartu sprzedał! Ot, jaki on brat! Cudzy żaden nie zrobiłby tego, co on zrobił! — Żonkę moję lubił! — dodał w końcu.

Zarzut ten oburzenia nie zwiększył; działo się to bez niego— za oczami, i gdyby ludzie o tém nie gadali, on nie wspomniałby nawet! Ale, ludzie gadają, śmieją się, przymówiska różne powtarzają, o nim, o żołnierzu, który miał być najważniejszą „osobą“ w wiosce! Ot, co go bolało!

Wracając z nad rzeki, obmyślił, że Maksym powinien mu dać pięć zagonów pod lasem, trzy za ogrodem; z pieniędzy po starym powinien mu za krowę i za żonkę z dwieście rubli zapłacić, resztę rozdzielić akuratnie. Plan ten przerabiał bez końca, wciąż coś do swéj przyszłości dobudowując. Kiedy wszedł we wrota, był już posiadaczem wszystkich dziesięciu zagonów, chaty, żywiołki, skarbów po ojcu! Maksym poszedł „na zapaszkę“, a z zarobionych pieniędzy jeszcze ma po kilka rubli rocznie za żonkę i za krowę wypłacać! Wiedział, że tego nie będzie, ale raz puściwszy wodze sercu i fantazyi, granic zakreślić nie umiał.

— Szczypta ziemi! — mruknął, ochłonąwszy nagle — czém tu dzielić się, kiedy i dla jednego zamało!

Przeszedł ociężałym krokiem podwórko; w chacie już spali. Przed odrynką, pod stogiem słomy chrapał Piotr i żuczek. Franek stanął, popatrzył na śpiącego chłopa, zmierzył go wzrokiem od głowy aż do bosych stóp, opartych o grzbiet żuczka.

— I ten jeszcze! — mruknął nachmurzony. Przypomniał sobie naraz, przez ile to lat przybłęda ten jadł i pił u nich, nosił ich odzież.... kupował sobie buty i czapki! Pracował niby... eh, na takiéj okruszynie ziemi jednemu nie ma co robić!

Powlókł się do odrynki zły, rozjątrzony jakiś... sprawa z krową, tak jasna na razie, znowu się zamgliła... chwilami zdawało mu się, że Maksym dla okupienia winy wyrzeknie się ojcowizny... to znów przypuszczał, że jest zły, nachmurzony dla tego tylko, że się go nie spodziewał, myślał, że nie wróci, zostanie gdzieś na służbie, w mieście zarobku poszuka? Za krowę wcale go nie wynagrodzi... Stara była, bez zębów, parzonki już jeść nie chciała, sprzedał, bo zginęłaby z głodu! Ojciec żyje jeszcze, dobytek nie podzielony... jakże tu sprawę wygrać.... Żołnierzem jest wprawdzie, ma znaczenie, zasługi... sam jenerał w mieście wié o nim.... ale z krową do jenerała nie pójdzie... a tu na miejscu, kto wié, czy sprawiedliwość znaleść potrafi! Gmach marzeń runął nagle, przygniatając go gruzami dziesięciu zagonów, chaty i gospodarskiego dobytku! Zasnął na sianie snem żołnierskim, przykryty szynelem. Śniło mu się, że woda uniosła starą chatę z Maksymem, żonką i dziećmi... że wróciła się spienioną falą i jeszcze stóg słomy z Piotrem i żuczkiem zabrała... Nie, stóg został, żuczek otrząsnąwszy się z wody, wybiegł na brzeg, Piotr tylko popłynął i wraz z chatą wpadł w przepaść, któréj ślad nawet zmyła rzeka spieniona. Z dobytku pozostała tylko pełna obórka, pełna odryna i on sam jeden sierota... Stał sobie pośród poletka i patrzył, jakie téż woda szkody wyrządziła.... Nad brzegiem rzeki, nad samem urwiskiem, Ewka w czarną sukę zmieniona, siedziała na tylnich łapach, patrzyła mu w oczy, szczérząc ostre zęby.... Woda jéj nie zabrała!...

Żyli z dnia na dzień śmierci starego wyczekując! Pracowali, jedli razem, w wolnych chwilach każde szło w inną stronę. Franek patrzał na Maksyma z podełba, albo obracał się plecami i udawał, że wcale na niego nie patrzy; parę razy nadmienił coś o krowie...

— Nie bój się, krzywdy nie zaznasz! — odrzekł Maksym — połowa krowy nie przepadnie, niech tylko stary zamrze, porachujemy wszystko jak należy.

— Ileż on ma?

— Bóg go tam wié! Ile ma, to ma, z sobą nie zabierze!

Z wieczora go nie widzieli, spał jak zwykle gdy z pola wracali; w południe zato, gdy na obiad przyszli i wszyscy koło stołu zasiedli, Maksym z Frankiem na przeciw siebie, Piotr na końcu stołu, Ewka i malcy obok siebie, wszyscy co chwila na niego patrzyli! Siedział zwykle na łóżku, ramieniem do poręczy przysłonięty, wyschły, żółty, jedną rękę za pazuchą trzymał i w ziemię patrzał. Oni tymczasem jedli w milczeniu, wszyscy jedną myślą zajęci. W niebieskich oczach głupiego Piotra widniał strach i smutek; zapatrzony w starego, niosąc łyżkę do ust, strawę po stole rozléwał, za co Ewka w bok go łokciem szturgała, „chamem“ nazywała po cichu. Franek prawie za każdą łyżką na ojca spoglądał. Umyślnie siadał plecami do ściany, twarzą na izbę zwrócony, żeby go miéć przed oczami; każdego dnia zabiérał się o pieniądze spytać, słów tylko odpowiednich dobrać nie umiał. Nie chciał o śmierci mówić, bo wiedział, że chorzy tego nie lubią i nie wypadało jakoś... ojcu rodzonemu... ostatnie godziny przypominać... To znowu bał się, że stary może pieniądze w różnych miejscach pochował, może sam zapomniał, oni zaś znaleść nie potrafią!

— Czy wy, tatku, *hroszy* w skrzyni trzymacie?—spytał nareszcie po namyśle — bo jak na was koniec przyjdzie....

Maksym szturgnął go w kolano pod stołem.

— Szturgaj czy nie szturgaj, a śmierci nie odpędzisz! — mówił dalej, przeżuwając krupnik z chlebem; — jak na was koniec przyjdzie, to żeby nam krzywdy nie było? Wszyscy my na te pieniądze ciężko pracowali, wszyscy teraz czekamy... wyglądamy... wiadomo, każdemu grosz potrzebny.

Stary, jakby przebudzony z odrętwienia, poruszył śpiesznie dolną szczęką, ręka za pazuchą zadrżała.

— Powiedźcie wy nam odrazu, póki pamięć i mowę macie— ciągnął Franek, plecami o ścianę oparty, z rękami w kieszeniach spodni. — Nie zechcecie przecież, żeby my duszę waszą przeklinali za naszą krzywdę?

— Bodaj ciebie twoje dzieci klęły!—mruknął Maksym,— co ty od nas wszystkich gadasz? gadaj od siebie! My jak żyli, tak i żyć będziem, ty żonkę wiedźmę wziął, w chacie użyć się nie możesz, idź sobie z nią choć do samego czorta, a śmiercią ojcu oczu nie kłuj! Jak koniec poczuje, co ma powiedziéć—powié! Stało jeszcze na cały wiek rozumu, to i na ostatnie godziny stanie... Nie wiadomo jeszcze, kogo naprzód robactwo jeść zacznie.... wszyscy pod Bogiem!...

Piotr tylko głową kiwał, na starego to na Maksyma patrząc.

— Niby to ja ze złego serca!—odrzekł Franek — ojciec umrze, to i swoje skończy, a nam żyć trzeba, zdrowemu ja przecież każdy swój grosz oddawał akuratnie... teraz umrze czy nie umrze, a o swoje dopominać się trzeba. Tak wy, tatku, powiédźcie, jak... gdzie... i wam lżéj umierać będzie i nam bezpieczniéj....

Umilkł, czekał odpowiedzi... Ewka strzelała oczami po izbie, w rozpalonych palcach szarpała koniec fartucha.

Ale stary akurat tego dnia czuł się zdrowszym, lżéj oddychał, słyszał wyraźnie brzęk much w izbie, zamglonemi oczami widział smugi światła zaglądające przez okienka. Wyprostował się na łóżku, głowę podniósł i milczał. Ściskało go w piersiach, czy od słów syna, czy z innéj jakiéjś przyczyny— sam nie wiedział. Zakaszlał, odetchnął głęboko....

— Dziś ja... zdrowszy!—rzekł ochrypłym głosem.—Zdrow...szy!— powtórzył, zasapał się, zmęczył od tych słów kilku, głowę opuścił na piersi.

— Z takiém zdrowiem bliżéj do śmierci niż do życia! — rzekł Franek—dusza z kaszlem wyskoczy i nie złowisz, choć ty tu ziemię gryź, nie złowisz! Nam będzie zgryzota, a czortu uciecha... porwie nasz krwawy grosz jak swój! A... a! żeby ja to mógł przewidziéć... żeby mógł rozumem zrozumiéć!.... Nie gubiłby ja marnie swego potu krwawego.

Wstał z ławy, czapkę nałożył, wyszedł, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

Nazajutrz starego nie stało.

III.

Franek chciał tegoż wieczoru skrzynię przejrzéć; nazajutrz, po pogrzebie téż namawiał, żeby do chaty wracać, porządek zrobić, a potém dopiéro na łąkę, po resztę siana jechać.

— Czekali tyle, poczekamy jeszcze!—odrzekł Maksym—po co dzień marnować, wrócim z pola, co jest to znajdziem. Żonka twoja chaty pilnuje, nie bój się, sam czort jéj nie oszuka!

Klucz od skrzyni za pazuchą trzymał, a przez cały dzień nie wspomnial ani o ojcu, ani o pieniądzach. Pod wieczór tylko wcześniéj niż zwykle pracować przestali. Piotr miał ostatni wóz nałożyć i do chaty odwieźć, na łące sam został, im zaś pilno było wracać; pod koniec Franek jak nie swemi rękami pracował, co chwila na zachodzące słońce, to na wioskę spoglądał, przysiadł wreszcie i czekał, nim Maksym z żonką resztę siana zgrabią.

Wielkich rzeczy ojciec nie zostawił; dla zwykłego chłopa kilkaset rubli to pieniądz, dla niego to prawie nic! żeby chociaż parę tysięcy... byłoby za co ręce zaczépić... Teraz nie to co dawniéj... chłop, jak wół, zielskiem i *miękkiną* żył... teraz inne czasy! Rozmyślał, miarkując zarazem, ile téż ojciec zostawił? Oczu z Maksyma nie spuści, grosz każdy sam przeliczy... sam własnemi rękami dotknie się każdego papiérka, pomaca, obejrzy, zanim z rąk odda. Kto go tam wié! Brat niby, a jak do rachunków przyjdzie, brat nieraz od cudzego gorszy....

Zawczasu już patrzał na niego niechętnie, ze złością... pewny był, że go chce oszukać... dla tego może zwleka... namyśla się złodziéj... może już coś wymyślił... Przypomniał sobie kilka faktów strasznych: w Janowie brat brata zabił za sześć rubli tylko... trupa pod mostem schował... milczał do wiosny, aż woda nieboszczyka na brzeg wyrzuciła!... Widział on i tego trupa i zbója widział... czy jeden taki na świecie! tylko że jednemu udaje się, drugi ginie marnie. A w wojsku aż dwóch zbójów znał! Spał nawet z obudwoma obok przez pół roku!.. Ten... Maksym... zawzięty, bestya... krowę zmarnował... dobytku tyle zmarnował... może teraz....

Bał się dokończyć; obejrzał się zwolna... Na trawie leżała żerdź, którą przyciskano siano na wozie przy uwiązywaniu. Wstał, podniósł ją z ziemi, oparty na niéj i czekał...

— Cóż ty... w las ludzi rozbijać pójdziesz, że kół z sobą zabierasz? — spytał Maksym, idąc za żonką ku drodze.

Franek drgnął; o Kainie wiedział nie wiele, słyszał jednak, że tym mianem nazywano zbójów i koniokradów w wiosce. Głos Maksyma przypomniał mu głos wszystkich Kainów.

Żerdź na ziemię opuścił; powlókł się za nimi z tyłu o kilka kroków... ze spuszczoną głową bacznie śledził każdy ruch brata!.. Gotów na wszystko, zawczasu zaciskał pięści.... probójąc siły!... Ha, zdusiłby odrazu! Wpiłby się pazurami w szyję... trzymałby go tak w garści do ostatniego tchnienia... Nie z nim wojować... Na samą myśl zczerwieniał jak burak, oczy krwią zaszły... z piersi wyrywał się krótki ochrypły oddech.

A Maksym wziął od żonki puste garnki, szedł obok niéj; milczał z początku, potém przypomniał sobie, że, ot, dziś piérwszy wieczór, bez starego w chacie przebędą! Maksymowa pokiwała głową smutnie.

— Wszystkim taki koniec! harujesz, pracujesz od świtu do nocki, wypoczynku nie masz, przyjdzie śmierć, rzucisz wszystko! Oj, Boże mileńki, odpuść ty nam ciężkie grzechy! — westchnęła, obok męża drepcząc.

Zapomnieli nawet, że Franek wlecze się za nimi!

Piotr sam pozostał na łące. Zmrok zapadał, trzy ostatnie wozy odjechały jeden za drugim, przy każdym chłop szedł zwolna, konie za uzdę prowadząc. Piotr oglądał się za nimi; zdaleka, na tle złotawego nieba widział wciąż jeszcze Maksyma, Maksymowę i Franka, szli drogą ku wiosce, dojdą do chaty wprzód, nim on wóz do połowy napełni! Chwytał z ziemi siano, na wóz ciskał, potém widłami rzucał wiązkę za wiązką, śpieszył, zasapał się, spotniał i opuścił ręce.

Na łące było pusto; gdzie-niegdzie między olszniakiem stérczały niewielkie kopy siana. Koń, co na wóz czekał, chodził od jednéj do drugiéj, skubał powoli i znowu do świeżéj trawy wracał! Piotr wziął go za grzywę, do wozu przyprowadził, zaprzęgał drżącemi ze zmęczenia rękami, z podełba wciąż na drogę spoglądał. Sylwetki znikły; wozy wjechały między płoty, droga do wioski opustoszała. Pilno mu było, nie myślał o niczém, tylko ręce drżały z pośpiechu. Ostatnie już garście siana podbierał, zgarniał gorliwie po trawie, rzęsistą rosą pokrytéj; nachylony, przez ramię wciąż się ku wiosce oglądał.

— No kośku.:. kosieczku mój — szepnął zdławionym głosem, targnął za lejce, wóz ruszył, zachwiał się... koła skrzypnęły...

Piotr odetchnął! Zdawało mu się, że już dziś z łąki nie wyjedzie. Na drodze zaciął konia, przez kilkadziesiąt kroków biegł za nim, siano podskakiwało na wozie, spadało na prawo i na lewo; koń zmęczył się, zwolnił kroku, Piotr już nie probował go popędzić. Wpatrzony w wioskę, otworzył usta; czapka zsunęła mu się na tył głowy, drapał się co chwila za uchem.

— Bodaj... jego... bodaj jego... a!...—mruczał od czasu do czasu.

Miało to oznaczać i żal i strach, niepokój i ciekawość! Wiedział czego chciał, rezonował dziś o tém w duszy przez cały dzień, pracując w milczeniu... Wypowiedzićć by tylko nie śmiał, bo... bo co tam gadać nadaremno! Chciałby już tam być jaknajprędzéj.... posłyszéć, zobaczyć....

— No kośku... kosieczku! — zachęcał, językiem cmokał.

Koń wlókł się nogą za nogą, wobec olbrzymiego wozu wyglądał jak duży pies.

Zciemniało, gwiazdy wysypały się na niebie. Piotr wjechał między płoty, zdaleka już wpatrzył się w oświetlone okienka chaty, stojącéj na uboczu, nad samém urwiskiem, przy rzece. Zaledwo do odrynki wjechał, konia wyprzęgać zaczął, w progu stanęła Ewka, przypadła do niego zasapana.

— Mileńki Piotrusiek, ot śmiéch, ot biéda, ot dziwo nad dziwami — trzepała, targając go za ramię. — Skrzynię przetrzęśli, na

strych łazili... w świérnie grzebią się teraz... nigdzie ani grosza! Cha, cha, cha!

Przysiadła, śmiéch oddechu złowić nie dawał.

— Dalibóg, żeby ja tak zdrowa była! Ot skaranie boże, ot, pomsta boża! Skręci ich jeszcze, choroba ich ciężka wydusi. Cha, cha, cha! och, nie wyżyję, nie wytrzymam, pęknę ze śmiéchu! Mało im oczy na wierzch nie wyłażą! Sapać przestali szelmy, łażą jeden za drugim, ta wiédźma drepcze za niemi, świeci im w oczy jak szczurom! Chatę jeszcze spalą! Niech palą! Pierwéj czy późniéj zatrata na nich przyjdzie! O Boże mileńki! Oto ja doczekała, oto dożyła. Na biédę ich, na żałość patrzę! Chwała tobie, Panno Najświętsza, że Ty mnie takiego dnia dożyć pozwoliła!

Klasnęła w dłonie, śmiała się za boki trzymając. Złość ją dławiła, zawód i niepokój rozdrażniły ostatecznie. Gdy zostawała w chacie z rana, pewna była, że jéj już wieczorem nie znajdą! Przez cały dzień szarpała ją nadzieja i rozczarowanie! Stokrotnie chwytając szmaty różne, pewną była, że skarb chwyta... tyleż razy skarb ten pierzchał przed nią, znikał jak we śnie! Dręczyło się, o mało nie oszalała! Odżyła teraz dopiero, na ich miny patrząc! Szukają głupcy tam, gdzie już ona zębami, pazurami darła! Śmiéch ją porywał gwałtowny, niepokonany.

— Zobacz, może nie wierzysz? dalibóg, toż oni już dziesiąty raz do świérna idą!

Ciągnęła Piotra za rękę ku drzwiom, potém ku chacie wskazywała. Od chaty do świérna przez podwórko szedł Maksym obok Franka, za nimi Maksymowa z zapaloném łuczywem, malcy biegli jeden za drugim...

— Niech ziemię zryją, niech chatę rozwalą... eh, i tak nic nie znajdą! Stary łgał, czortu oddał, żydom pożyczył, albo zjadł może z chciwości wielkiéj! A te woły teraz pofiksują! Chwała tobie Boże mileńki! A za cóż Ty mnie grzesznéj takie szczęście, taki dzień dobry w życiu dał.

Ustać na miejscu nie mogła, na próg, to do odryny wskakiwała, wciąż osowiałego Piotra za rękaw ciągała:

— Słuchaj... żeby ty dobry był... Piotrusiek...—ryknęła mu nad uchem, pochyliła się, spojrzała w twarz siwemi oczami.

— Słuchaj, no, co? ty ogłuchł, czy do reszty zdurniał?

Stał w progu z opuszczonemi rękami, patrzał w podwórko zmrokiem okryte.

— Śpieszył... się... a!.. śpieszył się!—powtarzał w duchu.

Czekał kiedy wyjdą; słuchał, może głos ich posłyszy... gadać z sobą będą... o tych pieniądzach. Cicho—wciąż jeszcze szukają..

przez otwarte drzwi z świérna na podwórko pada blada smuga światła, znika chwilami, i znowu ściele się po kamieniach, aż pod chatę sięga! A Ewka wciąż go za ramię trzęsie:

— Słuchaj, Piotrusiek, nie pożałujesz, dalibóg, no słuchaj!.. żeby ty dobry był, pomógłby mnie. Na górze skrzynia moja, dobro wszelkie!.. Wiek ja na niego pracowała, wiek horowała!.. Pomóż ty mnie Pietrusiek... zniesiem choć dziś w nockę ciemną... Pietrusiek... czy ty słyszysz?

Odtrącił ją łokciem, odwrócił się i poszedł w głąb odrynki. W téj chwili cała gromada ze spuszczonemi głowami przeszła ze świérna do chaty.

Ewka zasypała go przekleństwem! Bojąc się żeby nie wybił, wyskoczyła z odrynki; gotowa do ucieczki, stała za progiem, i jak mogła, jak umiała, wylewała jad swój na niego. Gdy na razie słów zabrakło, powtarzała, że jest przybłęda... parobek... wiek służył... sto skór zdarł z nóg, z rąk dla nich pracując... a teraz precz pójdzie, z chaty go wypędzą... bosego, obdartego, na poniewierkę wypędzą !. I dobrze mu tak! oh jak dobrze! żeby go po drodze piorun spalił, choroba ciężka schwyciła!

On zrzucał powoli siano z wozu na ziemię. Nie słyszał co tam wykrzykiwała za progiem. Kręcił głową, dziwił się własnéj doli, że tak składała się jakoś... Stary umarł, ot, tak... zostawił... a gadał.. obiecywał... Żeby choć pieniądze znaleźli... może... kto ich tam wié... Maksym, zdaje się dobry... ale ten drugi... to szelma... z głodną gębą wrócił!

Pokręcił głową i robił swoje daléj. Pot spływał z czoła, siano kłuło za kołnierzem, w rękawach, za pazuchą.

— Szelma.. ten drugi!—powtórzył po namyśle... Na służbę pójdę... wiek służył, i daléj służyć będę.

Naraz, przyszło mu na myśl, jak téż oni dadzą tu rady bez niego? On orał, bronował, siał, każdy zagon własnemi rękami obrabiał... Z nimi różnie było: jeden na świecie gdzieś przepadał w żołnierce... drugi pił trochę... czasem dzień cały, a czasem dwa i trzy chodził jak nie swój, osłabły, osowiały... On za wszystkich pracował. Raz tylko, rąbiąc drzewo nogę skaléczył, przez pół dnia leżał w sadku pod chatą. Po południu wstał, powlókł się w pole i jakoś ozdrowiał. Jak oni tu bez niego poradzą! On ziemię zna... eh, jak zna! Rok każdy pamięta, gdzie jaki kłos był... No, i ziemia do niego przywykła!... Siać zawsze jego wyprawiali, lekką rękę ma jak stary niegdyś... akurat tak samo sieje! Maksymowi ręka drżała, Franek nigdy jeszcze żadnego ziarnka w ziemię nie rzucił... On zawsze siał! na wiosnę i w jesieni! Ot i teraz zagony czekają pod żyto...

równiutkie... zaorane jak jeden... Siać trzeba!.. za dzień, za drugi!... Ziarno w tym roku jak złoto! On sam pierwsze snopy wymłócił... Jak oni tu poradzą bez niego? Im dłużéj myślał, tém wolniéj pracował; zaciskał powieki; od kurzu, czy może... od rosy wieczornéj szkliło mu się w oczach!

— Może choć po siejbie... pójdę!—szepnął; skrzywił się, oczy rękawem zasłonił.

Ewka do chaty wróciła, na miejscu jéj w progu stał kruczek, ogonem machał, wpatrzony w ciemną odrynkę, Piotr skończył robotę, wyszedł, drzwi przymknął. Z chaty dolatywał donośny głos Franka, zagłuszały go świerszcze brzęczące w trawie, przy płotach. Księżyc wypłynął zwolna, od rzeki powiało ciepłem wilgotném; w wiosce ludzie porozchodzili się po chatach; ciszę nocy przerywało skrzypnięcie wrót, zamykanych tu i owdzie, głuchy odgłos kroków w ulicy.

Maksymowa wyszła przed chatę z miską mléka w rękach, z kromką chleba w fartuchu.

— Zjédz tu, do chaty nie idź,—rzekła do Piotra,—ten człowiek przeklęty rozum stracił... gada, że chatę rozwalać będzie! słyszane te rzeczy!.. ot do czego przyszło!

Piotr siadł na przyzbie na tém samém miejscu, gdzie wczoraj stary zasnął, miskę obok siebie postawił, jadł i słuchał, Maksymowa stała przed nim; oboje nadsłuchiwali jak Franek wykrzykiwał w izbie. Ochrypł, pięścią w stół uderzał, stokrotnie powtarzając, że swego nie daruje! Za każdém stuknięciem łatane szybki drgały w okienkach, żuczek warczał przed drzwiami, Maksymowa kiwała głową.

— Ot do czego doszło!—szepnęła...—Nieboszczykowi wygraża! Pójdę, powiada, z mogiły wywlokę, niech gada szelma! za życia nie chciał, niech po śmierci gada! Oh Boże mileńki... Matko Przenajświętsza! jak tu chata chatą nikt w niéj tak nie bluźnił, nikt pomsty bożéj nie wzywał! O Jezu mileńki!

— On tylko tak gada! Zlęknie się, z nieboszczykiem wojować nie będzie!—rzekł Piotr.

— Oj nie zlęknie się! Zgubił już duszę, po świecie chodząc! W Boga nie wierzy, co słowo czorta wspomina! Pójdę, powiada, ot zaraz, może jeszcze nie ostygł, może w nim duch przytrzymam... niech gada! Nie powié, to choć język jego psom oddam! Syn rodzony, o ojcu, o nieboszczyku! a! Skończenie świata! Sodoma Gomora! Niepokalane Poczęcie!...

— Żołnierz, odwagę ma! co dla niego jeden nieboszczyk, kiedy on sam stu zabił.

— Ojciec rodzony!

— Hm, co tam dla sołdata zwykły ojciec; żeby to choć sołdat był przynajmniéj... możeby jeden drugiego lękał się... wiadomo, jak swój na swego natrafi! A tu cóż... nasz stary chłop był tylko...

Maksymowa milczała; odurzona bluźnierstwem myśli zebrać nie mogła! Bała się kary bożéj... przed nocą szczególnie..! Zdawało jéj się, że stara chata tych słów nie wytrzyma. Chciała już męża i chłopców z izby wywołać; w razie nieszczęścia, niech oni tam giną we dwoje... sołdat i wiedźma!

— Nie idź tam! Mówił, że ciebie zabije, że ty na jego chlebie wyrósł!—szepnęła do Piotra, widząc, że jeść skończył, wstał i usta rękawem ociéra.

— Czego ja tam pójdę!—mruknął; obejrzał się na wioskę głuchą, na ściernisko światłem księżyca oblane.—Czego ja pójdę... już ja tu nie swój...—dodał ciszéj.

Maksymowa milczała; przygarniać biedaka nie było do czego... sami na kilku zagonach zostaną, właśni chłopcy rosną... chciała mu chociaż dobre słowo powiedziéć.

— Na służbę pójdę... na Niemen! do barki parobka trzeba...

— Choć ty kawałek słoniny weź!—rzekła ze łzami w oczach.

— Jutro pójdę!.. chciał jeszcze... żyto posiać... eh, nie sądzono widać! posieją i bezemnie.

— Posieją!—powtórzyła Maksymowa.

Zamilkli oboje; jemu jakoś trudno było odejść, drapał się za uchem, z nogi na nogę przestępował.

— Przyjdziesz jutro ty sieroto nieboże, nim w świat pójdziesz z chatą pożegnaj się! Matka tu ciebie rodziła... stąd ty swoję dolenkę ciężką wyniósł!—mówiła Maksymowa, fartuchem łzy ocierając.

Piotr patrzał w ziemię i milczał; gorąco mu było, żal dławił, ale ani na słowa, ani na łzy zdobyć się nie mógł.

— Przyjdę!—szepnął; przeszedł koło niéj ze spuszczoną głową, powlókł się pod stóg słomy, gdzie żuczek czekał już na niego, uderzając zlekka ogonem po ziemi.

Nazajutrz zrana poszedł do Szmula. Barka stała jeszcze przy drugim brzegu; ładna łódka biała z niebieskiém bujała się zlekka na ciemno szafirowych wodach rzeki; ludzi tylko nie widać. Piotr postał na brzegu, popatrzał na barkę, na łódź, na las ciemny, sosnowy... Słońce oblewało pnie żółtawe, z daleka drzewa policzyć można było... z daleka dolatywała woń świeża, z zapachem wody zmieszana...

Szmul spał jeszcze; okienice, powyrzynane w serduszka, przymknięte były po prawéj stronie ganku. W sieni, przy drzwiach zamkniętych do izby, stała koza; z dziesięć kur spacerowało ostrożnie, jakby przez szacunek dla śpiącego gospodarza. Piotr usiadł w ganku na ławce i czekał.

— Widać Żyd jeszcze parobka nie ma! dla mnie sądzono!.. Ot, ani ja myślał, ani ja spodziewał się, że na wodę pójdę!

Przyglądał się rzece uważniéj... łowił uchem szmer cichy.... Dziś wydała mu się inna jakaś... szersza... ciemniejsza. — Głęboka... bestya! oj, głęboka! — pomyślał, śledząc wzrokiem drobne fale.

Miał na sobie kurtkę siermiężną, czarną taśmą obszytą, nowe płócienne spodnie i nową koszulę; na ławce położył trochę bielizny, w czerwonéj chustce związanéj, kij sękaty w kącie postawił; wybrał się już z całém bogactwem: za pazuchą miał papiér z kancelaryi, z którym mógł sobie iść, gdzie oczy poniosą. Papiér ten dodawał mu pewności, podnosił go we własném mniemaniu do godności obywatela świata; jest przecież „kimś", kiedy o nim ludzie wiedzą, piszą o nim na papiérze!... Pies, koń, wół bez żadnego świadectwa na świecie żyją... On zaś ma swoje „dokumenta"!

Spoglądając na rzekę, zasuwał rękę za koszulę, macał papiér dwoma palcami... W oczekiwaniu Szmula, nie myślał o niczém. Ot, tak, jakby teraz dopiéro na świat przyszedł, pierwszy dzień na świecie żył i do pierwszéj roboty przystąpić zamierzał! Czekał nim Żyd wstanie, gadać zacznie, wówczas dość będzie czasu na myślenie, teraz patrzał sobie na wodę, na brzegi lesiste, to na wzgórza poszarpane piasczystemi wąwozami. Słonko grzało go w kark; poruszył plecami, mrużył oczy... Het tam na zawrocie rzeki pod lasem kilka równo zaoranych zagonów szarzeje wśród zielonéj doliny... ścisnęło za serce... uczuł ciepło w piersiach... przez chwilę oddychał jakoś powolniéj... i znowu jakby nic... czekał na Szmula.

Przez okno z szynkownéj izby wyjrzał jeden chłop w bronzowéj siermiędze, potém drugi z nad jego pleców głowę wysunął; mruknęli coś do siebie, poruszyli się, zagadali w izbie; ktoś blaszaną kwartę na ziemię zrzucił, ktoś ziéwnął przeciągle, wyprostowywał kości i stawy, aż za oknem na dworze słychać było... Drzwi skrzypnęły; pierwsza z sieni do izby wpadła koza, za nią kury cisnęły się pod nogi wychodzących chłopów. Dwóch wyszło, potém jeszcze trzech, wszyscy bosi, w siermięgach zarzuconych na ramiona, jednę rękę za koszulą na piersiach trzymali, drugą drapali się za uchem; przechodząc koło Piotra, zmierzyli go od stóp do głowy zaspanym wzrokiem. Powlekli się jeden za drugim nad brzeg, zeszli rowem ku rzece. Ochrypłe, jakby podziemne „ho...o...o!" roz-

legło się na brzegu, odezwało się w lesie, w zaroślach, skonało w którymś wąwozie. Na rzece plusnęło wiosło.

Piotr słyszał, ale nie obejrzał się nawet, co jemu tam!.. niech krzyczą, niech płyną, jak na niego koléj przyjdzie, to i on krzyknie i on popłynie.

W izbie ucichło; słychać było tylko stukające stąpanie kozy i grzebanie kur w kącie przy kominie. Wtém ziéwnął ktoś jeszcze, jęknął raczéj bolesnym przeciągłym jękiem i umilkł. Piotr wyprostował się, jak ze snu zbudzony mrugnął oczami, zdawało mu się, że jęk ten kona jeszcze w powietrzu! Spłoszone kury wyskakiwały z izby do sieni, na ganek, trzepocząc skrzydłami, przebiegały koło nóg Piotra na dwór; koza stanęła w progu, oglądała się zdziwiona do izby. Piotr słuchał, czy tam kto jeszcze raz nie jęknie... poszedłby zobaczyć, a możeby i nie poszedł... słuchał jednak. W izbie chodził ktoś, suwając bosemi nogami po podłodze; koza wybiegła do sieni, za nią wyszedł chory parobek w płóciennéj odzieży, w granatowéj kamizelce z błyszczącemi guzikami; głowę wsunął w ramiona, ruda czupryna spadała na czoło, usta miał spieczone, oczy czerwone, idąc przez sień, spoglądał w podwórko słońcem zalane, na Piotra nie spojrzał. Stanął na ganku, ręce opuścił; Piotr poznał w nim wczorajszego chorego, dziś już zdrowiéj wyglądał; gryzł dolną wargę. Patrzał na barkę z pod brwi nasępionych.

— Nie wiécie, parobek już jest?— spytał Piotr, głową w stronę rzeki wskazując.

— Chory spojrzał na tobołek w czerwonéj chustce, na kij, na czystą odzież Piotra.

— Czort go tam wié!—mruknął—musi nie ma, kiedy dotąd stoi.

Przysiadł na drugiéj ławce.

— On... ladaco?

— Hm, jak Żyd!

— Nie kręcił?

— Skręciliby go na proch, żeby zaczął kręcić! boi się szelma!

— To dobrze.

Zamilkli; chory przypatrywał się Piotrowi uważnie; mierzył wzrokiem tobołek, wielkie ręce, bose nogi. Chłop był zdrów, rumiany, wzbudzał w nim zazdrość widoczną.

— Zdechniecie tam bez pory — rzekł w końcu — czego leźć, lepiéj już tak, gdzie przy roli... do tego nawyknienia trzeba, nie każdy może! — wskazał głową na barkę.

— Kto teraz w jesieni weźmie?... na wiosnę... inna rzecz; do wiosny może nie zdechnę!

— A teraz ze dworu? czy tak, od gospodarza?

Piotr milczał. Żal skrzepły w sercu rozegrzał się jakoś; poczerwieniał; uszy, czoło, skronie krwią nabiegły! brwi podniósł, patrzał w ziemię i słowa przemówić nie mógł.

— Z chaty może? — spytał chory po długiém milczeniu.

Piotr skinął głową. Łzy stanęły w oczach.

— Z cha...ty — powtórzył.

Chory głowę odwrócił, patrzył w las za rzekę; nasrożył się, zgrzytnął zębami jak wilk.

— Czegoż? z chaty? biéda? czy podzielili się?

Piotr sam nie wiedział co mówić; granatowa kamizelka z błyszczącemi guzikami, porcelanowa fajka wyglądającą z kieszeni, onieśmielały go trochę. Chory przytém miał minę bywalca: spluwał przez zęby, nogę na nogę zarzucił i ręce trzymał w kieszeniach; traktował go trochę z góry, pytał o wszystko, podczas gdy on nie śmiał go nawet zapytać, czy tam na barce, karmią, czy wódki dają czasami i ile płacą? Nie śmiał, bał się, żeby go nie wziął za głupca, który nawet o takich rzeczach nie słyszał! Milczał tedy z początku, namyślał się, coś go za język ciągnęło — potrzebował wygadać i biédę swoję i krzywdę... potrzebował dowiedziéć się od kogoś, czy z chudoby ojcowskiéj nigdy już nic nie dostanie? Wiedział, że nie potrafi wygadać wszystkiego tak, jak ma w myślach, ale sprobował. Od ziemi, od dobytku zaczął, ile czego mają, jaka pasza u nich, jakie urodzaje w suche, jakie w mokre lata! Napomknął, że szelma Jakób, sąsiad, akuratnie snopy z ich pola kradnie! ale to znany złodziéj, nawet już w kozie siedział! Potém zaciął się, zapomniał o czém mówił, nie pamiętał nawet, czy już wszystek dobytek wyliczył? Więc znowu od początku zaczął. Szło coraz gładziéj. W chwili gdy służąca Szmula, niska, rumiana żydówka, z piérzem w czarnych, kędzierzawych włosach, otwierała okienice, — chory wiedział już nazwę koni, krów, ilość owiec, znał imiona braci, ojca, bratowéj i słuchał o Ewce; słuchał osłupiały, oczu z Piotra nie spuszczał.

— To ta wiédźma u was? — spytał nagle. — Ona taka czarniawa, na cienkich nogach, sucha, z czarnemi włosami?

Piotr kiwnął głową.

— W dostatku żyła? powiadasz? w wygodzie wszelakiéj?

Piotr powtórzył, jak umiał, całe rozkoszne życie Ewki do powrotu męża.

Chory słuchał, uśmiéchał się, z pod rudych wąsów połyskiwały ostre, rzadkie zęby; twarz rozszerzyła się w uśmiechu, wytrzeszczył zaczerwienione oczy, kręcił głową żartobliwie niby.

— Ot jak! — powtarzał spokojnie, prawie wesoło; tylko gdy Piotr zaciął się znowu, zamilkł, on śpiesznie obie ręce w kudły zasunął, ścisnął głowę, a gdy ręce na kolana opuścił, miał pełne garści rudych włosów!

— Panowała ona! — syknął — pa...no...wa...ła!

Piotr rozgadał się o braciach, o Franku, o krzywdzie swojéj.

— Złodzieje, hycle!—powtarzał chory. — A ty głupi! Nikt tobie szczypty soli nie da dobrowolnie... nikt... rozumiész?...—Wyciągnął szyję, patrzał mu w twarz zaczerwienionemi oczami.—Nikt nie da!— powtórzył z przyciskiem. — Nie okradał ty ich, nie grabił, to i wyszedł bosy z gospodarskiéj chaty!

Splunął, w gardle wyschło, ostatnie słowa wymówił stłumionym piskliwym głosem.

— Biéda rozumu nauczy! zobaczysz, ale po czasie! Pierwéj pot krwawy zmarnujesz, siły zmarnujesz, a potém zobaczysz, że głupio na świecie żył, ot tak!

Słów brakło; patrzał w szeroko otwarte oczy Piotra i widział, że ten chłop ociężały, węchem raczéj niż myślą słowa jego zgaduje.

— To może mnie lepiéj do chaty wrócić i o swoje dopominać się? — spytał Piotr, odurzony trochę, a trochę nieśmiały.

— U kogo? o co? o ziemię może? A ty dałby choć szczyptę rodzonemu ojcu, żebyś miał?

— Ono to prawda, że nie dałby? Ale co mnie teraz robić?

— A nic! pójdziesz w służbę! praca wyżyłuje ciebie i zmarniejesz! Panem nie będziesz! złodziejstwa może nauczysz się jeszcze, kiedy dotąd nie umiész, ot i wszystko. Z chudobą pożegnaj się! żeby wskróś ziemi poszła, tylabyś miał co i teraz miéć będziesz! ot jak! Trzeba było ojcowskich pieniędzy lepiéj pilnować. Od złodziei odbierają czasami, a żebrak nigdy nic nie ma!—To ta wiedźma, powiadasz, i dotąd u was żyje?—spytał innym głosem. — Ewka... czarniawa... chuda... z Niemenczyna ją wziął?...

Piotr kiwnął głową.

— Kiedy? dawno?

Piotr pomyślał trochę... akurat tego roku ryża pierwszy raz ocieliła się....

— Hm, może ze cztery lata będzie!

— To wtedy jak ja w świat poszedł!.. Zaraz potém jak ja w świat poszedł! Wiedźma! łasiła się... udawała... a ja jéj wierzył!... wierzył jak samemu sobie! a!... Hm, przepadła! tyle biédy! A mnie co po niéj! — wzruszył ramionami, pomilczał chwilę.

— Ale czy wiész, że to taż sama? z Niemenczyna? a? Bo może inna jaka?..

— Taż sama, toż ja po nią jeździł. Zkąd tam druga! Dość takiéj jednéj na świecie!

Zaczął opowiadać od początku, ale Andrzéj już nie słuchał. Zerwał się z ławy, poszedł na brzeg, wpatrzył się w wodę obrócony plecami do karczmy. Szmul wyszedł na ganek, za nim wysunął się drugi Żyd. Zaczęli gadać z Piotrem, umawiać się targować. Andrzej wciąż stał nad brzegiem. Kiedy w końcu Piotr, zabrawszy manatki poszedł za kupcem, a Szmul z rękami w kieszeniach przeprowadzał ich wolnym krokiem aż do łódki, Andrzej krzyknął w ślad za nim.

— Héj ty, szynkarz! co tam paradujesz! wódki! psia wiaro, słyszysz? wódki dawaj.

Szmul stanął, obejrzał się z powagą: łydki zadrżały bardziéj z nałogu niż ze strachu.

Łódka odpływała szybko; Piotr na brzeg patrząc, wciąż widział Żyda w haftowanych pantoflach, w spodniach i w rozpiętéj kamizelce, z pod któréj wisiały z tyłu białe tasiemki, wyglądała brudna koszula—i Andrzeja widział: pochylony naprzód pięścią wygrażał, wykrzykiwał; powlókł się w końcu na ganek—łódka przybiła do brzegu.

Kupiec napędzał; biegał, sznury podawał; parciane pasy pomagał zakładać na piersi. Słonko było wysoko—woda spadała—półtora dnia zmarnowali na miejscu; ludzie wypoczęli za to! kupiec raz jeszcze na brzeg ku karczmie spojrzał: tam został najsilniejszy... za dwóch ciągnął... ale bluźnił za dziesięciu... ludzi buntował; raz nawet... zagroził, że go utopi... Nu, to był żart, ale od takich żartów... siwieją włosy! Ten nowy za to, odrazu pokazał co może!... Kupiec odstąpił, z rękami założonemi za plecy stał o kilka kroków od brzegu, i uśmiechem znawcy patrzał na pierwszą próbę Piotra; ośmiu ludzi drągami spychało z mielizny barkę, pochyleni naprzód, parli całemi siłami drągi — przez długą chwilę wyglądali jak ośm skamieniałych postaci, bez ruchu, bez oddechu, bez śladu życia... twarze tylko pochylone ku ziemi krwią nabiegły, przymknęli oczy, spotniałe włosy spadały na czoła, na skronie! Chwila jeszcze takiego natężenia, a żyły nabrzmiałe zerwały by się, piersi pękłyby od tłumionego oddechu! Barka zachwiała się, jednocześnie z ośmiu piersi wyrwał ryk przeciągły! Odetchnęli! Nie odejmując drągów, nie odprostowawszy grzbietów, znowu naprężyli siły! Kupiec tylko na nowego patrzał; tych wszystkich widział już ze sto razy przy podobnéj robocie, wiedział co który wart, w chóralnym ryku umiał już nawet rozpoznawać głosy... Piotr zczerwieniał jak rak; ale ani kropli potu nie było widać na czole, nabrzmiałemi żyłami pokrytem. Nie ryknął nawet; zębami dolną wargę przycisnął, i pod-

czas gdy inni odetchnęli, on parł daléj barkę od brzegu! Kupiec skinął głowę nieznacznie. Widział już co ma, a gdy po odepchnięciu barki zaczęli pasy na piersiach poprawiać, stawali po dwóch, po trzech koło siebie, i nowe siły zbierali do pierwszych kroków, zanim barkę na głębią wyciągną,—on sam Piotra przy najsłabszym postawił, przy małym staruszku, chudym, łysym jak dziadek kościany; staruszek do pociągu nie zdał się już prawie, ale drogę znał, rzekę ze sto razy w górę, w dół przepłynął, upijał się przytém z łatwością; po jednym kieliszku, nos się rumienił, czerwone plamy występowały na policzki, szklane oczy błyszczały jak u kota; śmiał się, podrygiwał, brał harmonikę i przygrywając, śpiewał piskliwym głosem. „Jak ja była młoda“ itd. albo „Oj licho nie Pietruś“, wykrzywiał się, podskakiwał, a zmęczeni, wycieńczeni ostatecznie chłopi, orzeźwiali się nieco, śmieli się nawet czasami! W dzikiéj okolicy szczególnie, wśród gór lesistych, wśród wąwozów, na brzegu ostremi kamykami usianym, gdzie co krok nowy ślad krwi zostawał na piasku, muzyka ta wyglądała bardzo ładnie. Staruszek podhumorzony grywał nawet ciągnąc barkę. Śpiéwać tylko nie mógł wówczas—głos rwał się, zamiast melodyi z piersi wychodziło żałośne miauczenie! Inni po sześciu, po ośmiu kieliszkach dopiéro nabierali otuchy, pozbywali się mrukliwéj ponurości, śpiéwali, wykrzykiwali razem wrzaskliwe tony, w których dzika wesołość łączyła się z jękiem żałośnym, jakby z samego dna serca wydartym; jemu dość było jednego kieliszka! Jeżeli nie grał, nie śpiéwał, to gadał, żartował, zachęcał, wśród jęków przeciągłych, wśród skrzypu powrozów, drżący głos staruszka mile głaskał ucho. Dla tych zasług, kupiec przebaczał mu brak sił, słabe nogi i kaszel częsty, przypominający kaszel owcy. Przed bardzo ciężką przeprawą, wołał go do barki i dawał jeden kieliszek; stary wiedział najlepiéj kiedy to nastąpi, oglądał się na Żyda i mrugał. Nie oszukał nigdy! Nie było potrzeby—nieraz kilka razy na dzień zdarzała się „krwawa droga“. Przy śpiéwie, przy muzyce, lub chociaż przy żartach, barka płynęła raźniéj, parobcy jęczeli ale mniéj ich było słychać!

Przy nim to postawił Piotra i był zupełnie zadowolony, gdzie stary osłabnie, młody podciągnie... marzył nawet, że przy młodym, może i stary sił trochę odzyska! Gdzie tam! zaledwo kilkadziesiąt kroków uszli, Piotr nie zdążył jeszcze jęknąć ani razu, staruszek już potem się oblał, drżał cały i coraz to na swego olbrzymiego sąsiada spoglądał. Piotr szedł wielkiemi krokami w ziemię wpatrzony—pas wjadł mu się w piersi, szorował pod pachami, krew do oczu napędzał! Patrząc w ziemię, widział przed sobą cztéry bose stopy; z boku, na wzgórzu sześć takich samych stóp widział; przed nim

i za nim krzyżowały się liny, dotykały kolan, ramienia, jedna się o jego szyję otarła; pomimo to, wciąż mu się zdawało, że on tylko jeden barkę ciągnie, że ci wszyscy schyleni, zgarbieni, z wyciągniętemi szyjami, idą sobie tylko, cały zaś ciężar, cała olbrzymia szara masa, posuwająca się nieznacznie na wodzie, o jego piersi się opiera! Naszczęście téż, wciąż mu się zdawało, że to tylko pierwsze kroki tak trudne, że, ot, zaraz za tą górką, za temi piaskami, w końcu za wąwozem, za kamieniami lżéj będzie! Odetchnie sobie... barka na głębsze wypłynie koryto.. wówczas i on pójdzie jak wszyscy..! teraz za wszystkich ciągnąć musi! Pagórki, piaski, kamienie mijały, gdzie niegdzie trafiała się łączka z wilgotnym gruntem... brzeg błotnisty, albo zbity, jak stół równy; okrwawione nogi ochładzały się nieco—ale pas na piersiach cisnąć nie przestawał. Stary zérkał na niego, on téż parę razy na tego chudeusza spojrzał. Inni, idąc obok siebie, rozmawiali urywkami, półsłówkami.

Staruszek tylko się uśmiechał, mrużył oczy, twarz krzywił dziwnie, jak gdyby z niego wszystkie żyły wyciągano jednę po drugiéj! Wziął Piotra za rękę, ścisnął mocno, odtąd szli już tak ze splecionemi rękami. Piotrowi było jakby lżéj trochę; widział jak stary stąpa z trudnością, naprzód się podaje, ciągnie z całéj siły, nieraz aż ku ziemi się schylał! czuł jak mu palce drgają z natężenia, jak on cały drga od czasu do czasu, niby konający kociak—przekonał się, że nie sam jeden ciężar ciągnie, i lżéj mu się zrobiło, oswajał się powoli!

Odpoczęli pod górą, potém w lesie przysiedli trochę, kto z kim szedł bliżéj, z tym i usiadł; Piotr starego się trzymał, raczéj stary przyplątał się do niego odrazu. Nie gadali z sobą, ale znali się już dobrze. Piotr, czując że stary chwieje się, potyka, przytrzymywał go za rękę, ciągnął za sobą.

— He, he, już ja nie do tańca!—stękał staruszek krzywiąc się żartobliwie!..—Nie... do... tań... ca!—Szedł daléj prawie na czworakach, rękami za większe kamienie chwytał, a jak głowę podjął, oczy miał czerwone, twarz potem oblaną; ocierał czoło rękawem, po chwili nowe krople występowały jak rosa.

— Jeszcze dwie góry korzeniaste, drapieżne bestye, co stąpisz to sęk, albo korzeń, albo cierń ostry, do szpiku włazi! brzeg będzie jak szkłem osypany, nie jeden czort tam kopyta pozdzierał; a potém już tylko piaski, ciężkie, dusza z piersi rwie się, oczy na wiérzch lézą, ale za piaskami, godzinka, droga i nocleg, jeżeli po drodze na mieliznę nie trafim!—mówił do Piotra na odpoczynku. Jedli z jednéj miski, poczęstował go tabaką, zapytał jak się nazywa, o sobie zaś powiedział, że w wiosce kiedyś nazywano go Janem, ale

oddawna już, żeby od innych odróżnić, „Chackielem" na niego wołają.

— Żydowskie to imię, nie ludzkie, ale cóż róbić! Chackiel i Chackiel! widać już im tak do duszy przypadło. Zresztą na wodzie człek żyje jak pies, ni Boga, ni ludzi! żeby nie szczypta słoniny co tam czasem w krupniku pływa, sam siebie nie odróżniłby od Żyda. Niech sobie będzie Chackiel!

Żartując, patrzał z pod oka na Piotra, znowu tabakierę podsunął, ale do gawędy skłonić nie mógł. Chackiel drogę znał wybornie. Po dwóch górach był brzeg dyabelski, za tém piaski, o zmroku weszli niby w wąwoz głęboki; po obu stronach piętrzyły się wzgórza lesiste, jodłą, sosną, gęstemi krzakami jałowcu porosłe, zciemniało tu nagle, rzeka była węższa, głęboka, płynęła spokojnie, miejscami powierzchnia połyskiwała jak lustro. Ludziska wspinali się po urwiskach chwytali za krzaki, za kamienie, na kolanach pełzli... głuchy jęk obijał się o wzgórza, słał się przeciągłém echem po lesie! Ludzi w płócienném ubraniu prawie nie widać było na tle góry piasczystéj... jęk wydobywał się jakby z ziemi... zdawał się unosić w powietrzu, w białawéj mgle, majaczącéj nad wodą. Chackiel, schylony we dwoje wlókł się przy nogach Piotra; powolutku... nieznacznie zdjął pas parciany z piersi, ścisnął w ręku, i wciąż schylony, stękając, spojrzał na Piotra z pod oka. Wdrapywali się po korzeniach, po sękach, miejscami piasek z pod nóg się usuwał... Piotr czuł żar w nogach chwytał za wystające kanty urwiska, zeschły piasek kruszył się w dłoni, ręka opadała—i znowu zdało mu się że sam jeden ciągnie! Spojrzał na Chackiela, w chwili gdy ten skrzywiony błagalnie w oczy mu patrzał... pasa nie miał na piersiach—ale wyglądał taki skurczony, mały, chudy, że Piotr tylko głową skinął, i patrzał daléj pod nogi!

Zciemniało ostatecznie; zeszli w dolinę. Rzeka wiła się wśród łąki, wśród pól zoranych. Stanęli przy pierwszym zakręcie pod lasem. Nikt nawet o jadle nie pomyślał; kto gdzie stał, padł na ziemię, brzuchem, piersiami do zroszonéj trawy się przycisnął! Chackiel czerpał wodę drewnianą konewką, podawał każdemu z kolei; należało to do jego urzędu muzyka, śpiéwaka i humorysty. Pili chciwie, odpoczywali chwilkę i znowu pili, aż nim żar w piersiach ostygł stopniowo—wówczas wydobywali fajki z kieszeni, ale żaden z miejsca się nie ruszał; leżeli wyciągnięci na brzuchach z podniesionemi nieco głowami. Chackiel im siermięgi, kożuchy z barki przyniósł, usługiwał każdemu, z każdym miał swoje rachunki! Dopiéro gdy ostatnia fajka zgasła, przysiadł na brzegu koło Piotra, kolana rękami objął, skurczony w kożuszku na ramionach, patrzył so-

bie na brzeg przeciwny, odpoczywał. Za nimi o parę kroków głuchy las ciągnął się jak wał czarny; zakręcał się w półkole, opasawszy rzekę, w żółtawe brzegi ujętą. W powietrzu drgał szmer wiatru, głuchy szelest nieruchomego lasu, rozlegał się ciężki oddech kilku znużonych piersi; chwilami wiatr, szmer, plusk wody rozpływały się gdzieś między niebem a ziemią. W nocnéj ciszy słychać było tylko urywany, ciężki oddech, słabszy zrazu, stopniowo przechodził w jęk stłumiony, urywał się, cichł, jakby w ziemię wsiąkał, — wracał znowu równiejszy, swobodniejszy, zaczerpnięty z téj głuszy dzikiéj, w któréj drgało tyle sił zaklętych, wsłuchanych pilnie w niemą skargę uśpionych biédaków!

Piotr spać nie chciał; trzymał w wodzie pokaleczone nogi i wpatrywał się w piasczyste wzgórze na drugim brzegu. Dzień cały płynęli, brzegiem wlekli się wiorst kilka—a stąd w prostéj linii i pół wiorsty do wioski nie było! On sam orał nieraz naprzeciwko tego lasu, każdy krzak, każde wzgórze znał jak własne zagony! Wzruszył ramionami, dziwiąc się, że to tak inaczéj lądem, a inaczéj wodą krążyć trzeba. Patrzał, uśmiéchał się nieznacznie... żeby miał łódkę, skoczyłby i trafiłby jeszcze do chaty na wieczerzę!.. Bliziutko... klin żyta... miedza — z pół morga pola... droga... zarośla i wioska... ich chata, pierwsza z brzegu.

— Sen mię bierze!—szepnął Chackiel. — Na pierzynie możeby zasnął... na ziemi—szkoda kości!

— Na pierzynie!—mruknął Piotr — to waszeć chyba naprawdę z Żydów?

— Ej nie! z wioski... tylko zdalekiéj! Bóg tam wié, czy ona jest jeszcze na świecie! Może zgorzała, a może ludzie wymarli.... żywego człowieka z tamtych stron nigdy nie spotkał! A może ją teraz inaczéj nazywają? Kogo nie spytam o Cieciorkę, nikt o niéj nigdy nie słyszał! Jeden Sokoły znał, drugi Wierchiewicze! byli nawet tacy durnie, co kiedyś w Gawronkach mieszkali! tylko Cieciorki nikt nie widział! Teraz już nie pytam, bo pewno inaczéj nazwali! Trafiłby może... tylko nie wiem kędy droga! Teraz wszystko maszyną jeżdżą... a ja z tamtąd piechotą wyszedł! to i trafić trudno! Gdzieś koło Swisłoczy... a tu gadali kiedyś, że i Swisłocz zgorzała! Ha, żyć bywa źle i dobrze, umierać zawsze kiepsko... a mnie chyba już do śmierci idzie... po śmierci dusza sama trafi gdzie jéj przeznaczono. Ot i tam za pagórkami coś gore!—dodał ochrypłym głosem, głową na brzeg przeciwny wskazał—może wioska, a może tylko nocleżniki?

Piotr dawno już spostrzegł na niebie białawy obłok dymu, potém żółtawą smugę, niby łunę, niby odblask wschodzącego księ-

życa... Patrzał... wzrok natężał, podniósł się z ziemi, z wyciągniętą szyją jeszcze lepiéj wpatrywać się zaczął.

Łuna rozlała się na horyzoncie... czerwonawe odblyski sięgały coraz wyżéj.

— Gore, akuratnie gore — mruknął Chackiel.

Piotr drgnął; rzucił okiem na barkę wśród rzeki, na łódkę kołyszącą się u jednego jéj końca, potém na las spojrzał; w dwóch susach, jak dzik zraniony, rzucił się ku drzewu; zanim Chackiel zdołał spojrzéć przez ramię, on był już w połowie wysokiéj sosny, wdrapywał się na wierzchołek, chwytając za sęki... a łuna rozlana po niebie, zaczęła już cieniem wierzchołki lasu ozłacać!

Gorzała chata Czmiela! W cichéj nocy paliła się jak świéca... prawie bez szmeru... bez łoskotu właściwego pożarom. Stara strzecha, spróchniałe krokwie i ściany zajęły się odrazu. Ogień w mgnieniu oka objął chałupę, strzelił słupem iskier do góry, uspokoił się, zwolniał, pochłaniał kupę odwiecznych rupieci! ludziska wyskoczyli z niéj cudem jakimś! Franek, Maksym, Maksymowa, malcy stali rzędem naprzeciwko ognia w ulicy.... Oniemieli z przerażenia, wpatrywali się w płomień! Nogi w ziemię wrosły, głos skonał w piersiach. Dopiéro gdy komin runął, Maksymowa jęknęła: o Jezu!

Maksym spojrzał na nią, potém na obórkę, na stodółkę wypełnioną zbożem po brzegi! Ani jedna iskierka nie leciała w tę stronę... najlżejszy wietrzyk nie poruszył płomieni... chata gorzała cichutko, szary słup dymu wznosił się zwolna ku niebu... Sąsiedzi nawet, przerażeni w pierwszéj chwili, uspokoili się stopniowo. Chata stała na końcu, oddzielona od wioski ogrodem, szeregiem brzozek, a paliła się tak równo, jak kupa suchéj słomy... Ciekawość przemogła trwogę... W mgnieniu oka cała wioska stała już przed ogniem, baby na froncie, w koszulach przeważnie, bez spódnic, bez fartuchów, jak która zerwała się z pościeli. O ratunku nie było mowy, trwoga pierzchła. Całe to zgromadzenie, zbite w kupę pośrodku—z odważniejszymi na prawém i lewém skrzydle, okolone czarną nocą, z odblaskiem czerwonawéj łuny na przerażonych twarzach, wyglądało jak fantastyczne mary, grzejące się zdaleka przy odrobinie piekielnego ognia! Rozczochrane baby z kosmykami siwych i czarnych włosów na czole dopełniały złudzenia!

Za wioską, gdzie się zaczynały gęste zarośla, Ewka bosa, bez chustki, z rozplecionemi warkoczami na plecach, w koszuli tylko i podartéj spódnicy, stała jak odrętwiała przed Andrzejem—poznała go odrazu, słyszała głos jego, czuła, jak trząsł ją za ramię, przez zaciśnięte zęby krzyczał jéj coś nad samém uchem. Czuła nawet, że już coś łusnęło w ramieniu, ból straszny przeszedł po grzbiecie,

przemówić tylko nie mogła!.. Patrzyła mu w twarz szeroko otwartemi oczyma, poruszała nawet ustami, ale głosu z piersi wydobyć nie mogła! Daleki blask ognia słał się po polu, przekradał się do wioski, chwilami oświécal szeroką twarz, rude kudły, wąsy obwisłe... koszulę rozpiętą na szerokiéj kosmatéj piersi. Widziała tedy, że to on, ten sam! w dzikiéj trwodze wpiła się paznogciami w jego rękę... Bała się, żeby nie znikł, żeby wskróś ziemi nie poszedł, nie zostawił jéj saméj wśród nocy czarnéj! Trzęsła się, dzwoniła zębami... Aż w końcu jemu złość przeszła... Spojrzał na nią spokojniéj; akurat taka sama jaką zostawił. Obdarta, samotna, strwożona!

— Czegoż drżysz, głupia? no, cicho... ja nie czort przecie, ani rozbójnik! Ogień wiedźmy nie wziął!—mruknął wytrzeźwiony ostatecznie; zmierzył ją od stóp do głowy, obejrzał się przez ramię ku wiosce... przez chwilę patrzał na zmniejszający się ogień, na czarne sylwetki, widniejące zdaleka.

Ewka oprzytomniała; zęby tylko latały jeszcze jak w febrze, podrzuciła ramionami.

— Czort ich spalił — szepnęła.

— Cicho! waryatko! — syknął Andrzéj przez zęby.

Ale ona już go się nie bała! Życie wstrzymane chwilowo, wybuchło w niéj z nową mocą! Trzepała świszczącym urywanym głosem o swéj doli ciężkiéj, o poniewierce, o głodzie i chłodzie, o wołach przeklętych, o karze boskiéj, o wieczném potępieniu! W ciszy nocnéj głos jéj rozchodził się jak szept złowrogi zduszonego potworu.

— Cicho — powtarzał Andrzéj, parę razy rękę do jéj ust podniósł. — Odejść nie mógł... przykuwało go coś do miejsca... czekał nim ostatni płomień zagaśnie! Ogień buchał jeszcze chwilami... dopalały się zręby... chwilowo rozległ się blask silniejszy... echo przeciągłego okrzyku rozległo się w zaroślach...

— Woły ryczą! — syknęła Ewka. — Andrejek mileńki, drogieńki, kochany — trzepała, uczepiwszy się jego ramienia. — Żeby ty wiedział, żeby ty słyszał, żeby ty własnemi oczami oglądał, co ja biédna, nieszczęsna wycierpiała w téj chacie przeklętéj... Dzięki tobie, Boże miłosierny, że czort ją raz spalił!

— Milcz waryatko!—krzyknął Andrzéj.

Pociągnął ją za sobą w las, w zarośla, szli coraz prędzéj; w ciemności nocnéj migali jak dwa cienie wzdłuż górzystego brzegu rzeki. On szedł wielkiemi krokami, ona dreptała przy nim, trzymając się z tyłu za jego kamizelkę.

— Szkoda, że ja choć bochen chleba nie schwyciła!—szepnęła Ewka, drżąc z chłodu.

On też poczuł, że od rana, prócz wódki, nic w gębie nie miał!

Nim ogień zagasł, zniknęli gdzieś w ciemnéj przestrzeni!....

* * *

W rok potém na miejscu staréj, stała nowa chata, większa, z kominem i z gankiem o dwóch słupach. Pieniędzy Maksymowi pożyczyli trochę sąsiedzi, resztę zakredytował cieśla. Ze skarbu ojcowskiego, w zgliszczach, koło komina znaleźli kilka monet zczerniałych, reszta przepadła bez wieści. Maksymowa w nowéj chacie miała wielki podpiecek, gdzie ze dwadzieścia kur pomieścić można było. Ona téż jedna z całéj rodziny, codzień serdecznie dziękowała Bogu za pożar! Wraz z chatą spaliła się jéj cała biéda, utrapienie... spaliła się Ewka! Napróżno wmawiali sąsiedzi, że widzieli ją zczerniałą, wygłodzoną w mieście wśród robotnic przy budowaniu domów, na kiermaszach, w szynkowni! Ona wierzyć nie chciała! Franek téż wierzyć nie chciał tym bajkom, głośno opowiadał wszystkim, że wiedźma zgorzała, że on sam znalazł zwęglone jéj kości pod kominem, wygrzebał i do rzeki wrzucił. Został już nawet parobkiem u staréj bogatéj wdowy, a jak tylko wszyscy uwierzą o spaleniu się wiedźmy, on się z wdową ożeni. Tymczasem kupił sobie za jéj pieniądze nowe buty, czapkę i szaraczkowy surdut, gdyż szynel żołnierski, wraz z inną odzieżą, spalił się w chacie!...

Ostoja.





Z DORPATU.

Dorpat—to uniwersytet. Dwa te pojęcia stały się od lat kilkudziesięciu tak nierozerwalne, że się utożsamiają prawie w myśli znających chociażby ze słyszenia te „nadbaltyckie Ateny“. Każdy kraj i kraik musi mieć przecież swoje Ateny, mają więc je i Inflanty, chociaż ich mieszkańcy, tak mało, niestety, przypominają owych pięknych Greków. Wpatrzywszy się jednak uważniéj, przekonamy się łatwo, że uniwersytet, pomimo całego swego znaczenia naukowego i społecznego, a studenci, pomimo swego „rozbijania się“, nie wyczerpują jednak bynajmniéj treści życia trzydziestotysięcznéj przeszło ludności. Ludność ta odznacza się na pierwszy już rzut oka ogromną różnolitością, wrażenie zaś różnolitości téj wzrasta w miarę dłuższego wpatrywania się. Dorpat, między swojemi osobliwościami, posiada malowniczy zakątek, noszący miano „Szwajcaryi“, w niéj zaś, dzięki staraniom znanego profesora mineralogii Grewingka, od roku już nieboszczyka, wznosi się ściana sztuczna, przedstawiająca w przecięciu rozmaite warstwy geologiczne trzech prowincyi tutejszych;—otóż i zamieszkujący tu ludzie równie rozmaity przedstawiają widok, i warstwy ich, odmienne pochodzeniem, losami historycznemi i rolą w życiu społeczném obecném mniéj jeszcze chyba zlewają się z sobą, aniżeli kruszce i kamienie we wnętrzu ich ziemi. Przeszedłszy się w zimie po ulicach dorpackich, najbardziéj w porze téj roku ożywionych, spotkamy typy bardzo rozmaite: naprzód oko nasze zatrzyma się z pewnością na papuziego koloru czapeczkach studenckich, noszonych przez synów Kurlandyi, Estlandyi i Liwonii a różniących się tylko wązkiemi naszywkami, stosownie do barw herbowych każdéj z tych prowincyi; daléj zauważymy téż i inne, mniéj liczne czapki kolorowe—szafirowe z pąsowém Rygarzy, niebieskie i fioletowe—przybyszów z róż-

nych stron państwa. Często téż widzi się tu granatowe skromne furażerki, t. zw. maciejówki, noszone przeważnie przez młodzież polską i kurlandczyków, nie należących do korporacyi lub nie obdarzonych jeszcze kolorami. Czapka studencka, na pozór przynajmniéj jeżeli nie w rzeczywistości, wszystkich noszących ją równa, nie będziemy więc dłużéj wpatrywać się w tę kolorową młodzież, (zdrowo i barczyście na ogół wyglądającą, z wyjątkiem Polaków, Rosyan i Zydów), zwrócimy uwagę na innych przechodniów. Tutaj, jak i w innych miastach, rozróżnimy odrazu ubiór klasy niższéj od ogólnego stroju europejskiego.

Popielate z grubego sukna samodziałowego, opończe okrywają przysadziste, krępe postaci wieśniaków, z pod olbrzymich czapek futrzanych z nausznikami, zwykle związanymi na wierzchu głowy, wyglądają twarze szerokie o rysach nieregularnych, blado niebieskich oczach i żółtawym zaroście, pozbawione przeważnie wyrazu, z wyjątkiem chyba apatyi i powolności rozlanéj na całym obliczu i przeglądającéj w leniwych i flegmatycznych ruchach. Towarzyszące im kobiety odznaczają się białością płci i delikatniejszemi rysami, ale, prócz absolutnego spokoju, nic na ich twarzach, w zwykłém usposobieniu ducha wyczytać niepodobna. Birgerzy dorpaccy, ludzie mniéj więcéj wykształceni i ogładzeni, pomimo języka i obyczaju niemieckiego noszą jednak ślady estońskiego w przeważnéj części pochodzenia, w wymowie téż ich niemieckiéj przebija pewien odcień obcy, i to nawet w dalszych pokoleniach, po kilkudziesięciu nie raz latach używania w rodzinie mowy germańskiéj. Starych, patrycyuszowskich familii kupieckich, jakie się spotykają naprz. w Rydze, w Dorpacie prawie niema, widocznie wpłynęły na to tragiczne losy tego, po wiele razy ogniem i mieczem niszczonego miasta. Po nad birgeryą, wznoszącą się nad ludem miejskim i rzemieślniczym, w ścisłém znaczeniu tego słowa, wyniosła się znowu warstwa inna, bardzo mało mająca z nią stosunków osobistych i towarzyskich, a mianowicie sfera tak zw. „literatów", „*Literaten-stand*", składająca się z wszelkiego rodzaju inteligencyi—t. j. profesorów uniwersytetu i gimnazyów, lekarzy, adwokatów, dziennikarzy etc. Zastęp to wpływowy i liczny, obejść się więc bez niego, nawet w tak feudalnym, jak prowincye te, kraju, zbyt było-by trudno; szlachta więc, rządząca tu dotychczas wszystkiemi sferami życia, starała się go zawsze przyciągać do siebie, i chociaż w życiu towarzyskiém, familijném etc. rozdział pomiędzy dwiema temi klasami ogromny—za to w teoryi, w przekonaniach, aspiracyach i ideałach, politycznych i społecznych panuje jedność zadziwiająca. Stosuje się to jednak tylko inteligencyi miejscowe-

go pochodzenia, gdyż dość liczni cudzoziemcy, zapraszani na rozmaite, katedry z nielicznemi bardzo wyjątkami, całkiem obojętnie się zachowują wobec dążeń i uczuć otaczającéj ich ludności i zajęci są przeważnie jak najszybszém zapewnieniem sobie niezależności materyalnéj, i co za tém idzie, powrotu do Niemiec.

Szlachcic nadbaltycki i wogóle Niemiec tutejszy, tylko tutaj, na swoich śmieciach jest prawdziwie samym sobą, tu jest on patryotą i to dość odważnym, tu, pielęgnując starannie własne swoje sprawy i korzyści, pracuje téż zarazem i dla swego kraiku, którego odrębność jest mu rzeczywiście bardzo drogą. Ale, po za granicą swego „Heimath'u", po kilku, czy kilkunastu latach pobytu w inném miejscu, a zwłaszcza w stolicy, zmienia się on do nie poznania, o patryotyzmie kurlandzko-liwońskim nie wspomina już wcale, wyniosły potomek Krzyżaków, landlord baltycki zamienia się na zręcznego, punktualnego oficera gwardyi, lub ministeryalnego automata w téj lub innéj roli, zajętego wyłącznie prawie swoją własną karyerą.

Obecnie otwiera się już brama nowéj epoki dla całéj téj klasy, pomimo wszystkich jéj zabiegów, zręcznych, dobrze obmyślanych, popartych długoletniém doświadczeniem i różnorodnemi wpływami. Zobaczymy więc w co obrócą wkrótce panowie tutejsi ów zbytek sił i czasu, który zużywają teraz na służbę społeczną w rozmaitych instytucyach wyborczych, znoszonych przez nowe prawa.

Bądź-co-bądź, pomimo fałszywości zasady, oddającéj kilkomilionową masę w ręce szczupłéj garstki, obcéj pochodzeniem i językiem, garstka ta jednak, na ciemném tle swoich rządów, miewała i jasne promienie,—promieniem takim jest właśnie wysoki stosunkowo stan oświaty ludu i szkół ludowych. Wprawdzie inicyatywa wyszła tu początkowo wcale nie od Niemców, lecz od Szwedów, a mianowicie od Gustawa Adolfa, nakazującego zakładać wszędzie szkoły wiejskie i wogóle troszczącego się o dobrobyt moralny i materyalny niższych klas ludności. To téż Gustaw Adolf i wogóle czasy szwedzkie żyją we wdzięcznéj pamięci wszystkich późniejszych pokoleń, czego, niestety, bynajmniéj nie można powiedzieć o epoce naszego w prowincyach tych gospodarowania. Różnice religijne nie mało do przykrości wspomnień tych się przyczyniły. Zresztą nie tyle Estończycy, lub Łotysze źle nas wspominają, ile panujący nad nimi Niemcy.

Estończyków w Dorpacie widzi się naturalnie na każdym kroku; rynki są nimi przepełnione, kupcy pomniejsi, wszyscy prawie rzemieślnicy, słowem cała klasa niższa z Estończyków się składa, o burżuazyi toż samo prawie dało by się powiedzieć, gdyby nie starała się ona tak gorliwie faktu tego ukrywać. Ostatniemi czasy,

w miarę dojrzewania świadomości narodowéj, stosunki znacznie na lepsze się zmieniły i dziś już nie mało widzimy ludzi bardzo nawet majętnych i inteligentnych, manifestujących swoje pochodzenie i uczucia estońskie. Pomimo codziennych jednak stosunków z Estończykami, to jest ze służbą, przekupniami etc., po kilkoletnim nawet pobycie wśród ludu tego, nie zna się go wcale, albo raczéj poznaje się go z pewnych stron tylko, i dodajmy, stron wcale nie korzystnych. Przedstawia się on nam mianowicie jako lud bardzo nieufny, podejrzywający w nas wyraźne chęci oszukania go i wyzyskania w ten lub inny sposób, jako lud flegmatyczny, ciężki w myśleniu i dbający tylko o zdobywanie i oszczędzanie grosza, a pozbawiony wszelkich podnioślejszych i poetyczniejszych stron ducha. Czy tak jednak jest w istocie nie trudno będzie się przekonać, przypatrzywszy się mu bliżéj i tam, gdzie Estończyk jest tylko sobą i tylko wśród swoich.

Oto wielkie afisze i anonse gazety niemieckiéj i kilku estońskich zapowiadają nam, że w taką a taką niedzielę odbędzie się święto doroczne narodowe estońskie, czytanie utworów literackich, przysłanych na konkurs, śpiewy i muzyka konkursowe etc. etc. Doczekawszy się owéj niedzieli, zaopatrujemy się w bilety i program, i wyruszamy do tak zwanéj trzeciéj części miasta, do lokalu „Eesti Kirjameesti Selts“, czyli estońskiego towarzystwa oświaty ludowéj. Przy lokalu tym znajduje się obszerny ogród górzysty i w nim to właśnie ma się odbywać uroczystość dzisiejsza. Tłum ogromny przepełnia ogród (bilety kosztują od 20 kop. do 1 rubla), większość szarych samodziałowych kubraków, strój kobiét przeważnie zwyczajny miejski, z rozmaitemi stopniowaniami gustu i materyału. Unoszeni falą, znajdujemy się wreszcie w olbrzymiéj hali, któréj świéżo sklecone ściany ustawione są dokoła młodemi brzózkami i sosenkami i udrapowane wieńcami z liści dębowych, klonowych i świerczyny, przetykanych kwiatami. Płótna żaglowe, rozpięte w górze, chronią nas od skwaru i bronią przystępu jaskrawemu słońcu. Członkowie zarządu, poznawszy obcych, śpieszą na nasze spotkanie, dziękują za „zaszczyt“, który im czynimy, i prowadzą nas na miejsca honorowe. Sąsiedzi nasi powtarzają to samo; arcyuprzejme przyjęcie to dziwi nas i ambarasuje nie pomału, potém jednak przypominamy sobie, jak rzadko rzeczywiście święta i rozmaite obchody estońskie odwiedzane są przez członków innych narodowości, a zwłaszcza przez mniéj więcéj znanych w mieście ludzi. Tymczasem właśnie te obchody ludowe są chyba jedyną rzeczą prawdziwie charakterystyczną i oryginalną w Dorpacie. Pozostawieni wreszcie samym sobie, poczynamy się znowu rozglądać,

tu już widzimy więcéj „pań“ i „panów“, więcéj modnych kapelusików na jasnych głowach, więcéj eleganckich okrywek na dość rozrosłych ramionach. Ładnych twarzyczek nie wiele. Wprost nas estrada, przedstawiająca się jak wielka altana zielona, na pierwszym jéj planie trybuna, wystająca na zewnątrz i wyglądająca jak tarcza z różnokolorowych róż i przepysznych lilii.

Na prawo obok nas stół sędziów honorowych i członków zarządu, pomiędzy którymi poznajemy znane świeczniki narodowości estońskiéj: redaktorów, literatów, nauczycieli, kompozytorów muzykalnych etc. etc. i kilku zaproszonych sędziów z innych narodowości, jednego profesora uniwersytetu i muzyka-specyalistę, cudzoziemca. Na trybunę wstąpił tymczasem ktoryś z sędziów i zaczął czytać jeden z utworów poetycznych, nadesłanych na konkurs. Parotysięczna publiczność słuchała go z natężeniem, śledząc uważnie wszystkie odcienie myśli autora, wszystkie modulacye głosu prelegenta. Grzmiące oklaski dały się słyszéć ze stron wszystkich po skończeniu, widocznie poeta potrafił poruszyć serca swoich ziomków. Następnie trybunę zajął znany dziennikarz i czytał wyjątki ze świeżo nadesłanéj pracy naukowéj, a mianowicie historyi literatury, któréj dotychczas Estończycy nie posiadali. Mniéj dostępny dla ogółu słuchaczy przedmiot mniejszy téż wywołał entuzyazm. W ten sposób po krótkich przerwach odczytywano kolejno to wiersze, to prozę; nie znając, niestety, gruntownie języka estońskiego, a zwłaszcza literackiego, nie byliśmy w stanie sądzić, o ile było usprawiedliwioném, mniéj lub więcéj sympatyczne przyjęcie świéżo usłyszanego utworu; dodamy tylko, że w szeregu prac prozaicznych znajdowały się rozprawy z dziedziny etnografii, mitologii, literatury i t. d.

Oddział literacki programu kończył się wreszcie ku naszemu zadowoleniu, z przyjemnością więc, podczas długotrwającéj przerwy, śledziliśmy, przechadzając się w cieniu pięknych lip i klonów, pewne przygotowania do dzieła następnego, a mianowicie konkursu muzycznego. Wśród zieleni błyskały co chwila złotem i srebrem wielkie instrumenty dęte, przenoszone w stronę estrady; wśród tłumu migały stroje narodowe grup śpiewaków i śpiewaczek, podążających téż w ową stronę. Na dany znak zajmujemy znowu swoje miejsca i patrzymy na członków improwizowanéj orkiestry, stojących na estradzie. Pewne zakłopotanie widać na ich ogorzałych twarzach, bronzowe, żylaste ręce mocno przyciskają do piersi oboje, fagoty, klarnety i flety, w ludziach tych odrazu poznalibyśmy chłopów, tyko co oderwanych od kosy, gdybyśmy nie widzieli nawet ich ciemnych, prawie czarnych kapot, wyszywanych na piersi

i na bokach w dole czerwonemi i zielonemi sznurkami, i czarnych, grubych kapeluszy na ich głowach. Ze zdziwieniem spostrzegamy téż, że większość ludzi tych ma ciemne włosy i oczy, lecz sąsiad, znany przewodnik narodowości estońskiéj, tłómaczy nam, że orkiestra przybyła z powiatu Felińskiego, odznaczającego się właśnie odrębnym typem swoich mieszkańców. Po chwili dają się słyszéć wesołe dźwięki jakiéjś sztuki z repertuaru międzynarodowego. Zgoda i pewność gry, a także czystość tonów wprawiają nas odrazu w prawdziwe podziwienie,—pytamy więc znowu, czy są to specyaliści, czy jest to orkiestra stała? Odpowiadają nam, że bynajmniéj, są to prawdziwi chłopi, gospodarze i parobcy, którzy przerwali tylko-co roboty w polu, aby, korzystając z niedzieli, wziąć udział w święcie ogólném i popisać się z rezultatem długich ćwiczeń amatorskich podczas zimy. Entuzyazm publiczności po skończonym numerze był im upragnioną nagrodą, z rozradowanemi twarzami wzięli się więc do sztuki następnéj, jakiéjś poważnéj pieśni narodowéj i po niéj znowu ogłuszające oklaski i głośne okrzyki zachwytu. Wśród okrzyków tych opuszczali oni estradę, rozmijając się na jéj schodach z młodemi dziewczętami, śpieszącemi zająć ich miejsce. Na pierwszy plan wystąpiło cztery młode dziewczyny, w pseudomodnych sukniach mocno różowych i trawiasto-zielonych, za niemi dostrzegliśmy dwie postaci męskie, jak się okazało, tenora i barytona, przed wszystkiemi zaś stanął w popielatym kubraku dyrektor i nauczyciel tego chóru, bakałarz wiejski, który przyjechał wraz ze swymi uczniami. Właścicielka trawiastéj sukni, młoda, ładniutka, na lat ośmnaście wyglądająca dziewczyna, okazała się też właścicielką prześlicznego, prawdziwie srebrnego głosiku, a może wielkiego głosu nawet, tamowanego jednak przez potężne zakłopotanie i przestrach. Usposobienie to prymadonny udzieliło się widocznie i innym członkom chóru, gdyż śpiewali oni prawie półgłosem, chociaż zgodnie i czysto, naprzód ładną piosnkę ludową, a potém znaną aryą z „Rigoletto“, rozłożoną na rozmaite głosy i z tekstem estońskim. Po skończonym śpiewie dawano i im oklaski, chociaż znacznie umiarkowańsze, aniżeli ich poprzednikom. Po nich znów zjawiła się inna orkiestra wiejska, wykonywająca z wielką precyzyą sztuki rodzinnych kompozytorów i *potpourri* z rozmaitych piosnek, śpiewanych na obszarze państwa rosyjskiego. Gdy i ci artyści zmieszali się z tłumem zwykłych śmiertelników, ujrzeliśmy przed sobą znowu kilka kobiét i wyglądających z po za nich mężczyzn. Tym razem zamiast karykatur mody, widzieliśmy malownicze, a jeszcze bardziéj oryginalne stroje narodowe. Obcisłe gorsety czarne ze świecącemi guzikami ładnie odbijały przy bia-

łych koszulach o szerokich rękawach, spódniczki w jaskrawe pasy i wyszywane fartuszki, głowy zaś, o włosach rozpuszczonych, zdobiły dość szerokie obręcze pąsowe, suto naszywane błyszczącemi paciorkami. Najoryginalniejszym jednak, a najpierw rzucającym się w oczy szczegółem stroju była wielka, wypukła i okrągła blacha srebrna, z jakimś kamieniem żółtym, w rodzaju topazu, tkwiącym w jéj środku, przypominająca swym kształtem ozdoby pancerzów Walkiryi po obu stronach piersi, lecz umieszczona w samym środku po nad gorsetem, pomiędzy piersiami. Nie mogliśmy się dowiedzićć znaczenia téj ozdoby, noszącéj miano „*sölg*“, chociaż niegdyś miała je ona z pewnością, powiedziano nam tylko, iż obecnie coraz rzadziéj spotkać się z nią można, w powiecie jednak Fellińskim i Werroskim jest jeszcze ona w dość powszechném użyciu. Jasnowłosa prymadonna rozpoczęła bardzo ładnym frazesem muzykalnym ze słowami „Izamaa“ i oktawą wyżéj znowu „Izamaa“ (co znaczy ojczyzna, ojczyzna), koledzy i koleżanki zmieszali swe głosy z jéj głosem i wywiązał się z tego *ensemble* tak uroczy, że się wierzyć nie chciało, iż był to śpiew amatorów i to amatorów-chłopów. Zgoda zadziwiająca, ani śladu zakłopotania, przeciwnie, najzupełniejsza pewność siebie, wyrażająca się między innemi i w tém, że nie mieli oni z sobą żadnego kierownika, a co dziwniejsza, dość znaczne wyrobienie głosów. Zdumienie jednak nasze przeszło w prawdziwy zachwyt, kiedy się dało słyszéć *solo* tenora. Barczysty chłop ten, nie pierwszéj już młodości, posiada, mówimy bez najmniejszéj przesady, jeden z najwspanialszych głosów tenorowych, jakie gdziekolwiekbądź usłyszéć można, a przytém widoczny temperament muzykalny i gorące zamiłowanie sztuki. Kiedyśmy się unosili nad cudownym tembrem i siłą głosu tenora, jeden z naszych sąsiadów, d-r Herrmann, redaktor dziennika „Postimes“ i zarazem kompozytor tylko-co odśpiewanéj prześlicznéj kantaty „Izamaa“, powiedział nam, że wieśniak ten zasłynął już szeroko i że nawet sprowadzany był na popis przed Najjaśniejszego Pana, jako wzorowy śpiewak ludowy. Entuzyazm słuchaczy nie znał już prawie granic, oklaski mieszały się z krzykami: niech żyją „elagü“! — to też widocznie wzruszeni, a dumni i rozradowani uznaniem tylu współziomków, schodzili śpiewacy z estrady. Żaden z chórów następnych, pomimo zalet niektórych, nie wywołał już takiego zapału, tak samo jak żadna téż z orkiestr nie dorównała fellińskiéj, to téż nie trudno było przewidzieć, że dwom tym grupom dostaną się pierwsze nagrody. Ostatni numer programu wreszcie wykonany; chłód wieczorny daje się poczuć; uroczysta cisza zalega całe zgromadzenie, wszystkie oczy zwracają się ku stołowi sędziów. Nakoniec jeden

z nich a mianowicie p. Hugo Treffner, prezes towarzystwa oświaty ludowéj ogłasza rezultat narad. Pierwszą nagrodę literacką przysądzono pracy świeżo zmarłego nauczyciela Kundera, zawierającéj historyą literatury estońskiéj w zarysie, pierwszą nagrodę za muzykę otrzymuje orkiestra fellińska, za śpiew—ów śliczny chór z pod Werro, a mianowicie ze wsi Nawi. Nagrody drugorzędne dostały się mniéj wybitnym stowarzyszeniom. Każdy ten wyrok odzywał się potężném echem wśród publiczności i po skończonéj przemowie prezesa zabrzmiał niespodzianie olbrzymi chór wszystkich zgromadzonych, śpiewających „niech żyją“ na cześć tych wszystkich, którzy przynieśli bezinteresownie swe siły, naukę i sztukę w ofierze narodowi—i, w szczególności, obecnemu zgromadzeniu.

Podnieśliśmy się z miejsc i zmierzaliśmy już ku jednemu z licznych wyjść, gdy towarzysz mój, mijając stół sędziów, szepnął mi: „patrz, to Reinwald“. Przed nami stał człowiek czterdziesto-kilkoletni, w czarnéj sukmanie chłopskiéj, dość wysoki i rozrosły, przypominający wygolonego księdza katolickiego, lecz księdza południowca, o czarnych błyszczących, dużych i głęboko osadzonych oczach, o orlim nosie i wogóle pełnéj wyrazu twarzy. Ale któż jest ten Reinwald, aby takie mógł wzbudzać zajęcie? Otóż ten chłop prosty, pracujący w pocie czoła pługiem, sierpem i kosą jest poetą, i to poetą prawdziwym, poetą z Bożéj łaski, wylewającym głębokie myśli i ogniste uczucia w pełnych życia obrazach i w rymach melodyjnych a silnych. Nie znając poezyi Reinwalda w oryginale, słyszeliśmy je jednak w bardzo blizkim, chociaż na prędce ułożonym przekładzie także poety i uczonego d-ra Weske, i nie chcieliśmy wierzyć, aby człowiek, co skończył tylko elementarną szkołę wiejską, i nie posiadający żadnego języka prócz swego estońskiego, był wstanie się zdobyć na takie myśli i takie głębokie przenośnie i porównania. Talent ten tém bardziéj zadziwia jego wykształconych współziomków, że forma utworów nie ma nic wspólnego z poezyą ludową, przeciwnie przypomina kunsztownością swoją, niektóre klasyczne wzory literatury eropejskiéj. Rodacy jego są przekonani, że gdyby poeta ten, zagrzebany w wiosce fellińskiéj pisał w którymś z bardziéj znanych języków, zasłynął by z pewnością, jako znakomity liryk. Przypatrzywszy się Reinwaldowi, wychodzimy ostatecznie z ogrodu, z uczuciem wielkiego zadowolenia moralnego ale téż i pewnéj zazdrości. Zazdrości? Ale czyż możemy my, synowie narodu dziesięć kroć liczniejszego, ze świetną przeszłością, rozkazującego niegdyś i tej garstce dalekiéj, dziś zaś posiadającego obszerną i oryginalną literaturę, liczny zastęp patentowanych uczonych, i własne akademie i uniwersytety, czy możemy czegokolwiek bądź za-

zdrościć jednomilionowemu narodkowi, upośledzonego fińskiego plemienia, przez cały ciąg swych znanych dziejów przerzucanego jak stado pracowitych, lecz pozbawionych myśli i woli zwierząt z jednego jarzma pod drugie? Tak, niestety, w wielu i wielu razach ci niepozorni Finnowie muszą rozbudzać w nas zazdrość, chociaż ostatniemi dopiero czasy idą o własnych siłach, dotąd zaś prowadzeni byli na pasku obcéj kultury. Tak jak jest dzisiaj, są oni bezwątpienia, obok Łotyszów, najbardziéj oświeceni ze wszystkich ludów, wchodzących w skład cesarstwa rosyjskiego i najbardziéj rozwinięci pod względem potrzeb duchowych i popędów artystycznych, których zadowolenie w sposób dla nich przystępny, w formie muzyki i śpiewu przedewszystkiém, powstrzymuje ich od upijania się, karczemnego i jarmarcznego marnotrawstwa. Na nich właśnie widzimy naocznie skutki dobréj szkoły, i co więcéj, dobréj tradycyi szkolnéj. Do wytworzenia jéj nie mało się przyczyniła bez wątpienia reforma religijna, wymagająca koniecznie znajomości pisma świętego i szerszego udziału gminy w nabożeństwie kościelném, a więc organizująca szkoły, uczące w języku miejscowym i wymagająca od bakałarza pewnéj umiejętności śpiéwu i dobrego ucha muzykalnego. Wymagania te przetrwały dotychczas, wzmógłszy się nawet z czasem; skromne zaś szkoły wiejskie, uczące początkowo tylko czytać biblią i śpiewać hymny kościelne, rozmnożyły się w prowincyach tutejszych do dziesiątka prawie tysięcy i rozdzieliły się na dwie kategorye, z których wyższe, t. zwane szkoły parafialne, dawały swoim uczniom za parę rubli rocznie tyle nauki i według programu stosunkowo tak obszernego (bo nawet w wielu miejscach z językami starożytnemi), że uczniowie ich mogli wstępować wprost do wyższych klas gimnazyów, ci zaś co zostawali na wiejskiéj glebie, pracowali na niéj daléj, gromadząc grosz celem kupienia jéj na własność, płacąc najskrupulatniéj podatki (na prowincyach tutejszych nie ciężą żadne niedobory) i zakładając stowarzyszenia oszczędności, posiadające dziś już milionowe kapitały. Śpiéw i muzyka, czytanie licznych gazet i uczęszczanie na zabawy estońskie, a czasem i przedstawienia teatralne zapełniają wolne chwile. Czyż wobec tego wszystkiego nie obudzi się zazdrość, gdy wspomnimy o naszym ludzie, bogatszym z pewnością od Estończyków w zasoby naturalne?

Dalcki.



BANK WŁOŚCIAŃSKI.

I.

W krajach z rozwiniętym do wysokiego stopnia przemysłem wzrastająca ludność napływała do miast, w krajach przeważnie rolniczych pozostaje na wsi. Stąd w jednych pierwszorzędne miejsce zajmuje kwestya robotnicza, w drugich—sprawa agrarna.

W Europie środkowéj i zachodniéj, z wyjątkiem jednéj chyba Irlandyi, sprawa włościańska nigdy nie zajmowała i obecnie nie zajmuje uwagi społeczeństw i rządów w tym stopniu, co w Rosyi i Polsce.

W Niemczech, Austryi i innych krajach uwolnienie ludności włościańskiéj z pod zależności dominiów dokonywało się na mocy dobrowolnych umów stron. Wykup odbywał się środkami, jakie włościanie sami posiadali: gotowizną albo ziemią. Dopiéro przy schyłku operacyi wykupowéj zjawiły się w niektórych krajach niemieckich państwowe banki rentowe, które przychodziły z pomocą pieniężną i kredytową ludności włościańskiéj.

Takie pozostawienie włościan własnéj ich sile i własnéj pomocy wydało ten rezultat, że tracili oni coraz bardziéj grunt pod nogami, że własność ich w niektórych krajach albo zupełnie zaginęła, albo doszła do miniaturowych rozmiarów, przy których niepodobném staje się utrzymanie samodzielnego gospodarstwa. W Anglii i Meklemburgii stan włościański zupełnie zanikł. We Francyi własność włościańska uległa agrarnemu rozdrobnieniu (*poussières*), które tylko dzięki urodzajnéj glebie, pomocniczym środkom, jakie rolnik znajduje w przemyśle, i małéj płodności małżeństw nie wydaje tak zgubnych skutków, jak w innych krajach. We Włoszech w miejsce włościan właścicieli spotykamy drobnych dzierżawców.

W Niemczech obok pewnéj liczby zamożnych włościan (*spannfähige Bauern)* znajduje się ogromna większość małorolnych i bezrolnych.

W Rosyi, gdzie z jednéj strony inicyatywa prywatna ma daleko mniejszy zakres działania, aniżeli w innych krajach Europy, a z drugiéj stosunek ludności wiejskiéj jest nierównie większy, i znaczenie jéj w całym ustroju ekonomicznym i społecznym ważniejsze, aniżeli gdziekolwiek indziéj, operacya wykupowa od samego początku do dnia dzisiejszego prowadzona jest przez organy rządowe i środkami państwowemi. Tak samo w Królestwie Polskiém.

Ująwszy raz w swe ręce sprawę agrarną, władze rządowe w Rosyi uznały, iż z rąk wypuścić jéj nie powinny, że działalność ich nie może się ograniczyć na zwolnieniu włościan od poddaństwa, pańszczyzny i innych ciężarów na rzecz dominiów, ale winna nadto dążyć do wyposażenia włościan w dostateczną ilość ziemi, czuwać nad tém, aby ziemia została utrwaloną w rękach nowych właścicieli, a nawet rozszerzyła swe granice. Tą tendencyą nacechowane jest całe prawodawstwo agrarne w Cesarstwie Rosyjskiém, a jeszcze bardziéj w Królestwie Polskiém.

Z téj także myśli powstał Bank włościański, który uważany być musi za dalszy ciąg, uzupełnienie i udoskonalenie operacyi uwłaszczenia. Tym, którzy przy uwłaszczeniu zbyt skąpo uposażeni albo nawet zupełnie pominięci zostali, tym wreszcie ze świeżego pokolenia, którzy przy działach rodzinnych zbyt mało ziemi otrzymali, albo skutkiem niemożności nieograniczonego dzielenia gruntów zupełnemu wydziedziczeniu ulegli, Bank włościański da możność i środki nabywania ziemi. Inaczéj naturalnie musi być traktowana ziemia, od wieków w posiadaniu włościan znajdująca się, pracą ich użyźniona i potem zroszona, a inaczéj ziemia obca, mająca dopiéro w przyszłości przejść w ich posiadanie; do nadania im pierwszéj usprawiedliwionemi się zdawały środki przymusu, druga może do nich przejść jedynie w drodze dobrowolnych układów. To tylko pomiędzy temi dwoma sposobami przejścia ziemi na rzecz włościan jest wspólnego, że tak do jednego, jak do drugiego rząd dostarcza środków,— do umożebnienia uwłaszczenia posłużyły w Cesarstwie Instytucya wykupna i Bank państwa, u nas Komisya likwidacyjna — do ułatwienia włościanom nabywania ziemi w drodze kupna służy Państwowy Bank Włościański.

Pogląd na działalność Banku włościańskiego, jako na dalszy ciąg sprawy uwłaszczenia, usprawiedliwiają głównie przepisy z dnia 11 kwietnia 1888 r., określające, dla kogo nowa instytucya w granicach Królestwa założoną zostaje, i ubezpieczające utrzymanie własności przy przyszłych klientach Banku włościańskiego. Prze-

pisy te, analogiczne z rozporządzeniami ukazu o uwłaszczeniu i późniejszém jego rozwinięciem, są następujące:

Pożyczki wydawane będą osobom ruskiego, polskiego i litewskiego pochodzenia, mającym prawo nabywać ziemię, podchodzące pod Najwyższy ukaz o uwłaszczeniu z dnia 19 lutego (2 marca) 1864 i otrzymującym świadectwo właściwego komisarza włościańskiego, iż przeciwko wydaniu im pożyczek nie zachodzi żadna przeszkoda.

Kupno gruntu, na który ma być udzieloną pożyczka, ulega rozpatrzeniu przez zarząd Banku włościańskiego i pożyczka wówczas dopiéro będzie przyznana, jeżeli warunki kupna przez tenże zarząd za korzystne i zgodne z przepisami prawa zostaną uznane.

Nabywać grunta przy współudziale Banku włościańskiego mogą tylko włościanie, podpadający pod ukaz o uwłaszczeniu. W razie przejścia nabytego gruntu w drodze spadku, zapisu, lub darowizny na osobę nie należącą do wymienionéj kategoryi, musi ona w ciągu roku odstąpić ten grunt uprawnionemu włościaninowi.

Ziemie, nabyte przy pomocy Banku włościańskiego, nie mogą być dzielone na części mniejsze od 6 morgów miary nowopolskiéj.

Zabudowania, znajdujące się na gruncie, nie mogą być sprzedawane oddzielnie od gruntu. Dosłowna redakcya art. 16 przepisów z r. 1888 brzmi w tłómaczeniu jak następuje: „Części majątku, nabytego przy współdziałaniu Banku, jakie dostały się nabywcom, nie podlegają dalszemu podziałowi w naturze pod żadnym tytułem, ani w jakiéj bądź formie, jeżeli cząstki pochodzące z podziału obejmują mniéj, aniżeli 6 morgów miary nowopolskiéj."

Z redakcyi téj nie można wywnioskować, czy Bank przy samém udzielaniu pożyczek przestrzegać będzie, aby osady nie były mniejsze od 6 morgów, czy téż udzielać będzie kredyta i na mniejsze posiadłości, lecz tylko w przyszłości osadom większym, korzystającym z kredytu bankowego, nie wolno będzie się dzielić poniżéj 6-morgowego *minimum*.

Zdaje się, że kiedy prawodawca przekonany jest o szkodliwości mniejszych osad i chce zapobiedz tworzeniu się ich w drodze odprzedaży, albo działów spadkowych, to instytucya państwowa, jaką jest Bank włościański, nie będzie przyczyniała się do kreowania takich osad, przez udzielanie pożyczek na kupno dóbr dla rozdrobnienia ich na posiadłości w rozmiarach przez rząd za szkodliwe uznanych.

W tym punkcie nie możemy się dopatrzéć podobieństwa pomiędzy uwłaszczeniem a działalnością Banku włościańskiego. Przy uwłaszczeniu przeszły na własność włościan te grunta, jakie w posiadaniu ich się znajdowały, jeżeli przeto kto posiadał mało gruntu,

nie można było dać mu go więcéj, i ztąd powstali małorolni. Zresztą pogląd na szkodliwość osad mniejszych od 6 morgów dopiero późniéj się wyrobił, i prawo zabraniające dzielić grunta niżéj tego *minimum* zapadło blisko we 2 lata po ukazie o uwłaszczeniu. Bank włościański natomiast nie jest w tém położeniu, aby potrzebował rachować się z faktami spełnionemi, gdyż ograniczenie pod względem podzielności osad znajduje się w témże samém prawie, co i rozciągnięcie działalności banku na gubernie Królestwa Polskiego.

Dalszą analogią pomiędzy uwłaszczeniem a działalnością Banku włościańskiego dojrzéć można i w tém, iż prawodawca nie traktuje Banku włościańskiego jako zwyczajny zakład kredytowy, ale jako instytucyą użytku publicznego, i z tego tytułu przeznacza dla celów nowego banku część funduszu użyteczności publicznéj Królestwa Polskiego w sumie dwóch milionów rubli,—który to fundusz wedle art. Z Najwyższego ukazu z d. 10 (22) maja 1860, przeznaczony był na uregulowanie w owym czasie stosunków włościańskich.

Jak w sprawie uwłaszczenia włościan, Rosya nie poszła śladem, utartym przez resztę Europy, tak i w sprawie kredytu włościańskiego nową obrała drogę.

Kredyt ziemski pozostawiony jest wogóle początkowaniu prywatnemu i objawia się w dwóch formach: albo jako instytucye na wzajemności oparte, jak np. pruskie landszafty i nasze Towarzystwo kredytowe, ziemskie, albo jako towarzystwa akcyjne, jak np. francuski *Crédit foncier* i rosyjskie banki ziemskie. Obie wszakże te formy dostępne są tylko dla większéj własności. Powodzenie pruskich landszaftów, istniejących przeszło wiek cały, i wielu innych instytucyi na ich wzorach powstałych dla większéj własności nietylko ziemskiéj, ale i miejskiéj, nie zdołało pobudzić ludności włościańskiéj do naśladownictwa, do utworzenia wzajemnych stowarzyszeń dłużników dla celów kredytu ziemskiego,—siły drobnéj własności zbyt są do tego słabe i za mało budzą zaufania publiczności. Włościanin nietylko u nas, ale w żadnym kraju nie posiada tego stopnia inteligencyi, jakiego potrzeba do zarządzania skomplikowanemi instytucyami kredytu ziemskiego, listy zastawne przez niego emitowane nie mogłyby liczyć na pokup. Próby znowu zaspokojenia kredytu włościańskiego za pomocą towarzystw akcyjnych nie udały się (Galicyjski zakład kredytu włościańskiego), kredyt ten był niepomiernie drogi, a pomimo to instytucye same wpadły w niewypłacalność.

Usiłowania prywatne na polu kredytu włościańskiego ograniczają się dotychczas tylko do kredytu osobistego. Schultze-Delitzsch, którego kasy zaliczkowe i po wsiach się przyjęły, jak naj-

energiczniéj ostrzega przed skutkami unieruchomiania kapitałów w pożyczkach hypotecznych, a chociaż Reiffeisen nie odbiega od myśli użycia zapożyczonych z jego kas funduszów na kupno ziemi, to jednak działalność kas pożyczkowych w tym kierunku jest tak drobna, że w rachubę brana być nie może, a przytém przyjęta przez Reiffeisena wypowiedzialność kapitału z terminem trzechmiesięcznym podkopuje fundamentalną zasadę kredytu ziemskiego.

Więcej pod tym względem na uwagę zasługują instytucye kredytu ziemskiego, założone dla większej własności, które dodatkowo uprawiają i włościański kredyt hypoteczny, jak np. Szlązkie towarzystwo kredytowe, a nawet nasze Towarzystwo ziemskie, które bynajmniej z zakresu swych operacyi nie wyklucza własności drobnéj; dodatkowa jednak ta działalność, odgrywająca w instytucyi rolę nader podrzedną, traktowana jakby z łaski, nie jest w stanie zaspokoić rzeczywistych potrzeb włościan, a jeszcze mniejby potrzebom tym zadość uczyniła w Rosyi, gdzie i ludność włościańska jest nie równie liczniejsza i posiadane przez nią obszary ziemi rozleglejsze, aniżeli w innych krajach.

W zakresie tedy włościańskiego kredytu ziemskiego, niedostępnego na szerszą skalę dla działalności osób i instytucyi prywatnych, możliwą jest tylko inicyatywa i działalność państwa, i przykład, jaki w tym kierunku dał rosyjski Państwowy Bank Ziemski włościański, otwiéra nową erę w dziedzinie drobnego kredytu ziemskiego, dotychczas prawie zupełnie odłogiem leżącego.

II.

Wedle urzędowych danych statystycznych o własności ziemskiéj w Królestwie Polskiém (1), ogólna przestrzeń gruntów w dziesięciu guberniach wynosi 10,557,000 dziesięcin, czyli 20,700,000 morgów (mórg równa się 0,51 dziesięciny); a w téj cyfrze użytki zajmują 5,831,000 dziesięcin, czyli 55,2% ogólnéj przestrzeni gruntów.

Ze względu na rodzaj własności grunta rozpadają się na trzy następujące główne grupy:

rządowe i instytutowe . .	1,070,252	dziesięcin tj.	10,1%
prywatne (2)	5,284,221	„	50,1%
włościańskie uwłaszczone	4,202,405	„	39,8%
razem	10,556,878	„	100%

(1) Swiedienia o zemlewładienii w priwiślanskich guberniach. Statisticzeskija tablicy razrabotannyja w Cientralnom komitietie Ministierstwa Finansow,—14 zeszyt Statisticzeskawo Wremennika Rossijskoj Imperii.

(2) Statystyka urzędowa odróżnia własność p r y w a t n ą nietylko od rządowéj i instytutowéj, ale i od włościańskiéj uwłaszczonéj, i my też téj terminologii się trzymamy.

Własność prywatna, z wyłączeniem włościańskiéj, dzieli się na trzy grupy: małą, dochodzącą do 100 morgów, średnią od 100 do 1000, i wielką, przewyższającą 1000 morgów.

W stosunku do ludności własność prywatna i włościańska układa się jak następuje:

do	właściciei	należy	
610,828	włościan	4,391,737	dziesięcin
71,489	drobnych właścicieli	654,927	„
5,617	średnich „	1,240,512	„
2,527	wielkich „	3,386,581	„
690,461	właścicieli należy . .	9,673,757	dziesięcin.

W wykazanéj powyżéj przestrzeni gruntów włościańskich znajduje się nietylko obszar ziemi uwłaszczonéj, ale i grunta nabyte w drodze kupna w ogólnéj ilości 189,332 dziesięcin, należących do 20,346 gospodarzy.

Stosunek własności prywatnéj do włościańskiéj jest rozmaity w różnych stronach kraju, jak o tém przekonywa następująca tabliczka:

w gubernii	własność prywatna		własność włościańska
	w dziesięcinach		
Lubelskiéj	747,074	—	576,200
Siedleckiéj	712,054	—	450,745
Warszawskiéj	667,217	—	443,412
Płockiéj	602,482	—	282,024
Kieleckiéj	576,345	—	374,189
Piotrkowskiéj	498,523	—	437,653
Łomżyńskiéj	471,681	—	276,889
Kieleckiéj	409,331	—	339,134
Radomskiéj	382,112	—	396,359
Suwalskiéj	217,054	—	625,800
	5,284,221	—	4,202,405

W guber. zatém Płockiéj przestrzeń własności prywatnéj przeszło dwakroć przewyższa własność włościańską (602,482 : 282,024), natomiast w gubernii Suwalskiéj jeszcze w większym stosunku przestrzeń własności włościańskiéj przewyższa własność prywatną (625,800 : 217,054). Pomiędzy temi dwiema skrajnemi granicami, w jednéj tylko gubernii Radomskiéj własność włościańska nieznacznie przewyższa prywatną, we wszystkich innych własność prywatna ma przewagę nad włościańską.

Nie należy jednak własności prywatnéj utożsamiać z własnością większą, w niektórych bowiem guberniach drobna własność, należąca do szlachty zagonowéj i nie dochodząca do 100 morgów,

stanowi znaczny procent własności prywatnéj. I tak w gubernii Łomżyńskiéj drobna szlachta posiada 192,167 dziesięcin, czyli 40% własności prywatnéj, w gubernii Siedleckiéj 153,421 dz. czyli 21%, w gubernii Płockiéj 116,044 dz. czyli 19%.

Miarę większéj lub mniejszéj potrzeby rozwinięcia działalności Banku włościańskiego w rozmaitych stronach kraju daje nie tylko stosunek ziemi, posiadanéj przez włościan i inne stany, ale i rozmiar pojedyńczéj własności, należącéj tak do jednych, jak i do drugich.

Średni rozmiar pojedyńczéj własności prywatnéj i włościańskiéj przedstawia się jak następuje:

w gubernii	własność prywatna		własność włościańska
	w dziesięcinach		
Lubelskiéj	881	—	8,3
Kieleckiéj	544	—	4,9
Kaliskiéj	500	—	5,5
Radomskiéj	455	—	6,6
Warszawskiéj . . .	310	—	6,7
Suwalskiéj	290	—	11,9
Piotrkowskiéj . . .	215	—	6,4
Płockiéj	76	—	6,2
Siedleckiéj	42	—	9,8
Łomżyńskiéj	20	—	7,7

Z tabliczki téj pokazuje się, że w guberniach zachodnich kraju włościanie są skąpiéj w ziemię uposażeni, aniżeli we wschodnich, oraz że obok tego i stosunek wielkich dóbr do drobnych osad jest bardziéj rażący w zachodnich, aniżeli we wschodnich stronach Królestwa. Pomijając gubernią Lubelską, gdzie obok największéj średniéj, przypadającéj na pojedyńczego właściciela większych dóbr (881 dziesięcin) istnieje i jedna z większych średnich dla pojedyńczych osad włościańskich (8, 3 dz.), to w guberniach Kieleckiéj i Kaliskiéj, obok najwyższéj średniéj dóbr większéj własności (544 i 500 dziesięcin) istnieje najniższa średnia osad włościańskich (4,9 i 5,5 dziesięciny).

Przestrzeń 15 morgowa (7,65 dzies.) w ziemi średniéj dobroci uważana jest za minimalną do prowadzenia porządnego gospodarstwa włościańskiego (1). Z zestawienia powyższego okazuje się, że tylko w trzech guberniach (Suwalskiej, Siedleckiéj i Lubelskiéj) średnia rozległość własności chłopskiéj granice te przekracza, w pięciu (Łomżyńskiéj, Warszawskéj, Radomskiéj, Piotrkowskiéj i Płockiéj)

(1) Ludwik Górski. „Niwa“ z d. 1 listopada 1887 r.

do granicy téj mniéj lub więcéj się zbliża, a w dwóch (Kieleckiéj i Kaliskiéj) daleko jéj bardzo do dosiągnięcia tego *minimum*. Wogóle w całym kraju, razem wziąwszy, wypada na jedno gospodarstwo włościańskie przecięciowo 7, 2 dziesięciny, a zatém mniéj aniżeli 15 morgów. Jeżeli przytém weźmiemy pod uwagę, że znaczna ilość działów rodzinnych dokonywa się pomiędzy włościanami bez przeprowadzenia formalności prawnych, że przeto osady figurujące w wykazach urzędowych jako całość, *de facto* są często rozdzielone, że nawet w wielu wypadkach podział osad urzędownie wykazany być nie może, a mianowicie w tych razach, kiedy osada wbrew zakazowi prawa rozdrobniona zostaje na części, nie dochodzące 6 morgów, co faktycznie, jak o tém powszechnie wiadomo, nierzadko miewa miejsce—kiedy to wszystko weźmiemy pod uwagę, to dojdziemy do wniosku, że średni obszar własności włościańskiéj, musi być mniejszy, aniżeli statystyka urzędowa wykazuje. Wedle ogólnego przypuszczenia ludność małorolna ma wynosić w kraju całym około miliona.

Obok ludności rolniczéj, posiadającéj bądź większą, bądź mniejszą własność, znajdujemy na wsi ludność zupełnie ziemi pozbawioną.

Wedle urzędowych danych, ludność Królestwa Polskiego (1) w r. 1885 wynosiła 7,960,304, w téj liczbie zaś ludności wiejskiéj było 5,834,846.

Widzieliśmy wyżéj, że cała przestrzeń prywatnéj i włościańskiéj własności ziemskiéj należy do 690,461 właścicieli, czyli głów rodziny;—przyjmując, iż rodzina składa się przecięciowo z 6-ciu osób, wypadnie, że 4,142,766 ludności wiejskiéj gospodaruje na własnéj ziemi, pozostała zaś ludność, licząca 1,692,080 głów, jest bezrolną.

Jeżeli połowa téj ludności znajduje kawałek chleba jako służba i pomoc w gospodarstwach tak większych, jak mniejszych, jako rzemieślnicy itp., to pozostaje jeszcze blisko milion ludności, która nie ma pola pracy, ani źródeł zarobkowania na wsi, i do proletaryatu wiejskiego zakwalifikowana być musi. Rozumié się, że o ile własność ziemska należy do większéj liczby głów, aniżeli w powyższéj hypotezie przyjęliśmy, o tyle mniéj będzie bezrolnych, a za to więcéj małorolnych.

W innych krajach, ludność wiejska, zbywająca od zajęć na wsi, garnie się tłumnie od miast, i tam znajduje przytułek na łonie

(1) Statistika Rossijskoj Imperii I. Sbornik świedienii po Rossii za 1884—1885. Cientralnyj statisticzeskij Komitiet Ministierstwa Wnutriennych Dieł, Petersburg 1887.

przemysłu i handlu, albo niestety! powiększa szeregi niemających pracy robotników. U nas, za wyjątkiem kilku zaledwie ognisk, w których pulsuje ruchliwsze życie handlowo-przemysłowe, ogół miast znajduje się w upadku, i nietylko nie jest w stanie przygarnąć nadmiaru ludności wiejskiéj, ale własnym swym mieszkańcom dobrobytu zapewnić nie może, skutkiem czego spotykamy nawet taki dziwoląg, jak klasę mieszczan-rolników. Wobec tego, że przemysł nasz znajduje się w przeważnéj części w rękach cudzoziemców i zatrudnia w znacznéj ilości obcokrajowców; że handel skoncentrował się w ręku ludności żydowskiéj, od wieków w nim wyćwiczonéj i z którą z tego powodu konkurencya dla nowicyuszów jest nader trudna; wreszcie, że chłop nasz stoi na bardzo niskim stopniu oświaty i że brak mu środków nabycia najelementarniejszego przygotowania fachowego,—odpływ u nas ludności wiejskiéj do miast i do zajęć, jakich handel i przemysł dostarczają, ograniczony być musi do bardzo małych rozmiarów.

Ogół przeto ludności włościańskiéj, z małemi tylko wyjątkami, skazany jest na pozostawanie na wsi i jedyne źródło wyżywienia ziemia dostarczyć mu musi; nie prawo, nie przemoc silniejszych, ale warunki edukacyjne, ekonomiczne i społeczne czynią chłopów naszych *glebae adscripti*; ponieważ zaś ludność bezrolna jest za liczna, aby znalazła zajęcie i zarobek u gospodarstw istniejących, przeto rodzi się konieczność osadzenia jéj na własnéj ziemi i tworzenia dla niéj nowych gospodarstw, a to nastąpić może tylko przez rozszerzenie granic drobnéj własności kosztem większéj, w drodze kupna, do czego właśnie Bank włościański ma dostarczyć środków.

Dla dania pojęcia, jaka ludność rolnicza korzysta w Cesarstwie z usług Banku włościańskiego, wyjmujemy następujące cyfry ze sprawozdania jego zarządu za rok 1886.

Pomiędzy nabywcami ziemi przy pomocy Banku włościańskiego było w roku sprawozdawczym:

bezrolnych i małorolnych, posiadających na głowę mniéj aniżeli $1\frac{1}{2}$ dziesięciny	50,570 głów,
posiadających mniéj aniżeli 3 dziesięciny	46,036 „
„ więcéj „ 3 „	37,299 „
ogólna liczba nabywców	133,905 głów.

Nabywcy ci stali się właścicielami następującéj ilości ziemi:

bezrolni i małorolni, posiadający mniéj aniżeli $1\frac{1}{2}$ dziesięciny	105,840 dziesięcin
posiadający mniéj aniżeli 3 dziesięciny . .	98,986 „
„ więcéj „ 3 „ . .	89,862 „
razem	294,688 „

Przy rozpatrywaniu tych cyfr trzeba mieć na uwadze, że średni obszar własności włościańskiéj jest w Cesarstwie nierównie wyższy, aniżeli w Królestwie Polskiém.

III.

Wedle obliczenia władz Towarzystwa kredytowego ziemskiego, dobra w instytucyi téj zastawione, obciążone są długami hypotecznemi, dochodzącemi do 81% ich wartości. Wedle hypotezy p. Ludwika Górskiego (1) ogół dóbr w Królestwie Polskiém nie jest w tym stosunku obdłużony. Pisarz ten oblicza mianowicie, że przestrzeń dóbr i folwarków, mających rozległości 300 morgów i więcéj, za wyłączeniem majoratów, wynosi około 8,500,000 morgów, że wartość téj przestrzeni reprezentuje sumę 410,000,000 rubli, i stan obdłużenia dochodzi tylko do 66% wartości, a mianowicie 26% pożyczka Towarzystwa Kredytowego i 40% inne długi, co razem czyni 270,600,000 rubli.

Przyjmujemy za punkt wyjścia dla dalszego naszego rozumowania korzystniejszy dla większéj własności ziemskiéj rachunek p. Górskiego. Wedle tego zatém rachunku, jeden mórg gruntu reprezentuje przecięciowo wartość 48 rubli i obciążony jest długami hypotecznymi w ilości 32 rubli.

Znawcy stosunków ziemiańskich jednogłośnie twierdzą, iż dług przewyższający połowę wartości dóbr jest ciężarem, uniemożebniającym racyonalne gospodarowanie,— dla doprowadzenia tedy większéj własności do stanu normalnego pod względem obciążenia hypotecznego, należałoby jéj ulżyć 8 rubli długu na morgu, czyli na 8,500,000 morgach 68,000,000 rubli. Gdyby fundusz ten osiągnięty został ze sprzedaży po cenie 48 rubli za mórg odpowiedniéj przestrzeni gruntów, a mianowicie około 1,400,000 morgów, to większa własność zredukowaną by została do 7,100,000 morgów, ogólna jéj wartość do 340,800,000 rubli, a dług ją obciążający do 202,600,000 rubli, czyli 59%. Skutkiem bowiem tego, że dług hypoteczny byłby zaspokojony nie z innych źródeł, ale z odprzedaży części dóbr, których wartość ulegałaby w tym stosunku obniżeniu, obdłużenie zmniejszyłoby się nie o 16%, ale tylko o 7%. Dla doprowadzenia przeto większéj własności do pożądanéj równowagi, odprzedaż gruntów musiałaby nastąpić w większym jeszcze rozmiarze, zatrzymujemy się jednak przy powyższych 1,400,000 morgów. Przestrzeń ta, podzielona na osady 6-morgowe, jako minimalne do otrzyma-

(1) „Znaczenie większéj własności."

nia pożyczki z Banku włościańskiego, starczyłaby na wytworzenie 233,333 osad. Widzieliśmy wyżéj, że ludność bezrolna, nie znajdująca na wsi zajęcia, wynosi około miliona głów, przyjmując na jedną rodzinę 6 głów, wypadnie 166,666 rodzin, dla których potrzebna by była takaż liczba sześciomorgowych osad; pozostałoby więc zaledwie 400,000 morgów na rozszerzenie przestrzeni gruntów włościan małorolnych. Dla tych trzebaby robić dalsze zakupy, do czego, jak widzieliśmy, dość jeszcze materyału posiada obdłużona własność dworska.

Wychodząc z zasady, że im więcéj dobra jakie są obdłużone, témbardziéj uciekać się muszą do całkowitéj lub częściowéj sprzedaży przy pomocy Banku włościańskiego, przyjrzéć się należy stopniowi obdłużenia większéj własności w różnych stronach kraju. Trudne to jednak zadanie. Jeżeli pod względem wiadomości statystycznych jesteśmy wogóle bardzo ubodzy, to statystyka stanu obdłużenia stanowi najsłabszą tych wiadomości stronę. Towarzystwo kredytowe ziemskie zebrało wprawdzie w r. 1880 dane o ilości długów, obciążających dobra stowarzyszone. ale z cyfr tych niepodobna wyprowadzić wniosku o stosunku wartości dóbr do stanu obdłużenia. Szacunek dóbr wyprowadzony z ofiary lub podatku gruntowego jest tak niedokładny, że za podstawę do jakiegokolwiek porównania pod żadnym pozorem służyć nie może (1),—pozostają tylko dobra, które uległy prawidłowéj taksacyi, a tych w roku 1880 było wszystkiego 3775.

Otóż w tych 3775 dobrach, względnie do szacunku wyprowadzonego z taksy, obciążenia hypoteczne wynoszą:

w gubernii	Suwalskiéj	129	%
„	Radomskiéj	117	„
„	Płockiéj.	116	„
„	Kaliskiéj	114	„
„	Piotrkowskiéj.	106,5	„
„	Warszawskiéj.	104,5	„
„	Łomżyńskiéj	103	„
„	Siedleckiéj.	99	„
„	Kieleckiéj	92,5	„
„	Lubelskiéj	82	„
w całém Królestwie.		104,5	% (*).

(1) W dobrach, które korzystają z pożyczek na zasadach z przed r. 1869 różnice pod względem obdłużenia pomiędzy guberniami przewyższają 100%; w gubernii najbardziéj obdłużonéj długi wynoszą 158% wartości dóbr, w gubernii najmniéj obdłużonéj 56%.

(*) Stosunek $104\frac{1}{2}$% obdłużenia powstać mógł tylko skutkiem zbyt niskiego szacowania dóbr, przy takim bowiem stosunku obdłużenia nie tylko kredyt, ale utrzymanie się przy dobrach byłoby niemożliwe.

30*

Gubernia Suwalska, któréj własność dworska najwięcéj długami jest obciążona, jest zarazem tą stroną kraju, w któréj drobna własność ma największą przewagę nad dworską (625,800 dziesięcin włościańskiéj, 217,054 dworskiéj), — w téj więc gubernii zmniejszenie przestrzeni większéj własności na korzyść włościańskiéj jest pożądane nie w tym stopniu, co w innych guberniach, zwłaszcza, że średni obszar pojedyńczéj własności prywatnéj należy tu do mniejszych (290 dziesięcin), natomiast średni rozmiar własności włościańskiéj jest największy ze wszystkich gubernii Królestwa (11,9 dzies.) Z drugiéj wszakże strony wysoki stan obdłużenia większéj własności i sąsiedztwo z nią licznéj klasy włościan dostarcza obfitego materyału własności ziemskiéj, kwalifikującego się do odprzedaży, tudzież żywiołu włościańskiego, materyał ten spożytkować mogącego. Dotychczas jednak warunki te wyzyskane nie zostały. Znaczna przewaga własności włościańskiéj nad dworską datuje się od czasu uwłaszczenia. W procesie przechodzenia dworskiéj własności do włościan drogą kupna gubernia Suwalska mały brała udział. W rzędzie 10 gubernii zajmuje ona pod tym względem siódme miejsce. Na 189,332 dziesięcin ziemi, nabytych przez 20,346 gospodarzy, w gubernii Suwalskiéj tylko 437 włościan nabyło 8,420 dziesięcin. Prawdopodobnie wpłynęło na to dostateczne wyposażenie włościan ziemią w chwili uwłaszczenia, dostatniejsze, aniżeli we wszystkich innych guberniach Królestwa,—a ztąd mniejsza potrzeba i dążność ze strony włościan do rozszerzenia granic swych posiadłości.

Gubernia Radomska, która jest drugą z kolei pod względem wysokości obdłużenia większéj własności, jest jednocześnie drugą z dwóch gubernii w Królestwie, w których przeważa przestrzeń gruntów włościańskich nad dworskiemi (396,359 dzies. własności włościańskiéj, 382,112 dz. wł. dworskiéj). Włościanie jednak gubernii Radomskiéj lepiéj od suwalskich wyzyskali liczebną swoję przewagę i wysoki stopień obdłużenia własności dworskiéj, a mianowicie 4712 włościan nabyło w drodze kupna 41,888 dziesięcin gruntów dworskich. Tak znaczną różnicę pomiędzy gubernią Suwalską a Radomską tłómaczy związek, jaki zachodzi pomiędzy rozmiarem osad włościańskich, a popędem ludności włościańskiéj do rozszerzenia granic swych posiadłości. W gubernii Radomskiéj średni rozmiar osady włościańskiéj wynosi tylko 6,6 dziesięciny. Potrzeba tu tylko kapitałów Banku włościańskiego, aby rozwinięty już w wysokim stopniu ruch w kierunku nabywania przez włościan gruntów nabrał większéj siły i natężenia.

Gubernia Płocka, zajmująca trzecie miejsce pod względem obdłużenia większéj własności, jest okolicą kraju, odznaczającą się największą przewagą własności dworskiéj nad włościańską (602,482 dz. własności prywatnéj, 282,024 dz. włościańskiéj). I w téj gubernii kolonizacya wewnętrzna przybrała dość znaczne rozmiary. Pod względem ilości nowopowstałych w drodze kupna gospodarstw włościańskich zajmuje ona pierwsze miejsce, a pod względem ilości nabytych przez włościan gruntów następuje zaraz po gubernii Radomskiéj. Liczba nabywców włościan dochodzi do 4927, a ilość nabytych przez nich gruntów do 35,312 dziesięcin. W stosunku wszakże do przestrzeni gruntów, będących w posiadaniu własności dworskiéj, tudzież w stosunku do stopnia jéj obdłużenia proces kolonizacyjny zbyt mało jeszcze się rozwinął, i z tego względu gubernia Płocka bardziéj, aniżeli którakolwiek inna kwalifikuje się do szerokiéj działalności Banku włościańskiego.

Czwarte z kolei miejsce pod względem obdłużenia większéj własności ziemskiéj zajmuje gubernia Kaliska, która jednocześnie przedstawia najbardziéj rażącą różnicę pomiędzy przecięciowym rozmiarem pojedyńczéj własności dworskiéj, a włościańskiéj (544 dziesięcin przecięciowa własność prywatna, 5,9 dz. włościańska). W rzędzie gubernii, w których najsilniéj objawił się samodzielny ruch włościan w kierunku nabywania ziemi, Kaliska zajmuje trzecie miejsce pod względem ilości nabywców, a mianowicie 2,548 włościan nabyło 23,929 dz. ziemi. I tu więc otwiera się wdzięczne pole dla operacyi Banku włościańskiego.

Inne gubernie nie przedstawiają pod tym względem materyału do szczegółowych uwag,—to tylko można zrobić ogólne spostrzeżenie, że naturalnym biegiem rzeczy skłonność do nabywania ziemi przez włościan najsilniéj się objawiła w tych miejscowościach, gdzie zmniejszenie obszarów większéj własności na rzecz włościańskiéj okazuje się najkonieczniejsze, i byłoby bardzo do życzenia, aby Bank włościański postępował w działalności swojéj za śladami, wskazanemi przez te samodzielne objawy rozwoju ekonomicznego.

Uzupełniając wiadomości w tym przedmiocie, podajemy tabliczkę nabytych przez włościan w drodze kupna gruntów:

w gubernii	ilość dziesięcin		liczba właścicieli
Radomskiéj . .	41,888	—	4,712
Płockiéj	35,312	—	4,927
Warszawskiéj . .	28,146	—	2,415
Kaliskiéj. . . .	23,929	—	2,548
Piotrkowskiéj . .	16,447	—	1,572
Lubelskiéj . . .	13,904	—	2,089

w gubernii	ilość dziesięcin		liczba właścicieli
Suwalskiéj . . .	8,420	—	457
Łomżyńskiéj . .	7,891	—	477
Siedleckiéj . . .	6,915	—	668
Kieleckiéj . . .	6,480	—	481
w całym kraju. .	189,332	—	20,346

IV.

Poznawszy potrzeby z jednéj strony nabywania ziemi przez włościan, a z drugiéj odprzedania jéj przez właścicieli większéj własności, należy z kolei przejść do środków, jakie posiada Bank włościański na zaspokojenie tych licznych potrzeb.

Wysokość kapitału zakładowego oddziałów Banku włościańskiego, operować mających w granicach Królestwa, nie została wyraźnie ustanowioną; w przepisach z d. 11 kwietnia 1888 r. powiedziano tylko, że z funduszów użyteczności publicznéj przechodzą do rozporządzenia Banku włościańskiego dwa miliony rubli. Ponieważ fundusz użyteczności publicznéj ma uczestniczyć w operacyach Banku włościańskiego, w stosunku 15% wartości gruntów nabyć się mających przez włościan, sam Bank ma dostarczyć 75%, a włościanie dopłacać będą 10%, przeto kapitał bankowy wynosić będzie 10 milionów rubli, a cała operacya nabywania przez włościan gruntów w Królestwie przy pomocy Banku włościańskiego obliczona jest na 13,333,333 rubli,—suma daleka od zaspokojenia wyżéj wykazanych potrzeb!

Uwzględnić jednak należy okoliczność, że Bank włościański jest instytucyą stałą, operacye jego nie są ograniczone żadnym terminem, jest zatém do przewidzenia, że w miarę zrealizowania w każdym roku części udzielonych pożyczek, fundusze z tego źródła do kasy Banku wpływające, użyte będą na nowe pożyczki. Inne instytucye kredytu długoterminowego, po zamortyzowaniu pewnéj części pożyczki, udzielają swoim klientom nowe pożyczki, odpowiadające umorzonéj części dawnéj. Bank zaś włościański, którego kredyt przeznaczony jest specyalnie na nabywanie ziemi, nie będzie udzielał pożyczek dodatkowych, ani odnowionych, lecz jedynie pożyczki na nabywanie ziemi i w ten sposób zakładowym swoim kapitałem obracać będzie ciągle na cele, przeznaczeniem instytucyi zakreślone. Nie można zresztą wymagać, aby ona sama jedna i wyłącznie spełniła doniosłe zadanie, do którego i społeczeństwo, a zwłaszcza strony interesowane rękę swoję czynnie przykładać powinny.

Wypowiedziawszy wyżéj zdanie, iż w zakresie włościańskiego kredytu ziemskiego możliwa jest jedynie inicyatywa i działalność państwa, złożyliśmy dowód, iż nie wyznajemy teoryi szkoły manczesterskiéj co do ograniczenia roli państwa w dziedzinie spraw ekonomicznych wyłącznie do czynności policyjnych. Państwo nie może być niemym świadkiem ścierających się dwu potęg: pracy i kapitału, nie może obojętném okiem patrzéć na eksterminacyjną walkę, która prowadzi do niewolniczego podboju jednéj ze stron przez drugą, ale powołaném jest do utrzymania pomiędzy niemi równowagi, do zachowania w sile i zdrowiu obu równie ważnych czynników rozwoju ekonomicznego i społecznego. W klasycznéj ziemi liberalizmu ekonomicznego, mianowicie w Anglii, państwo widziało się zmuszoném interweniować na korzyść pracy za pomocą prawodawstwa fabrycznego,— w kraju rolniczym interwencya ta jest niezbędna na polu agrarném. Powołana od niedawna do samodzielnego życia klasa włościańska reprezentuje pracę, uzbrojoną wprawdzie we własne narzędzia produkcyi, która nie miała jednak jeszcze dość czasu, ani sposobności do nabrania sił, zdolnych wytrzymać walkę z kapitałem, i z tego powodu interesa włościańskie nie mogą być traktowane w ten sam sposób, jak interesa tych klas społecznych, które oświata, doświadczenie i majątek czynią bardziéj uzdolnionemi do zapasów konkurencyjnych.

W zakresie kredytu ziemskiego własność wielka potworzyła instytucye bankowe pod rozmaitemi formami, — drobna instytucyi tych pod żadną formą do życia powołać nie jest w stanie, nieudolności téj więc przyjść z pomocą musi rozum i potęga państwa.

Wystrzegać się jednak należy krańcowości, — państwo może być w pewnéj mierze pomocą i podporą dla słabszych warstw społecznych, ale nie może zastąpić ich w pracy i myśleniu; wspiera ono słabych, ale jednocześnie dążyć powinno do tego, aby słaby do sił doszedł i na własnych utrzymać się mógł nogach.

Opieka państwa nad nierozwiniętym jeszcze dostatecznie stanem włościańskim nie powinna iść tak daleko, iżby tamowała jego zmężnienie, iżby wytworzyła w nim bezmyślność i bezczynność, iżby stawała na przeszkodzie rozwinięciu się w nim samodzielności i samopomocy. Programem téż Banku włościańskiego nie może być zaopatrywanie w dostatnią ilość ziemi każdego, kto tylko potrzebować jéj będzie, zadaniem jego jest udzielanie impulsu, wskazanie przykładu, pomoc w trudnych początkach,—reszty musi samo społeczeństwo dokonać, własnemi siłami, własnemi oszczędnościami, własną pracą, własną głową.

Wykazaliśmy wyżéj cyframi, że od czasu uwłaszczenia największa działalność na polu nabywania gruntów przez włościan rozwinięta została w gubernii Radomskiéj. Pomyślny ten rezultat osiągnięty tam został dzięki następującéj procedurze. Bezrolni, zebrawszy pewne oszczędności, nabywali drobne działki u małorolnych, ci zaś odprzedawszy swój grunt, przy pomocy osiągniętych ze sprzedaży funduszów oraz zebranych oszczędności i pożyczek, zaciągniętych z kas pożyczkowo-oszczędnościowych, nabywali większe osady, których sprzedawcy tą samą drogą dochodzili również do większych posiadłości i tak daléj, aż nareszcie zamożniejsi włościanie funduszami osiągniętemi ze sprzedaży i innemi zasobami nabywali grunta dworskie, i tym sposobem przy pomocy, niewielkiego stosunkowo kapitału dokonano znacznych obrotów, i własność włościańska bardziéj się rozszerzyła, aniżeli w innych okolicach kraju.

Otóż jeżeli ten sposób działania włościan gubernii Radomskiéj służyć będzie za wzór i przykład przy korzystaniu z kredytu Banku włościańskiego, rozmiar jego operacyi może o wielekroć przewyższyć wysokość jego kapitału, a rezultaty moralne, wynikające z natężenia myśli, pracy i oszczędności dojdą w ogólnym bilansie do takiego znaczenia, że aktywa materyalne, jakkolwiek duże, stanowić w nim będą drobną zaledwie pozycyą.

V.

Zastanawiając się nad działalnością Banku włościańskiego w Cesarstwie, łatwo dostrzedz, iż najbardziéj sprzyja on nabywaniu gruntów, sąsiadujących z dotychczasowemi posiadłościami włościańskiemi.

Z liczby 133,905 głów włościańskich, którym w r. 1886 Bank udzielił pożyczki na kupno gruntów:

93,321 czyli 69% nabyło grunta bezpośrednio sąsiedzkie,
8,807 „ 7% w bardzo blizkiéj odległości,
31,777 „ 24% w odległości dalszéj.

Z ilości 294,688 dziesięcin nabytych przez włościan—gruntów leżało:

186,821 w bezpośredniém sąsiedztwie,
11,733 w odległości 1 wiorsty lub mniéj,
20,419 „ „ 1 do 3 wiorst,
12,598 „ „ 3 „ 10 „
63,117 „ „ dalszéj.

Przesiedlanie się ludności wiejskiéj przy pomocy kredytu Banku włościańskiego miało miejsce z gęsto zaludnionych gubernii wielko i małoruskich do lesistych okolic gubernii Kijowskiéj, Wołyńskiéj, Mińskiéj i Grodzieńskiéj, oraz Estów i Łotyszów do gubernii Ufimskiéj, Orenburskiéj, Samarskiéj i Nowogrodzkiéj tudzież do części gubernii Mińskiéj, Wołyńskiéj i Kijowskiéj, bardziéj zbliżonych do Dniepru, a oddalonych od granicy i Królestwa Polskiego.

Wedle zasad szacunkowych Banku włościańskiego, bezpośrednie sąsiedztwo posiadłości włościańskich z gruntami, nabywanemi na ich rozszerzenie, tudzież niedaleka odległość jednych do drugich stanowią okoliczności, wpływające na podwyższenie szacunku i kredytu.

Całkowite dobra, mające ulegać parcelacyi, Bank włościański traktuje jako puste przestrzenie bez zabudowań i inwentarza, na których dopiero organizować należy drobne gospodarstwa włościańskie. Do tych nowych kreacyi Bank nie ma zaufania, bo i włościanin do nich jeszcze nie przywykł, nie włożył w nie dostatecznéj ilości pracy i kapitału i przy lada niepowodzeniu gotów je opuścić i porzucić z większą łatwością, aniżeli opuścił i porzucił dawną swoję siedzibę. Na większe zaufanie zasługują, a skutkiem tego i wyżéj są szacowane grunta, sąsiadujące z posiadłościami włościańskiemi. Na takich gruntach włościanin nie zakłada nowego gospodarstwa, ale tylko rozszerza granice i rozmiar istniejącego już oddawna gospodarstwa, dotychczasowe zabudowania i inwentarze obsługują i nowe grunta, nowonabywca zna miejscowe stosunki i umié je eksploatować, zna naturę nabytéj ziemi, do niéj od dzieciństwa przywykł, związany z nią jest rozmaitemi węzłami i trzyma się jéj zębami i pazurami.

Dlatego najbardziéj do odprzedaży włościanom przy pomocy Banku włościańskiego kwalifikują się grunta z posiadłościami włościańskiemi pomieszane, lub z niemi sąsiadujące. Dla większéj własności grunta takie, po większéj części oddalone od ogniska gospodarstwa, lub poprzedzielane obcą własnością, są często kłopotem i ciężarem gospodarstwa, przyczyną ograniczenia pożyczek przez Towarzystwo kredytowe ziemskie, a na ich amputacyi całość dóbr zyskać tylko może.

Dążnością zatém (któréj i Bank włościański sprzyjać będzie) przedstawicieli większéj własności nie powinno być wyzuwanie się z całkowitych dóbr, ale odprzedaż gruntów oddalonych, lub w szachownicy leżących, i doprowadzenie przez to dóbr swych tak pod względem konfiguracyi, jak i wysokości ciążących na nich długów, do rozmiarów, czyniących je podatnemi do racyonalnego i niekłopotliwego gospodarowania.

Odprzedaż części gruntów na rzecz sąsiadującéj z niemi ludności włościańskiéj, zamiast parcelacyi całkowitych dóbr, ma i tę dodatnią stronę, iż nie wywołuje emigracyi, ani imigracyi ludności wiejskiéj, że włościanie nie porzucą dzisiejszych swych siedzib dla szukania chleba gdzieś za górami i lasami, że nie otworzy się szerokich bram dla napływu obcych żywiołów. Włościanin bezrolny nabędzie kawałek rodziméj swéj ziemi, włościanin małorolny rozszerzy granice dzisiejszych swych posiadłości, wszyscy pozostaną w domu, na ziemi, na któréj się urodzili, do któréj są przywiązani, któréj naturę i sposób uprawy od dziecka znają, pozostaną w dotychczasowém, bratniém swém otoczeniu, wśród ludzi, przyrody i stosunków, do których przywykli, ciałem i duszą przyrośli.

A i dla właścicieli ziemskich zachowanie zmniejszonego chociażby obszaru dóbr przedstawia nierównie większą korzyść, aniżeli zupełne ich porzucenie. Jeżeliśmy chłopów naszych nazywali *glebae adscripti* nie przez prawo, ale przez wychowanie i warunki ekonomiczne, w których żyjemy, to w znacznéj części to samo powiedzieć się da i o właścicielach większéj własności. Na handlu, przemyśle, ani rękodziełach nie znają się, do urzędowania wstęp dla nich zamknięty, resztki kapitału, jakie im ze sprzedaży dóbr pozostają, są zbyt szczupłe, aby wytworzyły z nich rentierów. Tymczasem, utrzymanie w mieście drogie, fundusz ze wsi wyniesiony, prędko się wyczerpuje, a życie bez pieniędzy nierównie cięższe na bruku miasta, aniżeli w ustroniu wiejskiém. Natomiast, zatrzymawszy chociażby jeden folwark, po odprzedaży pozostałych, właściciel ziemski nie wychodzi z dotychczasowéj swéj sfery, pozostaje nadal na poważném stanowisku obywatela wiejskiego, w warunkach, z któremi się zżył, przy zajęciu, na którém się zna; pozbywszy się długów i kłopotów, może pędzić żywot spokojny i zadowolony, a przy pracy i oszczędności wzrość w dobrobyt i pomyślność.

Nie należy jednak taić przed sobą trudności, jakie nastręcza odprzedaż części majątku.

W przepisach z d. 11 kwietnia 1888 powiedziano, iż długi hypoteczne, obciążające dobra, nie stanowią przeszkody do przyznania pożyczki, jeżeli wszystkie długi razem zebrane nie przewyższają sumy pożyczki bankowéj wraz z dopłatami, jakie nabywcy z własnych funduszów uiszczać będą. Spłata długów hypotecznych pożyczką bankową, tudzież dopłatami włościan następuje obowiązkowo, nawet przed upływem terminu.

Przy sprzedaży całkowitych dóbr przepisy te stanowią wielką wygodę. Inaczéj wszakże rzecz się ma przy odprzedaży części dóbr. Wówczas pożyczka bankowa i dopłata włościan rzadko kiedy wy-

starczą na zapłacenie wszystkich długów, zwłaszcza, jeżeli jeszcze weźmiemy pod uwagę, że do odprzedaży uciekać się będą głównie ci, których majątki najbardziéj pomocy téj potrzebują, czyli innemi słowy ci, których majątki długami hypotecznemi najwięcéj są obciążone.

Nie należy wszakże z tego wnioskować, że Bank włościański będzie odmawiał pożyczki w takim razie, kiedy właściciel dóbr, odprzedający część z nich, przedstawi zgodzenie się wierzycieli hypotecznych na zwolnienie odprzedanéj części od obciążających już długów albo bezwarunkowo, albo za otrzymaniem pożyczki bankowéj i dopłat nabywców. Ze strony Banku w tych razach przeszkód nie przewidujemy,—trudności nastręczą się tylko ze strony wierzycieli.

I te jednak dadzą się pokonać dzięki dość uproszczonéj procedurze przyznawania pożyczek. Po przedstawieniu mianowicie przez sprzedającego planu gruntów, przeznaczonych na sprzedaż, wraz z rejestrami pomiarowemi i klasyfikacyjnemi, tudzież innych dowodów, mających służyć do ocenienia wartości majątku i praw własności sprzedającego, jakotéż po dokonaném oszacowaniu, Bank włościański decyduje w przedmiocie pożyczki i wydaje świadectwo o wysokości i warunkach przyznanéj pożyczki. Tym sposobem jedyne ryzyko stanowi koszt sporządzenia planu i rejestrów, tudzież wyjęcia dowodów z hypoteki i od innych władz; po zaryzykowaniu tych kosztów mający chęć sprzedaży wié już dokładnie, czy pożyczka będzie udzielona i w jakiéj wysokości; i na tych pewnych już danych, stwierdzonych świadectwem Banku, może wchodzić w układy z wierzycielami hypotecznemi. Załatwiwszy się z nimi sprzedawca spisuje z nabywającymi włościanami akt kupna i sprzedaży, który ulega rozpoznaniu przez zwierzchność hypoteczną i Radę Banku włościańskiego. Następnie zakłada się księga hypoteczna dla odprzedanéj części, poczém już uskutecznia się wypłata pożyczki bankowéj tudzież dopłat ze strony nabywców bądź do rąk samego właściciela dóbr, bądź do rąk wierzycieli hypotecznych, jeżeli ci pod tym warunkiem zwolnili odprzedaną część od bezpieczeństwa za swoje wierzytelności.

VI.

Za zasługę poczytać należy ustawie Banku włościańskiego, iż nie poprzestając na udzielaniu ludności wiejskiéj kredytu, stara się nadto krzewić pomiędzy nią ducha asocyacyi, ideę łączenia drobnych sił jednostkowych w potężniejsze ciała zbiorowe. Prawda

że Bank włościański napotkał na podatny ku temu grunt, mianowicie na rosyjską gminę wiejską. Bank włościański nie ogranicza się wszakże na téj formie, którą znalazł już gotową w społeczeństwie rosyjskiém, ale ją rozszerza, i do innych obyczajów i nawyknień ludu wiejskiego zastosowuje.

Pożyczki Banku włościańskiego rozpadają się na trzy kategorye, a mianowicie udzielane:

1) całym gminom wiejskim;

2) spółkom włościańskim, złożonym przynajmniéj z trzech osób;

3) pojedyńczym włościanom.

Stosunek tych trzech kategoryi przedstawia się jak następuje: na 5954 pożyczek, udzielonych po dzień 1 października 1888 roku, otrzymały:

gminy	1833	pożyczek
spółki	3239	„
pojedyńczy włościanie . . .	882	„

W kraju naszym, znającym tylko własność indywidualną, pożyczki gminom dla nabycia ziemi na wspólną własność całéj gromady, z prawem czasowego użytkowania przez pojedyńczych jéj członków, udzielane być nie mogą; pozostają przeto tylko dwie inne kategorye, z których, jak cyfry powyższe wskazują, spółki pod względem ilości otrzymanych pożyczek stoją w pierwszym rzędzie, a pojedyńczy włościanie w ostatnim.

Łączenie się włościan w towarzystwa dla wspólnego nabywania większych dóbr i rozdzielenia ich następnie pomiędzy siebie na prawach własności osobistéj i w naszym kraju często się przytrafia. Organizacya wszakże tych towarzystw pozostawia wiele do życzenia. Jako spółki cywilne nie mają one charakteru osoby moralnéj, a skutkiem tego napotykają na wielkie przeszkody w kwestyach zarządu, w stosunkach większości do mniejszości, przy załatwianiu sporów itp.

Trudności te usuwają świeżo wydane przepisy z dnia 30 maja 1888. W prawie tém, opartém na zasadach zupełnie odmiennych od rozporządzeń obowiązującego u nas kodeksu Napoleona w przedmiocie spółek cywilnych, nie ma wprawdzie wzmianki, iż ono rozciąga swą moc obowiązującą i do Królestwa Polskiego; ponieważ jednak wydane zostało dla wszystkich spółek włościańskich nabywających dobra przy pomocy Banku włościańskiego, bez żadnego wyłączenia, i zapadło po wydaniu prawa o rozszerzeniu działalności Banku włościańskiego na gubernie Królestwa Polskiego, przeto zdaje się, że regulować ono będzie i stosunki spółek włościańskich,

w kraju naszym mających się zawiązywać, w celu korzystania z kredytu Banku włościańskiego.

Główne przepisy tego prawa są następujące.

Spółki włościańskie posiadają nabyte grunta, wedle warunków, ustanowionych w umowach, zawartych przy kupnie.

Do czasu całkowitego umorzenia otrzymanéj z Banku pożyczki, spólnicy nie mogą przyjmować do swego grona nowych uczestników, przelewać swych udziałów w całości lub części na innych spólników, ani wydzielać pojedyńczym spólnikom na osobistą własność cząstek ziemi, odpowiadających ich udziałom—inaczéj, jak za zgodą Banku.

Na korzyść spółki przechodzą: 1) grunta pozostałe po zmarłych spólnikach, którzy nie pozostawili spadkobierców i 2) grunta spólników, którzy zrzekli się udziału w spółce. Za zrzekających się udziału uważają się i tacy spólnicy, którzy dopuścili się zaległości rat, przypadających Bankowi za sześć półroczy.

Pojedyńczy spólnicy, tudzież członkowie ich rodzin, pod względem porządku spadkobrania, działów i t. p. podlegają ogólnym przepisom prawa dla „obywateli wiejskich."

Do czasu całkowitego umorzenia długu bankowego wszystkie zmiany osobiste spólników, tudzież zmiany praw każdego z nich w stosunku do nabytego gruntu, dokonane za uprzedniém zgodzeniem się Banku, zapisują się do specyalnie w tym celu urządzonéj księgi i podają się do wiadomości Banku włościańskiego, który zawiadamia o nich starszego notaryusza dla właściwego zaznaczenia w księdze wieczystéj *(kupczaja krepost')*. Nadto wszelkie zmiany w składzie spółki publikują się w „Wiadomościach Senatskich."

Interesy spółki załatwiają się na zgromadzeniach spółkowych, na których większość głosów rozstrzyga. Na zgromadzeniu kieruje obradami, utrzymuje porządek przewodniczący, wybierany na trzy lata przez spólników. Jest on zarazem organem wykonawczym zgromadzenia i komunikuje się z władzami w interesach spółki. Oprócz tego zgromadzenie wybiera poborców, pełnomocników i innych urzędników.

Na pokrycie zaległości przypadających Bankowi włościańskiemu od pojedynczych spólników zgromadzenie ma prawo zrealizować dochody z części gruntu, należącéj do zalegającego spólnika, tudzież sprzedać tę części ruchomego jego majątku i budynków, wystawionych na ziemi spółkowéj, które nie są konieczne do prowadzenia gospodarstwa.

Uchwały zgromadzenia, mające za przedmiot użytkowanie z kupionego gruntu, tudzież rozporządzenie nim, nie mogą w żad-

nym wypadku naruszać warunków kontraktu spółkowego. Uchwały zgromadzeń, zapadłe z naruszeniem prawa, lub nacechowane nadużyciem, ulegają zaskarżeniu przez interesowanych do władz włościańskich, które mają moc je uchylać.

Przepisy te, jak widzimy, regulują wewnętrzne wzajemne stosunki pomiędzy spólnikami; co się zaś tyczy stosunku całéj spółki do Banku włościańskiego, to wedle zasadniczéj ustawy tegoż Banku wszyscy spólnicy wzajemnie poręczają za regularną spłatę długu przez każdego z nich (art. 16).

Po kilkoletniém doświadczeniu zarząd Banku włościańskiego doszedł do przekonania, że spółki włościańskie, złożone z większéj liczby uczestników nie są praktyczne, gdyż zbiorowa odpowiedzialność pociąga za sobą konieczność egzekwowania zbyt wielkiéj liczby włościan, którzy sami w niczém nie zawinili, a pokutować muszą za grzechy swych towarzyszów.

Z tego właśnie powodu nasze Towarzystwo kredytowe ziemskie przy parcelowaniu dóbr nie dopuszcza wcale wzajemnego poręczenia włościan i domaga się, aby do każdéj części sparcelowanego majątku ziemskiego, mającéj stanowić osobną całość i oddzielne gospodarstwo, przywiązana była ściśle oznaczona część pożyczki Towarzystwa, poprzednio całe dobra obciążającéj. Zobowiązanie dwóch, lub większéj liczby nabywców, wedle którego każdy z nich poddaje grunt swój odpowiedzialności niepodzielnéj z innymi nabywcami za dług u Towarzystwa zaciągnięty i ogół nabytych dóbr obciążający, nie jest przez Towarzystwo dopuszczane.

Bank włościański tak daleko w troskliwości swojéj o skutki wzajemnego poręczenia nie posuwa się; stawia on wprawdzie wymagania, aby spółka nie składała się ze zbyt wielkiéj liczby uczęstników, ale z tém wszystkiém, jak z przytoczonych wyżéj cyfr się okazuje, samą zasadę spółek silnie popiera i nie zabija ducha asocyacyi przez zupełną odmowę kredytu spółkom włościańskim, których uczęstnicy wzajemnie za sobą poręczają.

W popieraniu przez Bank włościański spółek o niewielkiéj liczbie uczestników przejawia się także tendencya jego do dawania pierwszeństwa kupowaniu części, odłączonych od większych dóbr, do czego wystarcza ograniczona liczba spólników, przed nabywaniem całkowitych dóbr, pociągającém za sobą konieczność tworzenia spółek szerszych rozmiarów.

VII.

Włościanom Królestwa dana jest większa łatwość nabywania ziemi, aniżeli włościanom Cesarstwa.

Oddziały Banku włościańskiego, operujące w Cesarstwie, udzielają pożyczki z własnych środków Banku, a właściwie z funduszów państwowych, realizowanych za pośrednictwem emisyi 5½ procentowych obligów, zwanych Państwowemi świadectwami włościańskiego banku ziemskiego, do wysokości 75% szacunku nabytego gruntu. W Królestwie oprócz pożyczki z funduszów Banku, dochodzącéj do 75% szacunku, udzielana będzie jeszcze dodatkowa pożyczka w stosunku 15% z funduszu użyteczności publicznéj Królestwa Polskiego. Wysokość zatém pożyczki dojdzie do 90% szacunku nabytego gruntu.

Wartość ziemi nie jest wszakże jedyną miarą wysokości kredytu; prawo ustanawia nadto *maximum* pożyczki, mogącéj być udzieloną jednéj osobie, i tak: dla gmin i spółek pożyczka nie może przekroczyć 125 rubli na każdą głowę płci męskiéj, a dla włościan nabywających pojedyńczo grunta *maximum* pożyczki wynosi 500 rubli na każdego oddzielnego gospodarza. W przepisach rozciągających działalność Banku włościańskiego na Królestwo Polskie nie ma oznaczonego *maximum* pożyczki w stosunku do ilości osób, nabywających ziemię, ze względu wszakże na wyższy rozmiar kredytu, dochodzącego do 90% wartości gruntu, należy przypuszczać, iż każda głowa korzystać będzie z pożyczki o 15% wyższéj, aniżeli w Cesarstwie.

Z uwagi na wyższe ceny ziemi w Królestwie wypadałoby w odpowiednim stosunku podwyższyć i skalę pożyczek dla jednéj osoby. Ponieważ jednak wysokość pożyczek ustanowiona jest w prawie zasadniczém Banku włościańskiego, które nie uwzględniło różnic, jakie niewątpliwie istnieją i w obrębie rozległego Cesarstwa, w przepisach o rozszerzeniu działalności Banku na gubernie Królestwa zmiana żadna w tym punkcie postawiona nie została, a instrukcye, które w uzupełnieniu tych przepisów wydanemi być mają, zmian do zasadniczego prawa wprowadzić nie mogą, przeto normy powyższe dla całego państwa ustanowione, będą obowiązujące i w Królestwie. *Maximum* zatém pożyczki na jednę rodzinę z funduszów Banku włościańskiego wynosić będzie rubli 500, które reprezentują 75% wartości nabytego gruntu, do tego doliczyć należy dodatkową pożyczkę z funduszu użyteczności publicznéj w wysokości 15% czyli 100 rubli, wreszcie dopłatę przez samego nabywcę w wysokości 10% czyli rubli 66 kop. 66⅓, najwyższa zatém wartość ziemi, którą pojedyncza rodzina nabyć może, o ile z własnych funduszów większych dopłat czynić nie będzie, wyniesie 666 rubli 66⅓ kop., a największa przestrzeń ziemi, przyjmując przecięciową cenę 50 rubli za mórg, około 13 morgów, a zatém mniéj, aniżeli wedle zdania

znawców stosunków rolniczych kraju naszego wynosić powinno *minimum* przestrzeni dobrze urządzonego w średniéj ziemi gospodarstwa włościańskiego. I tu więc zajdzie konieczność, aby społeczeństwo nie poprzestawało wyłącznie na pomocy instytucyi państwowéj, ale własnemi oszczędnościami uzupełniało działalność Banku włościańskiego.

W przepisach z dnia 11 kwietnia 1888 r. zabroniono wprawdzie klientom Banku włościańskiego zaciągać pożyczki na nabyte grunta, wyjątek wszakże od tego stanowi reszta szacunku. Tu więc otwiera się pole dla kredytu prywatnego. Jeżeli np. włościanin nabędzie 15 morgów dobréj ziemi, przedstawiających wartość, po 100 rubli za mórg, 1500 rubli, a otrzyma z Banku i z funduszu użyteczności publicznéj pożyczkę w sumie 600 rubli, to dla sprzedawcy pozostawienie pewnéj reszty szacunku na hypotece sprzedanego gruntu, bezpośrednio po pożyczce bankowéj, nie przedstawia ryzyka, zwłaszcza, że każda nowa przy pomocy Banku powstała osada mieć będzie oddzielną dla siebie założoną księgę hypoteczną, a ograniczenia, co do nabycia takiéj osady tylko przez osoby pochodzenia włościańskiego, przy sprzedażach publicznych zastosowania nie mają, i tak sprzedawca, ktory pozostawił resztę szacunku, jak i nabywca jego praw, jak wreszcie każdy inny krajowiec ma prawo osadę taką nabyć na publicznéj licytacyi.

Kredyt na kupno ziemi musi z natury swojéj być długoterminowym. Bank włościański udziela pożyczki stosownie do życzenia dłużników na lat 24½ lub 34½.

Dłużnik płaci rocznie tytułem procentu 5½%, na wydatki administracyjne i fundusz zapasowy 1%, a tytułem amortyzacyi od pożyczek na 24½ roku 2%, a od pożyczek na 34½ roku 1%, wszystko w półrocznych ratach.

Stowarzyszeni w Towarzystwie kredytowem ziemskiem w Królestwie Polskiém, płacą od pożyczek 5 procentowych, tytułem amortyzacyi, procentów i wydatków administracyjnych razem 6⅔% rocznie, i to od pożyczki, wynoszącéj *maximum* połowę wartości dóbr,—dłużnicy natomiast Banku włościańskiego płacić będą 7½%, albo 8½% rocznie od pożyczki, dochodzącéj do 90% wartości ziemi. Obowiązki płatnicze klientów Banku włościańskiego będą zatém znacznie większe od takichże obowiązków, ciążących na uczestnikach Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Z drugiéj jednak strony, ponieważ pożyczka Towarzystwa kredytowego rzadko kiedy zaspakaja potrzeby właścicieli dóbr, którzy skutkiem tego zmuszeni są uciekać się do drogiego kredytu prywatnego na drugi i następne numery hypoteczne, klienci Banku włościańskiego korzysta-

jący z pożyczek do wysokości 90% wartości gruntu, nie będą w potrzebie posiłkować się kredytem na drugi numer hypoteczny, co im nawet ustawą Banku jest zabronione, przeto w ostatecznym rachunku kredyt ich będzie tańszy od kredytu tych właścicieli większéj własności, którzy oprócz pożyczki Towarzystwa, mają obciążoną hypotekę długami prywatnemi.

Zresztą zdolność kredytowa włościanina nie może być tą samą skalą mierzona, co zdolność właściciela większéj własności ziemskiéj. W budżecie większych gospodarstw jedną z najważniejszych pozycyi zajmuje najem robotnika, natomiast w gospodarstwie włościańskiém płatnego najemnika zastępuje sam gospodarz i jego rodzina. Zysk przedsiebiorcy i płaca robotnika koncentrują się w gospodarstwie włościańskiém w jednéj ręce właściciela.

Gdyby zdolność kredytowa włościanina mierzona była tylko wysokością renty gruntowéj, jak to ma miejsce w większéj własności, toby wielko dzieło uwłaszczenia nigdy do skutku dojść nie mogło. Ziemia, która przeszła na własność włościan, oddana im została na kredyt, a jakkolwiek fundusz amortyzacyjny listów likwidacyjnych, reprezentujących wartość uwłaszczonych gruntów, został wzmocniony pomocniczemi środkami, to jednak podatek gruntowy płacony przez włościan stanowi najważniejsze źródło spłaty. W chwili przeto oddania włościanom ziemi na własność, ziemia ta obciążona została długiem absorbującym całą jéj wartość. Bez przekonania o możności spłacenia przez włościan gruntów, oddanych im na kredyt, bez wiary w potęgę ich pracy i oszczędności, nie można byłoby przystąpić do uwłaszczenia. To samo przekonanie, ta sama wiara były dla autorów Banku włościańskiego motywem do posunięcia skali pożyczek do niepraktykowanéj w żadnéj instytucyi kredytowéj wysokości 90% wartości ziemi.

Pomimo jednak całego zaufania do wypłacalności włościan, żadna instytucya prywatna nie mogłaby posunąć kredytu swego do tak wysokiéj normy,—na ryzyko takie może tylko odważyć się instytucya państwowa, która nietylko nie zmierza do zysków, ale nawet gotowa jest ponosić straty dla osiągnięcia wyższych celów moralnych. „Gdzie większe ryzyko, pyta się inicyator Banku włościańskiego, książę Wasilczykow (1), czy w niewypłacalności pewnéj liczby włościan, którzy nabywszy na wypłatę kilka dziesięcin ziemi, nie wypłacą w całości wypożyczonéj im sumy, czy w niedostatecznem wyposażeniu ludu wiejskiego w ziemię i we wzroście pro-

(1) Mielkij ziemielnyj kredit w Rossii. Petersburg, 1876, str. 33.

letaryatu wiejskiego, który jest tak nieuniknony, jak nieuniknioném jest powiększenie się ludności, która podwaja się w Rosyi w ciągu 55 lat?“

Pomimo przygotowania na straty, niewypłacalność włościan, którzy otrzymują w odziałach Banku włościańskiego w Cesarstwie pożyczki do wysokości 75% wartości ziemi, nie jest znaczna. Wedle sprawozdania Banku za rok 1885, pomimo nieurodzaju, jaki panował w tym roku w wielu guberniach Cesarstwa, na sumę wymagalnych rat rubli 1,131,196, było do chwili sporządzenia rocznego sprawozdania zaległości wszystkiego na sumę rubli 167,220, z któréj to sumy zaprolongowano rubli 112,781 z usprawiedliwionych przyczyn. Wedle sprawozdania za rok 1886 zaległości te zredukowane zostały do sumy rs. 50,493; w tymże zaś 1886 r., który z powodu nieurodzaju w guberniach stepowych i zarazy na bydło w innych guberniach również do pomyślnych lat zaliczony być nie może, na sumę wymagalnych rat 2,172,751 rs. wpłynęło rs. 1,696,391, odroczono termin zapłaty rs. 101,615, rozłożono na raty rs. 96,745, a właściwych zaległości pozostało rs. 277,995; czyli wpłynęło 78%, zalegało 22%.

Jeżeli porównamy cyfry te z zaległościami np. stowarzyszonych w naszém Towarzystwie kredytowém ziemskiém, które w latach zwyczajnych, niedotkniętych szczególnemi klęskami, dochodzą przecięciowo do połowy sumy rat obowiązujących, to obawa co do wypłacalności włościan z powodu wysokiéj skali pożyczek Banku włościańskiego, zniknąć powinna.

J. Kirszrot-Prawnicki.





Z GALICYI.

Listopad 1888 r.

Ustąpienie dra Ziemiałkowskiego z gabinetu i nominacya p. F. Zaleskiego ministrem bez teki. — Hr. Badeni namiestnikiem Galicyi. — Tegoroczna sesya sejmowa i projekt rządowy o wykupnie propinacyi. — Fiskalizm austryacki i ciekawa jego próbka. — Nowa broszura p. Stanisława Szczepanowskiego. — Ofiarność dla Wielkopolski.

I.

Ociężale wlokły się w październiku rozprawy sejmowe, i gdyby nie wniosek rządowy o wykupnie propinacyi, którym interesowali się w wysokim stopniu wszyscy właściciele tabularni, rzadko kto byłby w Galicyi wiedział, że ojcowie narodu znów się zebrali, by ukończyć sesyą wiosenną, która, jak wiadomo, została tylko odroczona, a nie zamknięta. Więcéj jednak niż propinacya i wszystko inne, wstrząsnęła nagle opinią powszechną równie doniosła jak niespodziewana wiadomość, że długoletni minister dla Galicyi dr. Floryan Ziemiałkowski otrzymał dymisyą, a na jego miejsce został powołany namiestnik Galicyi p. Filip Zaleski, którego na téj ważnéj posadzie zastąpi hr. Kazimierz Badeni. Ponieważ fakt ten jest w rzeczy saméj doniosłości pierwszorzędnéj, przeto wpierw o nim będę mówił, a dopiero potém poświęcę kiika słów wielce jałowéj sesyi sejmowéj.

Wraz z konstytucyą i autonomią, a właściwie jako wynagrodzenie za to, że rząd centralny żadną miarą nie chciał Galicyi przyznać stanowiska odrębnego, którego ona domagała się w pamiętnéj rezolucyi z r. 1869, otrzymaliśmy ministeryum bez „teki". Pierwszym takim ministrem był Kazimierz Grocholski, dzisiejszy prezes koła polskiego, a gdy ten po kilku miesiącach ustąpił, posada była nieobsadzona przez półtora roku; dopiero na wiosnę r. 1873 powołano na nią burmistrza lwowskiego, dra Ziemiałkowskiego. Nowy minister zawdzięczał swoje wywyższenie głównie ówczesnemu namiestnikowi Galicyi, hr. Agenorowi Gołuchowskiemu, człowiekowi

rozumnemu a tak wpływowemu, że gdy do Wiednia przyjeżdżał, sami Niemcy, inaczéj go nie nazywali tylko „królem galicyjskim". Gołuchowskiego łączyła z Ziemiałkowskim wspólność idei. Obadwa pragnęli silnéj Austryi pod dynastyą Habsburgów, obadwa uważali federalizm za mrzonkę, obadwa dążyli do sojuszu ze stronnictwem liberalném niemieckiém, bo im się zdawało, że od niego Galicya może nierównie więcéj wytargować niż od swoich pobratymców. Chociaż gra polityczna nie została dotąd skończona i trudno przewidziéć, jaki będzie jéj wynik, jednakowoż wszystko, co się w ubiegłém piętnastoleciu stało, zdaje się przemawiać za słusznością poglądów Gołuchowskiego i Ziemiałkowskiego. Cokolwiek Galicya ma dziś dobrego, zawdzięcza monarsze i Niemcom, którzy jéj największe poczynili ustępstwa. Przeciwnie za ery ugodowéj, wśród któréj Niemcy zostali zepchnięci na drugorzędne stanowisko, ścieśniano jéj samorząd. Ale chociaż stwierdzam ten fakt, nie chcę przez to jeszcze powiedziéć, że powinniśmy porzucić sojusz z naszymi pobratymcami. Bynajmniéj! Być może, nawet chcę wierzyć, iż polityka ugodowa zaprowadzi nas nierównie daléj niż poprzednia, wszelako nim to nastąpi, sprawiedliwość nakazuje oddać słuszność poglądom dawniejszych mężów stanu, owoce bowiem, jakie oni dla nas z państwowego drzewa uszczknęli, nie są do pogardzenia.

W chwili, gdy Gołuchowski przeparł w Wiedniu nominacyą Ziemiałkowskiego, znaczenie tego drugiego było w kraju bardzo zachwiane. Rozszalała opinia publiczna, kierowana wówczas przez znanego agitatora, Jana Dobrzańskiego, nazywała Ziemiałkowskiego „mamelukiem" rządowym co go robiło w wysokim stopniu niepopularnym. Jako prezydentowi miasta, oddawano mu wielkie pochwały, za to odmawiano mu kwalifikacyi na polskiego męża stanu. Mimo to Gołuchowski postawił na swojém i dawny konspirator został ministrem. Jak trudne było z początku stanowisko Ziemiałkowskiego, okazuje się z tego, że prócz „Dziennika polskiego" we Lwowie, nie było ani jednego pisma w Galicyi, któreby go popierało. Jeżli późniéj ten minister utrzymał się w gabinecie i głosy niechętne w kraju zmusił do milczenia, zawdzięczał to swojéj niezmiernéj zręczności, dzięki któréj nie wahałbym się go postawić, w rzędzie najznakomitszych dyplomatów.

Stanowisko ministra bez teki nie należy do łatwych. Taki minister nie jest właściwie niczém więcéj, jeno ajentem politycznym, starającym się dla swego kraju zdobywać ustępstwa. Wszyscy, którzy Ziemiałkowskiego dawniéj znali, byli pewni, że człowiek tych, co on, zdolności, nie zadowoli się czczą godnością, pozbawioną istot-

néj władzy, lecz sięgnie wyżéj i stanie na czele rządu. Przyszłość jednak okazała, że z jego nazwiskiem wiązano więcéj nadziei niż był w stanie ich ziścić. Przyczyną tego było najpierw skromne jego pochodzenie i zupełny brak majątku, co w Austryi arystokratycznéj jest grzechem głównym; następnie to, że już na początku karyery, brakło mu poparcia Gołuchowskiego, którego śmierć zabrała; nakoniec, a kto wié czy nie będzie to przyczyną najgłówniejszą, nowy minister nie miał ani w swojéj duszy wielkich aspiracyi, ani w swoim umyśle szerokich horyzontów, więc téż ujrzawszy się raz w Wiedniu, zdawał się mówić: „Zdobyłem posadę, o jakiéj całe życie marzyłem, trzymać się będę na niéj jak najdłużéj, więcéj nie pragnę". Tak téż a nie inaczéj w ostatniém dziesięcioleciu kraj go pojmował, i dla tego coraz bardziéj od niego się oddalał, a gdy upadł, nikt po nim łzy nie uronił.

Ilekroć sprawy osobiste zawiodły mnie nad brzegi modrego Dunaju, każdym razem jako dawny znajomy odwiedzałem ministra i śmiało twierdzić mogę, że p. Z. należał zawsze do ludzi bardzo uprzejmych. Za pierwszą moją bytnością u niego, a było to w r. 1873, zgadało się coś o trudnościach, z jakiemi będzie musiał walczyć w Wiedniu. „Jeżli w kraju myślą, że ja wiele mogę, to się bardzo mylą—rzekł wtedy między innemi. Moja rola, niestety, należy tu do podrzędnych, a w każdym razie jest niewdzięczna. Ja dla Galicyi nie jestem wstanie wiele uzyskać, ja mogę tylko przeszkadzać, by jéj jakiéj krzywdy nie wyrządzono". To powiedziawszy, wyjął książeczkę z notatkami, i z niéj zaczął czytać, w jakiém ministerstwie i którego dnia miał być, by dla kraju to i owo wykołatać. Wtedy dowiedziałem się także, że starał się o założenie w Krakowie szkoły sztuk pięknych i o powierzenie jéj kierownictwa Janowi Matejce; o Akademii zaś umiejętności mówił jako o rzeczy, która wkrótce miała się urzeczywistnić. Już po téj pierwszéj wizycie powiedziałem sobie, że mylą się ci wszyscy, którzy sądzą, iż Ziemiałkowski pokusi się o wielkie rzeczy i starać się będzie o prezydenturę w gabinecie. Fakta okazały czym się mylił. Powiem więcéj. Obawa przed utratą zdobytego stanowiska była w nim tak wielką, iż zapomniał nawet o przeznaczeniu, że będzie przestrzegał by w Wiedniu nie krzywdzono Galicyi, miał bowiem oczy zamknięte, gdy rząd w rzeczy saméj krzywdził naszą prowincyą. A działo się to nie raz, mianowicie podczas zaprowadzania bezpośrednich wyborów do rady państwa, tudzież wtedy gdy minister oświaty ścieśniał zakres działania naszéj autonomicznej rady szkolnej. Wielbiciele Ziemiałkowskiego myśleli wtedy, że ustąpi, tymczasem on trwał na swojém stanowisku, prawdopodobnie dla tego, iż chciał

większym nieszczęściom przeszkadzać... Taktyka jego była niezrównana. Mówił spokojnie i ostrożnie a działał tak samo. Naprzód nigdy się nie wysuwał, deputacye grzecznie przyjmował i zapewniał każdą uroczyście, iż „co będzie mógł, uczyni“, ale jawnie nigdy się nie angażował. Skutkiem tego, po dziś dzień kraj nie wié, co mu właściwie zawdzięcza, a co powinien położyć na karb bądź jego zaniedbania, bądź zbytniéj oględności, bądź nawet nieudolności. W ostatniém pięcioleciu, tj. odkąd gwiazda ministra skarbu p. Dunajewskiego zaczęła coraz jaśniéj świecić, o Ziemiałkowskim nic już nie mówiono. Minister skarbu z dniem każdym bardziéj go przytłaczał, póki go nareszcie z fotelu ministeryalnego całkiem nie wyrzucił.

A teraz wskażę drogę, po któréj minister bez teki w przepaść się stoczył.

Ziemiałkowski, jako demokrata *par excellence*, mógł liczyć w kraju tylko na stronnictwo postępowe, tudzież na Gołuchowskiego, który sam jeden ważył więcéj, niż wszystkie stronnictwa razem wzięte. Gdy po śmierci „wielkiego“ namiestnika, ujrzał się sam na sam z galicyjskimi demokratami, powiedział sobie, że poparcie tych panów nie na wiele mu się przyda, aby więc nie runąć, począł szukać pomocy u innego stronnictwa. Wzrok jego padł na oligarchów krakowskich, nazywanych powszechnie stańczykami. Odtąd wciąż z nimi kokietuje. Powołanie hr. Ludwika Wodzickiego najpierw na marszałka krajowego, następnie na gubernatora „lenderbanku“, nominacya ks. Dunajewskiego biskupem krakowskim, poruczenie jego bratu ministerstwa skarbu, wreszcie zgodzenie się na marszałkowstwo hr. Jana Tarnowskiego, oto główniejsze ustępstwa, poczynione przez ministra bez teki na rzecz coraz silniejszego stronnictwa krakowskiego. O mniejszych nie wspominam. Myliłby się ten, ktoby sądził, że powyższe nominacye mogły nastąpić po za plecami p. Z. Jako minister dla Galicyi, był on pytany zawsze przez cesarza o opinią przy mianowaniach, i bez jego aprobaty nawet wyżsi urzędnicy w Galicyi nie mogli być posuwani z jednego stopnia na drugi. Gdy Dunajewski został ministrem skarbu, Ziemiałkowski wkrótce się przekonał, że obok siebie w gabinecie nie potrafią się długo utrzymać. Zaczęła się więc walka podziemna, która jednak skończyła się porażką ministra bez teki. Minister skarbu musiał wyjść zwycięsko, bo nikomu jeszcze nie powiodło się tak szczęśliwie jak jemu uregulować finansów austryackich, i dostarczać środków na uzbrojenia, których sam cesarz się domagał. Po uchwaleniu podatku wódczanego, któremu Z. był przeciwny, głównie dla tego, iż chciał spowodować upadek znienawidzonego kolegi, postanowił on

podjąć rzecz doniosłą, która w oczach kraju mogła go jeszcze wysoko postawić. Była nią sprawa wykupna propinacyi. Ziemiałkowski rzucił myśl, namiestnictwo lwoskie wygotowało projekt, lecz gdy sejm, wziąwszy go pod rozwagę oświadczył, iż kraj, mimo chęci najszczerszych nie może go przyjąć, wtedy minister bez teki powiedział sobie, że czas podać się do dymisyi. I tak się stało.

Powiadają, że niechęć Ziemiałkowskiego do Dunajewskiego i naodwrót była natury czysto osobistéj. Być może, że prywata odgrywała w niéj tu rolę, lecz zdaje mi się, że najwięcéj zaważyła tu radykalna różnica przekonań obu ministrów. Ziemiałkowski był bądź-co-bądź liberałem staréj daty a więc zwolennikiem szkoły, która w ostatnich latach straciła wiele na uroku; przeciwnie Dunajewski jest konserwatystą z surowéj szkoły krakowskiéj, która stokroć prędzéj pogodziłaby się z socyalizmem niż z liberalizmem wiedeńskim. Stronnictwo krakowskie mogło kokietować z Ziemiałkowskim, lecz nie można nawet przypuścić, by się z nim chciało zbratać. Tego nie byłby on zdobył za żadną cenę.

W opinii kół szerszych Ziemiałkowskiemu zaszkodziły jeszcze dwie rzeczy. Ci, co lepiéj znali krajowe stosunki, nie mogli mu darować jego zamiłowania do staréj biurokracyi, którą w Galicyi wedle sił popierał, choć ona krajowi mnogie i bolesne szkody wyrządzała,—ogół zaś dziwił się niezmiernie, że człowiek téj co on przeszłości, który za przekonania demokratyczne stał na rusztowaniu, mógł cesarza prosić o tytuł barona. Gdyby choć miał rodzinę — mówili — możnaby mu jeszcze przebaczyć tę słabość, ale na co się kompromitować człowiekowi bezdzietnemu? To ostatnie może mu najwięcéj zaszkodziło, bo nic tak łatwo nie zabija jak śmieszność.

Na zakończenie charakterystyki byłego ministra, przytoczę krótki epizod z jego życia, malujący wybornie stosunki galicyjskie z przed lat pięćdziesięciu. Ziemiałkowski był w r. 1841, jako dwudziestoczteroletni młodzieniec, uwięziony pod zarzutem zdrady stanu, a po czteroletniém więzieniu został skazany na śmierć. Cesarz go jednak ułaskawił. W r. 1848 wybrano go do *Reichstagu*, a po rozwiązaniu tegoż wrócił z Wiednia do Lwowa. W r. 1849 ogłoszono w Galicyi stan oblężenia. Ziemiałkowski przechadzał się dnia pewnego po wałach i rozmawiał z jednym z przyjaciół, gdy wtém przystępuje doń komisarz policyi z patrolem wojskowym i rzekłszy: „To on!“ każe go odprowadzić na strażnicę. „Zapytałem — opowiada sam minister — oficera dyżurnego o powód mojego aresztowania, lecz ten wzruszył tylko ramionami; po chwili uwiadomiono mnie, że bezzwłocznie zostanę do Wiednia odwieziony. Prosiłem, by mi pozwolono choć na chwilę wstąpić do mego mieszkania,

gdziem chciał uporządkować papiery i zaopatrzéć się w garderobę, potrzebną do tak dalekiéj podróży; lecz na to nie pozwolono. Wsadzono mnie do dyliżansu jak stałem i w towarzystwie dwóch żołnierzy, którzy mieli bagnety na karabinach, ruszyłem do Wiednia. Wyobrażam sobie, jak musiałem wówczas wyglądać, w jasnym paltocie i jasnych pantalonach, obryzgany błotem uliczném. Łatwo można mnie było wziąć za zwykłego zbrodniarza. W Wiedniu osadzono mnie w więzieniu na Salzgries. Napróżno i tu starałem się dowiedziéć o powód mojego aresztowania. Na wszystkie moje pytania tyle mi tylko odpowiedziano, że razem ze mną nie przyszły żadne dokumenty, więc téż nikt nie wié, co się ze mną stanie. Wkrótce po zamieszkaniu w więzieniu, usłyszałem, iż przebywa w niém także kolega mój z *Reichstagu*, d-r Fischhof, z którym, pod kontrolą, pozwolono mi się zobaczyć. Niedługo potém odesłano mnie pod eskortą do Linzu, gdzie komendant wojskowy objaśnił mnie, że ponieważ tam stan wyjątkowy nie panuje, a co do mojéj osoby żadnych poleceń nie otrzymał, więc mogę swobodnie po mieście chodzić, lub do Wiednia powrócić. Na to drugie nie mogłem się zdecydować, bojąc się powtórzenia sceny lwowskiéj i dalszéj podróży w asystencyi wojskowéj. W jakiś czas przyszedł z Wiednia rozkaz internowania mnie w Meranie. Mieszkałem tam dziewięć miesięcy i przez ten czas sprowadziłem moje rzeczy ze Lwowa. Kilkakrotnie udawałem się z prośbą tak do ministra Bacha w Wiedniu, jak i do gubernatora we Lwowie, by zbadać powody mego uwięzienia. W Wiedniu nic o nich nie wiedziano, gubernium zaś lwowskie odpowiedziało, że aktów w téj sprawie nie posiada żadnych, i że policya kazała mnie uwięzić na wskazówkę władzy wojskowéj! Na dalsze moje pytania władza wojskowa odpowiedziała, że w sprawie tego uwięzienia żadnych aktów nie posiada i bardzo być może, że zaszła pomyłka co do osoby. Po tym rocznym przymusowym pobycie w Meranie wróciłem nareszcie do Lwowa, do moich zajęć i pomiędzy swoich. Lat piętnaście jestem już ministrem — kończył Ziemiałkowski — a dotąd nie mogłem się dowiedziéć, co spowodowało moje aresztowanie, wywiezienie i internowanie.“

Po ustąpieniu Ziemiałkowskiego, ministrem bez teki dla Galicyi został mianowany jéj namiestnik, p. Zaleski. Jest to urzędnik zdolny i prawy, dawny uczeń Gołuchowskiego, ale bez przeszłości politycznéj, przytém chwiejny i obcym wpływom łatwo ulegający. Stańczycy, obaliwszy Ziemiałkowskiego, mogli natychmiast zastąpić go którymkolwiek ze swoich, Madejskim lub Bobrzyńskim, lecz tego nie uczynili w dobrze zrozumianym interesie własnym. Mini-

ster bez teki jest niczém, przeciwnie namiestnik jest wszystkiém. Pierwszy ma tylko pozory władzy, drugi natomiast dzierży całą władzę w swéj dłoni. Woleli tedy opanować posterunek we Lwowie, a gdy godzina uderzy, usuną Zaleskiego tak samo z ministeryum, jak go wysadzili z fotelu namiestnikowskiego. To tylko kwestya czasu. Chociaż Zaleski na oko niby to awansował, bo z rangi trzeciéj przeszedł do drugiéj, i równocześnie wysoki order otrzymał, mimo to on sam rozumie, iż ministerstwo bez teki jest dlań stacyą ostatnią, po któréj czeka go przedwczesny stan spoczynku. Jeźli kto, to on może o sobie powiedziéć, że poszedł „w senatory.“ Jako namiestnik, był Zaleski przedstawicielem monarchy w obec kraju i tylko od jego woli zawisłym; natomiast jako minister galicyjski będzie ajentem politycznym, mającym od cesarza i rządu ustępstwa wydzierać. Wyżéj już mówiłem, że bez silnego poparcia w kraju taki minister nie może się długo utrzymać. Wiedział o tém Ziemiałkowski i dlatego gorliwie starał się o względy stańczyków. Zaleski nie ma za sobą żadnego stronnictwa, a że w interesie rządu, ilekroć okaże się tego potrzeba, będzie musiał układać się z kołem polskiém, więc gdy chwila stosowna nadejdzie, panowie krakowscy robiąc mu opozycyą, już tém samém zmuszą go do ustąpienia. Gdy trzy lata temu przepowiadałem na tém miejscu upadek Zyblikiewicza, przeciw któremu Zaleski konspirował, mówiłem, iż prędzéj lub późniéj to samo i namiestnika spotka. W ciągu dwóch lat usunęli się obadwa ze Lwowa. Ich miejsca zajęli wybitni stańczycy. Takim jest marszałek hr. Jan Tarnowski, i za takiego mają nowego namiestnika hr. Kazimierza Badeniego.

Jest-to człowiek młody, ledwie czterdziestokilkoletni, zdolny, energiczny, pracowity i ze służbą doskonale obznajmiony. Przez dłuższe lata był delegatem namiestnictwa w Krakowie, gdzie dał się poznać jako urzędnik sprężysty. Gdy Tadeusz Romanowicz kandydował w Krakowie do rady państwa, hr. Badeni tak energiczną opozycyą przeciw niemu rozwinął, że musiał upaść, chociaż większość wyborców była za nim. Ponieważ w roku przyszłym odbędą się w całym kraju wybory do sejmu, a wkrótce potém do rad powiatowych i rady państwa, więc oligarchowie krakowscy mają nadzieję, iż nowy namiestnik tak wyborami pokieruje, że z urny wyjdą tylko sami ich zwolennicy. Zachodzi jednak pytanie, czy hr. Badeni, choć z nimi sympatyzuje, pójdzie im całkiem na rękę. Badeniowie to ród bardzo rozumny, przytém ambitny, który niekoniecznie chce się innym wysługiwać. Jeźli kto, to oni marzą o własnéj dynastyi.... Łatwo więc być może, że nowy namiestnik będzie z początku kokietował z dawnymi przyjaciołmi z pod Wawelu, lecz gdy

się dobrze zasiedzi i u dworu wpływu nabierze, gotów tak samo stanąć po nad stronnictwami, jak ongi Gołuchowski. I jeżli czego, to tego w interesie kraju pragnąć należy.

II.

Przejdźmy do sejmu. Ojcowie narodu odbyli 29 posiedzeń, na których zakończyli sesyą poprzednią a zaczęli nową. Zgromadzenie było tak ociężałe, jak dotąd nigdy. Chociaż wszystkich posłów jest aż 153, często gęsto nie zbierało się ich nawet 70. Już to jedno przekonywa, jak małą gorliwością byli przejęci. Uchwał znaczenia donioślejszego, które by mogły interesować czytelników w innych prowincyach, całkiem nie było. Sprawa niezmiernéj wagi, dotycząca przymusowego ubezpieczenia budynków włościańskich, nie była nawet w zasadzie omówiona, gdyż komisya, któréj ją powierzono, od 10 września do 19 października, t. j. przez cały czas trwania sejmu, nie zebrała się ani jeden raz na posiedzenie. Uchwalono tylko ustawę gminną dla 30 większych miast i drugą dla miasteczek, ustawa zaś służbowa, bardzo dla nas potrzebna, została odłożona na lepsze czasy. Strona finansowa gospodarki krajowéj przedstawiła się dość ponuro. Wskutek stałego zwiększania się wydatków, zwłaszcza na takie cele, jak melioracye, poparcie przemysłu, gospodarstwa i górnictwa, okazał się w budżecie niedobór blisko pół milionowy, który musiał być pokryty dodatkami do podatków. W roku ubiegłym dodatek ten wynosił 31 centów od każdego guldena podatków stałych, w roku zaś przyszłym wyniesie on już 35 centów. Jest to skok ogromny a biednéj ludności wiejskiéj da on się dobrze we znaki; ale chociaż stałe podwyższanie dodatków do podatków jest rzeczą wielce niemiłą i niepopularną, mimo to sejm musiał tak postąpić, gdyż o zmniejszeniu wydatków nie mógł pomyśléć, pokrywanie zaś niedoboru pożyczkami, jest operacyą ze wszystkich najnieszczęśliwszą, prowadzącą prosto do bankructwa. Sprawa ruska została podwakroć poruszona wnioskami posła Romańczuka. Jeden z nich dotyczył używania przez marszałka krajowego przy zagajaniu i zamykaniu sesyi sejmowéj także języka ruskiego; drugi zaprowadzenia szkół ludowych, względnie klas równoległych, tak zwanych u nas paralelek, z ruskim językiem wykładowym w gimnazyach i seminaryach. Oba te wnioski utkwiły w komisyach. Mimo to marszałek, za poradą swego stronnictwa, które na sprawę rusińską zapatruje się trzeźwiéj, niż tak zwana partya podolska, która o jakichkolwiek ustępstwach na rzecz Rusinów ani chce słyszéć, zrobił izbie niespodziankę, zamykając bo-

wiem sesyą, przemówił na końcu także po rusku, co między Rusinami zrobiło jak najlepsze wrażenie i za co téż jeden z ich posłów podziękował mu słowy gorącemi. Nie da się zaprzeczyć, że teraźniejszy marszałek postępowaniem pełném taktu i godności wszystkich sobie zjednał; wszelako ci, co go bliżéj znają, utrzymują, że on sam nie jest zadowolony ze swego stanowiska. Człowiek to rozsądny, dobry gospodarz i finansista, pamiętający z niezwykłą u nas gorliwością o swoich interesach i żyjący dla rodziny — ale nie statysta. On do téj roli nie ma ani zamiłowania, ani powołania. Ponieważ mimo chęci najszczerszych, ze sprawami krajowemi nie mógł się dotąd tak zapoznać, jak szefowie poszczególnych departamentów w wydziale krajowym, przeto we wszystkich rzeczach ważniejszych musi na ich zdaniu polegać, co mężowi, jak on sumiennemu, miłem być nie może. Pod względem materyalnym traci on także niemało; częste bowiem przebywanie we Lwowie, tudzież objady i recepcye dla posłów pociągają za sobą wielkie wydatki, których pensya marszałkowska, wynosząca 10,000 guldenów rocznie, ani w połowie nie pokrywa. Ktokolwiek zna te stosunki, dziwić się nie będzie, że hr. Tarnowski tęskni do ciszy domowéj. O ile się zdaje, usunąłby on się z wielką przyjemnością jeszcze dziś, lecz stronnictwo, do którego należy, nie może na to pozwolić, gdyż nie ma go kim zastąpić. O Sapieże nie chce ono słyszéć, tak samo nie popierałoby Czartoryskiego, ten bowiem panuje w *centrum*, które walczy z prawicą; jedynym dla niego kandydatem byłby chyba hr. Artur Potocki, lecz czy król krakowski chciałby zamieszkać we Lwowie i wobec namiestnika, będącego reprezentantem samego cesarza, zająć drugorzędne stanowisko? Oto pytanie, na które nie odważyłbym się odpowiedzieć.

W każdém ciele parlamentarném jest zwyczaj, że podczas rozpraw nad adresem i budżetem, posłowie wybitniejsi głos zabierają, by sposobem poglądowym pomówić o całéj polityce krajowéj, przyczém jéj złe strony wytykają, dobre zaś podnoszą. Sejm galicyjski w ciągu ostatnich lat jedenastu ani jeden raz adresu nie uchwalał, a co do budżetu, ten bywał najczęściéj także zatwierdzany bez zbyt gorącéj dyskusyi. W tym roku miało być inaczéj. Poseł opozycyjny, Tadeusz Romanowicz, redaktor krakowskiéj „Reformy“, która pod Wawelem już od lat kilku z powodzeniem walczy z „Czasem“ i jego adherentami, skorzystał tym razem z budżetu i w dłuższém przemówieniu, któremu nawet przeciwnicy przyznawali ogień i siłę, odmalował nasze stosunki polityczne. Ponieważ mowa ta dotyka rzeczy zasadniczych i rzuca wiele światła na obecne położenie, przeto, sądzę, nie źle będzie, jeźli zwrócę uwagę czytelników na jéj główniejsze ustępy.

Stwierdziwszy najpierw fakt, że Galicya napróżno domaga się od rządu rozszerzenia swojéj autonomii, co jest głównym celem jéj polityki, p. Romanowicz przeszedł na pole ekonomiczne i finansowe, aby na niém szczegółowo wytknąć niedostatki, których nie my jesteśmy sprawcami. Wszak kraj ma prawo żądać—mówił on między innemi—aby przynajmniéj jego ekonomicznemu rozwojowi nie rzucano kija pod nogi, aby mu szybko sprawiedliwość wymierzano, aby miał administracyą sprężystą, zajmującą się nietylko poborem rekruta i podatków, lecz czémś więcéj jeszcze; ma prawo żądać, żeby ten szczupły zakres praw politycznych, który mu przyznano, był należycie uszanowany. Tymczasem dzieje się wręcz przeciwnie. Z działu spraw ekonomicznych mamy do zapisania tylko jedną zasługę rządu obecnego. Jest nią budowa kolei Transwersalnéj. Ale i tę osłabiono tém, że nie chciano zaprowadzić decentralizacyi tejże kolei, co byłoby wyszło na wielki pożytek Galicyi. W zamian za to jedno ustępstwo, mamy prawdziwie zabójczą politykę taryfową na kolejach żelaznych, rzeki nasze nie są dotąd uregulowane, nafciarstwo i gorzelnictwo zostały wygórowanemi podatkami zagrożone w swojém istnieniu, o najmniejszą dotacyą na cele przemysłowe trzeba w Wiedniu całemi latami kołatać; słowem, na każdym kroku sam rząd stawia trudności ekonomicznemu rozwojowi naszéj prowincyi. Ale to wszystko jest jeszcze niczém w porównaniu z naszym fiskalizmem. Nie darmo w samym Wiedniu utrzymała się tradycya, że Galicya jest polem, na którém fiskalizm austryacki robi z powodzeniem swoje doświadczenia. Znalazła się raz jakaś miła dusza półurzędowa, która wytłómaczyła to w ten sposób: Polacy nie lubili płacić podatków, więc ten system jest dla nich dobry, jako część edukacyi narodowéj. Ja dziękuję za taką edukacyą — mówił p. Romanowicz — z któréj wychowanek wychodzi bez butów! Przejdźmy do szkolnictwa. Wszyscy wiedzą, jak niską i w stosunku do innych nieproporcyonalną jest dotacya naszych uniwersytetów, jak o każdy grosz trzeba dla nich latami kołatać, nim go się wydobędzie. Wiadomo, że niezliczona ilość uchwał naszego sejmu nie zdołała do tego doprowadzić, byśmy we Lwowie mieli tak dla nas niezbędny fakultet medyczny. Rząd wciąż przyrzeka to uczynić, my zaś cierpliwie czekamy. A nasze szkoły średnie? W stosunku do ludności i przestrzeni, Galicya jest ze wszystkich prowincyi austryackich w szkoły średnie najgorzéj wyposażoną i nigdzie nie ma tak mało jak u nas sił nauczycielskich. A nasza justycya! Przed ćwierć wiekiem prosiliśmy o reformę postępowania cywilnego, a do dziś dnia to nie nastąpiło, chociaż kraj cały niezmiernie na tém cierpi. Co do naszéj administracyi, to śmiało

rzec można, iż ona nie istnieje u nas we właściwém, europejskiém znaczeniu. My mamy tylko urzędy, zajęte przedewszystkiém poborem podatków i rekruta, które po za tém prawie nic nie robią. Jeżeli prócz tego sprężystego poboru podatków i rekruta, naczelnik naszéj władzy administracyjnéj na prowincyi umié być dobrym reżyserem przy przyjęciu jakiegoś dostojnika przyjezdnego, jeżeli umié utrzymać z autonomią dobre stosunki, nie w tém znaczeniu, żeby ją wspierał gorliwie, lecz stosunki towarzyskie, w takim razie może być pewny względów, łask i awansów. Nasza administracya zaniedbuje się, a dla czego? zrozumiéć bardzo łatwo. Jeżeli młodzi ludzie, którzy ledwie uniwersytet skończyli, po 3 latach służby, dzięki protekcyi, przeskakują urzędników zdolnych i zasłużonych, to wtedy ci szczęśliwcy nic nie robią, bo wiedzą, że dobre plecy starczą im za wszystko; pokrzywdzeni zaś powiadają: Nie warto pracować, skoro protekcya idzie przed zasługą. „Nie będzie u nas lepiéj — kończył poseł Romanowicz — jeżeli system wyborów nie ulegnie zmianie radykalnéj. Dotychczasowy system kandydatur „urzędowych“ jest najzgubniejszy i dla tego wszędzie go już potępiono. Niech się nie łudzi rząd, ani ci, co koło niego stoją, lub się o niego opierają: nasz kraj nie jest zadowolony. Niech ci, co przy rządzie stoją, nie lękają się tego, że wybory swobodne sięgną nieco głębiéj w warstwy ludowe. Nie będzie w tém nieszczęścia. Kraj potrzebuje odrodzenia, a odrodzić się może tylko przez nowe siły. Niech rząd nie bierze nas przy wyborach w obronę przed Rusinami, bo myśmy dość silni, żeby być sprawiedliwymi! Niech z miejsca wyboru usunie złoty kołnierz starosty, groźną minę inspektora podatkowego i bagnet żandarma, a będzie miał wtedy niesfałszowaną opinią kraju i sam siebie od niejednéj ustrzeże kompromitacyi!“

Poseł Romanowicz wspomniał w swojéj mowie o fiskalizmie austryackim. Jak on wygląda to się okaże najlepiéj z następującéj sprawy, którą poseł Korytowski na podstawie urzędowych dokumentów w tegorocznym sejmie poruszył. Proszę cierpliwie posłuchać, bo rzecz to godna najżywszéj uwagi.

Gmina Białoskórka, w starostwie tarnopolskiém, postanowiła założyć u siebie publiczną szkołę ludową i złożyła w tym celu, w dwóch egzemplarzach pisemne oświadczenie z daty 14 czerwca 1886 r., w którém zobowiązała się do następujących prestacyi na rzecz utworzyć się mającéj szkoły: Do postawienia odpowiedniego budynku szkolnego, jako téż do zakupienia potrzebnych sprzętów szkolnych, wraz z obowiązkiem do utrzymania budynku zawsze w należytym stanie. Obowiązała się także: dodać 1 mórg gruntu,

dostarczać na opał szkoły rocznie 8 kóp okłotów żytnich, uiszczać na utrzymanie nauczyciela rocznie 125 guldenów, oraz w naturaliach po $1\frac{1}{2}$ korca pszenicy, 10 korcy żyta, 10 korcy jęczmienia i 10 korcy gryki.

Dokument, zawierający te zobowiązania gminy na rzecz przyszłéj szkoły, dostał się w r. 1887 do wiadomości urzędu podatkowego w Tarnopolu, który nie miał nic pilniejszego, jak wymierzyć gminie od aktu, wezwaniem płatniczem z 31 marca 1888 r. do L. B. Rej. 4180, należytość prawną, przyjmując za podstawę wymiaru następujące ciekawe obliczenie:

1) Koszta budowy szkoły z urządzeniem . .	1,800	guldenów.
2) Wartość jednego morga pola	200	„
3) Wartość 8 kóp okłotów rocznie po 48 guldenów w 20-krotnéj ilości	960	„
4) Płaca nauczycielska po 125 guld. rocznie w 20-krotnéj ilości	2,500	„
5) Wartość prestacyi w naturze, t. j. zboża rocznie po 175 guld. 50 cent. w 20-stokrotnéj ilości	3,410	„
6) Koszta obsługi szkoły w rocznéj wartości 18 guld. w 20-stokrotnéj ilości	360	„
Razem	9,230	guldenów.

Od powyższéj wartości prestacyi, wymierzono należytość jak od darowizny w sposób następujący:

8% od wartości całéj prestacyi	739 guld.	20 cnt.
25% dodatku od powyższéj pojedynczéj należytości.	180 „	80 „
Od 2000 guld. dodatkowo po $1\frac{1}{2}$%	30 „	— „
25% dodatku od powyższego dodatku . .	7 „	50 „
Razem	961 guld.	50 cnt.

A gdy dokument przez gminę sporządzony w przepisanym terminie do wymiaru zgłoszonym nie został, w myśl § 20 jako podwyżkę (*alterum tantum*) 961 guld. 50 cnt., gdy nakoniec dokument nie był ostemplowany, należytość stemplowa wraz z karą 3 guld. czyli razem *1926* guldenów.

Wymierzono zatém gminie Białoskórki, za to, iż postanowiła u siebie szkołę założyć i własnym kosztem ją utrzymywać, należytość wynoszącą blisko 2000 guldenów. Gdybym nie był dosłownie powtórzył uchwały urzędu podatkowego z najdrobniejszemi szczegółami, tak, jak takowa w sejmie się pojawiła, nie jeden z naszemi

stosunkami nieobznajomiony, mógłby to wziąć za prostą szykanę. Tymczasem od początku do końca jest wszystko arcysmutną prawdą. Rzecz, do któréj każda gmina jest obowiązana, a więc prestacyą, wzięto za darowiznę i od niéj kazano bajońskie sumy zapłacić. Szczęście jeszcze dla Białoskórek, że w ich obronie stanął poseł Korytowski. Gdyby coś podobnego spotkało gminę mniéj oględną, pan wójt z przysiężnym ani by się spostrzegł, kiedy na głowę spadła by im egzekucya. A potém apelacya do Pana Boga. Krzycząca ta niesprawiedliwość, któréj duplikatu napróżno szukalibyśmy w całéj Europie, będzie tym razem usunięta, bo się nią zajęła najwyższa władza autonomiczna, ale ileż to krzywd spada u nas przez fiskalizm na pojedyńczych obywateli, nawet na całe korporacye! Kto się obronić nie umié, ginie. A znów obrona nie jest łatwa, przepisy bowiem, tyczące się należytości prawnych, są w Austryi tak niejasne i pogmatwane, że nietylko zwykły śmiertelnik, nawet nie każdy adwokat umié się w nich zoryentować. Dla tego to bardzo często emerytowani urzędnicy podatkowi zakładają osobne biura wywiadowcze, w których za dobrą zapłatę udzielają rad w tego rodzaju sprawach. Gdy jednak nie każdy z nich jest człowiekiem uczciwym, więc często gęsto zamiast pomocy, klient za drogie pieniądze rozczarowanie kupuje. Na fiskalizm skarżą się ludzie wszędzie, a w parlamencie wiedeńskim była o nim także nie raz mowa. Minister skarbu odpowiadał jednak na interpelacye w tym przedmiocie, że ani on temu nie winien, ani rząd, tylko niżsi urzędnicy, którzy, rekrutując się z grona młodzieży mało wykształconéj, nie umieją należycie zastosowywać ustawy. Piękne tłómaczenie! Nie jam winien, jeno moi podwładni. A od czego mam władzę w rękach? Czyż minister nie powinien zmienić podwładnych, lub wogóle inaczéj ich wychowywać? W Europie wiele się mówi o fiskalizmie austryackim, wszelako wątpię, czy to, com wyżéj przytoczył nie przechodzi w tym kierunku najbardziéj pesymistycznych przypuszczeń.

III.

Poprzedni mój list, w „Ateneum“ umieszczony, w którym pisałem obszernie o ustawie spirytusowéj, zakończyłem wynurzeniem nadziei, że kto wié czy już w niedalekiéj przyszłości nie nastąpi u nas wykupienie propinacyi. Jak wyżéj wspominałem, myśl pierwsza w tym kierunku wyszła od p. Ziemiałkowskiego, projekt zaś cały został wypracowany przez namiestnictwo lwowskie i sejmowi

przedłożony. Skielet jego tak się przedstawia. Propinacya nie będzie natychmiast zniesiona, lecz przelewa się ją na kraj za wynagrodzeniem 56 milionów guldenów w obligacyach 4 procentowych, które będą umorzone w ciągu 22 lat. Dopiéro po upływie tego czasu przestałaby ona całkiem istniéć. Na umorzenie długu złożyłyby się kwoty następujące: 1) fundusz propinacyjny 4½ miliona; 2) jeden milion rocznie wynagrodzenia za straty propinacyi z powodu podatku wódczanego, co trwać będzie aż do r. 1911; nareszcie 3) dochody propinacyjne, które według orzeczeń z r. 1875 dadzą rocznie najmniéj 3,090,000 guldenów. Ledwie ten projekt w Izbie się pojawił, wszyscy jednomyślnie zawołali, że nie jest on do przyjęcia. Gdyby kraj podjął się takiéj operacyi, ryzyko z jego strony byłoby ogromne, a straty niewątpliwe. Propinacya, niosąca dziś prywatnym właścicielom znaczne dochody, dawałaby ledwie połowę tego administracyi krajowéj, która musiałaby być liczną i kosztowną, prócz tego chłop utyskującycy teraz na panów, że wódkę sprzedają, złorzeczyłby potém „rządowi pańskiemu", że się w szynkarza przemienił. Czy pod względem moralnym zyskałoby na tém społeczeństwo, niech to bezstronni rozstrzygną. Podczas gdy rząd popisywał się swoim projektem, ze wszystkich stron sypały się inne, a pochodziły one nie tylko od posłów, lecz także od osób stojących po za sejmem. Drażliwéj téj sprawy Izba nie odrzuciła, tylko odroczyła ją do stycznia, tymczasem zaś wydział krajowy postanowił zebrać wszystkie projekty razem i drukiem je ogłosić, by interesowani mogli się nad niemi dobrze zastanowić. Nie chcąc bezpotrzebnie zbyt wiele miejsca zajmować, nie przytaczam tych projektów, można bowiem będzie uczynić to wtedy, gdy walka gorąca na nowo w sejmie zawrze. Dziś wystarczy, jeźli zaznaczę, że stronnictwo krakowskie, roztropniejsze od podolskiego, wiedząc, że tak rząd jak i kraj życzą sobie ostatecznego załatwienia sprawy propinacyjnéj, przyczyni się chętnie do tego dzieła; podolacy jednak, pod wodzą sędziwego Grocholskiego ani chcą słyszéć o wykupnie. Wprawdzie z wielkim gustem wzięliby pieniądze, jednakowoż pragną oni równocześnie, by i propinacya na wieki przy nich została. Gdy o tym przedmiocie w sejmie mówiono, niejakiemu hrabi Lasockiemu, którego dotąd jeszcześmy nie wiele znali, wyrwało się słówko nieszczęśliwe. Oto uniesiony zapałem krasomówczym, zawołał, że karczma jest ś w i ę t ą! Trzeba było wtedy widziéć, co się w Izbie działo. Konserwatyści, do których hrabia należy, byli przerażeni, opozycya przeciwnie była uradowana, jakby ją kto na sto koni wsadził, że się konserwatysta tak skompromitował. Ale znajdowali się i tacy, na których malowało się prawdziwe dla dzielnego szermie-

rza, gdyż to, co oni mieli na sercu, on w słowa ubrał. Jakie szczęście dla hr. Lasockiego, że już nie żyje Jan Lam. Ten do końca życia nie byłby mu zapomniał ś w i ę t é j karczmy.

W chwili gdy projekt rządowy zjawił się na stole marszałkowskim, autor znanéj broszury „Nędza Galicyi w cyfrach", wydał nową pracę polemiczną, p. t. „Wódka i propinacya", która acz nie narobiła takiéj wrzawy jak pierwsza, zawsze jednak zasługuje na poznanie. „Propinacya to nie praca, ale przywiléj!"—woła p. Szczepanowski. A przywiléj to klątwa, która ciąży na uprzywilejowanym, sieje niezgodę między nim a innemi warstwami społecznemi, odbiéra siłę jego ramieniu i prostotę jego sądowi, co zniewala go do szukania zysku nie w owocach własnéj pracy, ale w eksploatacyi innych ludzi. Najbardziéj prawidłowe i legalne nabycie takiego przywileju przez obecnych posiadaczy, daje słuszną podstawę do należytego odszkodowania, ale nie do przedłużenia choćby o jeden dzień obecnego stanu, jeżeli zachodzi możliwość ostatecznego usunięcia. Dla tego téż będę chuchał na każdy zawiązek przemysłu domowego, będę bronił gorzelni, wołów, pszenicy, uprawy tytoniu, gospodarstwa nabiałowego i regulacyi rzek, będę bronił wszystkiego, czego chcecie, co choć jednemu człowiekowi daje pożyteczne zajęcie, ale przenigdy nie będę bronił karczmy, bo karczma to symbol wszystkiego, co społeczeństwu ujmuje sił i zdrowia, bom pogardę gospodarstwa karczemnego wyssał z piersi matki, bo się czuję upokorzonym jako Polak, że się jeszcze znajdują ludzie, którym trzeba przypominać, iż poddaństwo chłopów, upośledzenie miast i arendy żydowskie, to trzy grzechy społeczne, które zniszczyły ustrój ekonomiczny dawnéj Polski". „Dopóki szlachcic jest wyłącznym właścicielem szynku, i czerpie zeń dochód, nie może się otrząść z odpowiedzialności za jego moralne prowadzenie. Mając wyłączny przywiléj, ciąży téż na nim wyłączna odpowiedzialność. Nie z winy jakiejś przewrotności szlacheckiéj, ale z natury rzeczy wynika że on téj odpowiedzialności podołać nie może. Wynika daléj z tego, że on téj odpowiedzialności na siebie brać nie powinien, bo biorąc to na siebie, czemu nie podoła, tylko kompromituje siebie i swój wpływ. Instytucya zatém nadająca mu przywileje, które pociągają za sobą niemożliwe obowiązki i które przeciętną naturę ludzką wystawiają na walkę pomiędzy interesem a obowiązkiem w takich okolicznościach, że zazwyczaj obowiązek interesowi ulegać musi, jest instytucyą szkodliwą, szkodliwą przedewszystkiém dla samych uprzywilejowanych, których stawia w fałszywéj pozycyi,

podkopującéj ich wpływ i znaczenie. Dla tego téż sprawa propinacyi jest społeczną, a nie majątkową, i traktowanie jéj ze stanowiska czysto majątkowego jest niegodne ważności przedmiotu. Odpowiedzialność nie da się odłączyć w téj mierze od dochodu". „Misyą i zadaniem szlachty powinno być stać na czele ruchu narodowego i społecznego. Znaczenie polityczne szlachty wyłącznie od tego zależy, ażeby prowadziła politykę narodową, a nie szlachecką. Jak tylko prowadzi politykę szlachecką, tj. traktuje kwestye społeczne ze stanowiska prywatnego majątku szlacheckiego, staje się średniowieczną zaporą majątku narodowego. Mniema, że ratuje swój majątek, a poświęca swój wpływ..." „Średniowieczny przywiléj robi z tego, co powinno być polem zgody—kamień niezgody, nadaje pracy obyczajowéj cechę polityczną, niepotrzebnie sieje posądzenie i nieprzyjaźń między ludźmi porządnymi rozmaitych stanów, którzy powinni wspólnie pracować. Usunięcie jak najszybsze prawa propinacyjnego leży zatém przedewszystkiém w interesie szlachty, bo usuwa główną zaporę do jéj wpływu na lud. Dopóki to nie nastąpi, to każdy ksiądz i nauczyciel, w miarę jak jest gorliwy, w miarę jak odpowiada swemu powołaniu, w miarę jak się gorliwie zajmuje krzewieniem wstrzemięźliwości, przybiera kierunek antyszlachecki, musi się z natury rzeczy stawać przeciwnym wpływowi szlacheckiemu, który go w jego usiłowaniach nie wspiera, a otacza swemi skrzydły szynk, to, co on przedstawia jako ognisko zepsucia. Niejedne skargi na księży ruskich, coraz częstsze skargi na „złych" księży na Mazurach, na socyalistyczne dążności nauczycieli wiejskich, wszystko to w znacznéj mierze pochodzi z tego źródła nieufności, wyzyskiwania i zawiści, zasilanego przez następstwa przywilejów propinacyjnych". „Arenda, lichwa i pokątne pisarstwo, oto trzy klasy pijawek społecznych, przed którémi trzeba lud ochraniać, a głównem ich siedliskiem jest karczma. Ona dokoła siebie szerzy zarazę społeczną. Dopóki żydzi są wyłącznymi karczmarzami, *odium* wszystkich tych praktyk nieprawnych spada na całą ludność izraelicką, nawet na tę jéj część, która w pocie czoła na swoje życie zarabia. Dopóki szlachta jest wyłączną właścicielką karczem, część tego *odium* spada także i na nią. Bo téż nietylko faktycznie, ale i historycznie, szlachcic polski i żyd polski są nierozerwalnie ze sobą związani, jak dwie strony jednego medalu. Nie można ich sobie z osobna wystawić. Szlachcic polski i żyd, faktor lub arendarz, to jakby dwie strony téj saméj istoty, ku górze szlachcic ku dołowi żyd. To jak para braci siamskich, połączonych węzłem organicznym. A tym węzłem to karczma... Biednaś ty szlachto polska z twoją świetną przeszłością a mizerną teraźniejszością, ugina-

jąca się pod brzemieniem zadań, przekazanych przez historyą, a zaledwie zdolna własną skórę ochronić w walce o byt obecny! Żyjąca sprzeczności, przedstawicielko wszystkiego, co u nas było najszlachetniejszego i zarazem najzgubniejszego. Tyle zapałów niemożliwych, tyle uniesień niepłodnych, nierozważnych poświęceń, ale i tyle lekkomyślności, zapomnienia i nikczemności!“ „Jeżeli usunięcie kwestyi propinacyjnéj jest pożądane w interesie harmonii społecznéj w społeczeństwie polskiém, to stokroć bardziéj stosuje się to do Rusi. Tu są największe dochody propinacyjne. Tu się rozwinęły wszystkie najohydniejsze jéj strony, tu od czasów Chmielnickiego sprawa ta przybrała cechę polityczną, któréj we właściwéj Polsce nigdy nie miała. Nawet obecnie tylko w ruskich częściach kraju spotyka się na wielką skalę pijaństwo. To téż prawo propinacyjne dostarcza wrogom naszym najsilniejszéj broni przeciw szlachcie. Jeżeli gdzie, to na Rusi zniesienie przywileju propinacyjnego będzie dobrodziejstwem dla szlachty“.

Cała broszura jest tym tonem pisana. Przytoczyłem tylko kilka ustępów, byście się mogli przekonać, jaki z niéj duch wieje. Na każdéj stronicy, a jest ich 40, czuć pisarza z myślą szlachetną a sercem gorącém, który radby politykę krajową wprowadzić na inne tory. Poczciwe i śmiałe wystąpienie p. Szczepanowskiego zasługuje na tém większą pochwałę, ile że delegatem do rady państwa został on wybrany przez szlachtę obwodu stryjskiego, która niekoniecznie godzi się na zniesienie przywileju propinacyjnego. P. Szczepanowski wyżéj jednak stawia swoje sumienie obywatelskie niż mandat poselski, więc téż miasto schlebiać wyborcom, tnie im śmiało prawdę w oczy. Ale chociaż téj nowéj pracy tak samo jak „Nędzy Galcyi“ z całego serca przyklaskujemy, mimowoli nasuwa się pytanie, czy wywrze ona pożądany wpływ na nasze społeczeństwo? Mnie się zdaje, że nie. Myśmy już tak na wszystko zobojętnięli i taka martwota nas ogarnęła, że słowo, choćby najpiękniejsze i z najgłębszego przekonania wypowiedziane, nie wywiera żadnego skutku. P. Szczepanowski sam się o tém przekonał, gdyż w kilkanaście dni po ogłoszeniu jego broszury, którą wszyscy posłowie niewątpliwie czytali, hr. Lasocki nie wahał się z trybuny sejmowéj nazwać karczmę swoją świętością. Niestety, słowa, broszury, dzienniki nie są wstanie wywrzéć wpływu na tok naszéj polityki. Ta potrzebuje nie słów lecz czynów. Rozumiał to ongi Kołłątaj, i dla tego sławne swoje listy do Małachowskiego układał w porozumieniu z przewódcami stronnictwa, do którego należał, reformy zaś, które w nich proponował, były przez posłów tegoż stron-

nictwa w sejmie bronione. Jeźli więc pan Szczepanowski nie życzy sobie by jego słowo przebrzmiewało bez odgłosu, jeżeli pragnie widzieć owoce swojéj pracy poczciwéj, niech co prędzéj przystąpi do organizacyi stronnictwa postępowego, które dziś błąka się rozbite, a gdy to nastąpi, wtedy uwierzę, że broszury jego, szlachetną myślą natchnione a pełne wskazówek pożytecznych dla społeczeństwa, wejdą w naszą krew i życie. Inaczéj zginą w fali zapomnienia, bo kraj chce nie słów, lecz czynów!

Józef Rogosz.





NAJNOWSZA POWIEŚĆ

Z TAMTÉJ STRONY TATR.

(Dokończenie).

Aby zrozumiéć architektonikę obu powieści, a zarazem myśl ich główną, należy znać obecny stan zewnętrzny społeczeństwa słowackiego, jego — że tak powiem — statykę i dynamikę. Całe brzemię pracy narodowéj spoczywa tam na duchowieństwie, z którego się rekrutuje stan nauczycielstwa ludowego i na nielicznéj garstce inteligencyi, złożonéj z drobnych urzędników, nielicznych rękodzielników i kupców drobnych, tudzież statkarów—średniego stanu ziemiańskiego (którego nam brak prawie zupełny). Cały ten zastęp tworzy właściwy stan średni, nie silny liczebnie, a tém mniéj finansowo. Z jednéj strony tego zastępu leżą masy ludu wiejskiego, poczciwego, uczuciowego, pracowitego, mało co więcéj mającego poczucia narodowéj świadomości od naszego chłopa, a bardziéj zahukanego, trwożliwszego i lękliwszego. Z drugiéj zaś strony—szlachta, więksi właściciele ziemscy ze wszystkiemi zaletami i przywarami naszéj szlachty w znaczeniu towarzyskiém i społeczném, a nieskończenie niższéj wartości pod względem narodowym. Są to albo zupełnie wynarodowieni i tylko jak nasi Wilmowscy, noszący narodowe nazwiska, albo w większéj części zobojętnieli, zaledwo w małéj dozie w życiu domowém posługujący się mową ojczystą, ale interesem i częścią uczuciem już, jak Radolińscy, ciężący ku obcemu słońcu. Zwyczaje i obyczaje trzymają się tam jeszcze tradycyą narodową—bezwiedną, ale świadomość własna pchnęła ich na pochyłość ku wynarodowieniu.

Słowacy, aczkolwiek najbliżsi Czechom i do niedawna tworzący z nimi jeden prawie organizm narodowy, różnią się od nich

radykalnie w pojęciach, uczuciach i całym swym ustroju duchowym, zachowawszy ze wszystkich Słowian najwięcéj może u siebie słowiańskości. W szeregu owych różnic i czynnik szlachecki odegrywa ważną rolę. O ile Czesi, straciwszy od przeszło półtrzecia wieku swą szlachtę, stali się narodem na wskróś demokratycznym i tylko dziś dopiéro drogą refleksyi zaczynają przychodzić do przekonania, jak pożytecznym byłby czynnik szlachecki w ich życiu, gdyby był narodowym; o tyle w Słowacyi żyje wszędzie tradycya szlachecka zarówno na wsi jak mieście i dopiéro w ostatniéj generacyi zaczął rwać się jéj wątek między dworem a chatą, a rwać się powoli i w sposób dziwny, niezrozumiały zarówno dla szlachcica, tracącego poczucie świadomości narodowéj, jak dla chłopa, nie mającego jeszcze téj świadomości w mierze równéj chłopowi czeskiemu.

Moment tego zjawiska, jednego z najciekawszych w życiu społeczeństw i obecnym peryodzie walk narodowościowych, oraz świadomość téj ważnéj roli, jakąby odegrać mogła szlachta narodowa w Słowacyi wobec szczupłego zastępu patryotów,— jeśli godne są zwrócić na się baczną uwagę publicystów i polityków, to w równéj mierze psychiatrów i myślącego beletrysty, poważnego powieściopisarza.

Że więc Wajanský pojął jéj doniosłość i uczynił przedmiotem dwóch powieści—czyni to mu zaszczyt, a jego utwory—już choćby z tego jednego tytułu—stawia w pierwszym rzędzie najcelniejszych utworów beletrystycznych nie tylko w literaturze ludów słowiańskich, ale wogóle europejskiéj, témbardziéj, gdy przeprowadzenie idei, forma jéj, odpowiada jéj doniosłości.

„My ziemianie jesteśmy suchą latoroślą waszego narodu"—mówił Stanisław Rudopolski do Alberta Tichego w téj chwili nerwowego rozdrażnienia i zwątpienia o sobie, które znamionowało zbawienne w jego duchowym organizmie przesilenie — „z korzeniem wyrwać musicie to nasze drzewo.... *Z* nas mieć nie będziecie żadnéj pociechy.... Jesteśmy bezbarwni, bez charakteru, bez rodzimych znamion.... Jakie wspomnienia wiązać mogą syna tych dolin do mojego zamku? Czy on zdoła wznieść się sercem, gdy poczuje, że tu mieszkał tyran, który nawet nie zachował miana swojego ludu? Polak może wybaczyć swoim feudalnym tyranom, gdyż jeśli obdzierali chłopa, to przynajmniéj nie uśmiercali jego bytu duchowego. Byli oni zawsze polakami, mimo że dopuszczali się przewinień, będących po części znamieniem ich wieku, a po części skutkiem ubocznych wpływów, ale w końcu przekazali temu chłopstwu drogą spuściznę narodowości, tak, że dziś syn chłopa może jako polak wznieść się wyżéj niż karmazyni i siedzieć jako polak w radzie państwa obok

potomka sławnych Czartoryskich.... My dusiliśmy poddanych jak tamci, a nadto wylaliśmy morze krwi ludowéj do zgniłego błota...."

Wyznanie to, włożone w usta bohatera, przez połowę tylko mogło być przekonaniem samego autora, który nie mógł wierzyć w potrzebę wyrwania suchego drzewa z korzeniem, skoro uczynił je zdolném do rozrostu i zazielenienia, zrobiwszy w końcu swego bohatera—narodowcem. Jest to więc tylko jeden z momentów tego psychicznego procesu, przez jaki przechodził jego bohater, przez jaki przejść musiał, aby się odrodzić. Prawda, trudny ten proces i może za trudny dla każdego, dla wszystkich, ale prawdopodobny i możliwy. Wpływowi sfery narodowéj i dantejskiemu przeznaczeniu autora ulegli obadwaj bohaterowie obu powieści — Stanisław i Ella, uległ mężczyzna, uległa kobiéta. Dla obojga musiało być czynnikiem odradzającym tak silne uczucie jak miłość, aby wstrząsnąwszy całym organizmem, nawrócić go na inne tory. Odpowiednio tedy do wymagań takiego uczucia, musiał być i przedmiot miłości godnym, wzniosłym i niezwykłym w stosunku do całego otoczenia, a témbardziéj téj sfery, wśród któréj wzrośli bohaterowie. To też i Adela—przedmiot miłości Stanisława, i Milko—kochanek Elli, to ludzie niezwykli, wysoko wznoszący się fizycznie i duchowo po nad poziom innych ludzi.

Ale gdy dla kobiéty wystarczyła sama miłość i Ella pokochawszy Milka, przestała być rychło tém, czém była, a dalsze działanie otoczenia narodowego już tylko rozwijało jéj odrodzenie i wzmacniało w niéj poczucie narodowe; dla mężczyzny, który żyje nie tylko sercem ale i myślą — sama miłość nie wystarczyłaby. Toć zgodnie z prawem psychiczném, Rudopolski potrzebował przechodzić powolną drogą wpływów najpierw wyobrażeń artystycznych, następnie propagandy Tichego i całego otoczenia i szeregu faktów, działających na przekonanie, a w końcu dopiéro miłość dla kobiéty dokonała reszty.

A jaką kobiétą była Adela?

Wśród wspomnianéj w streszczeniu majówki Adela ofiarowała się służyć za przewodnika po ruinach Stanisławowi, którego w owym dniu po raz pierwszy poznała w towarzystwie Wanowskich. Przyjąwszy podane jéj ramię, oprowadzała go po zwaliskach czas jakiś. Zatrzymawszy się w jedném miejscu:

— „To Witów" — rzekła, wskazując prawą, po łokieć obnażoną ręką na szare góry, gdzie w błękitnawéj mgle migotały ruiny grodu;— „powiadają, że był złączony z Wodinem podziemną drogą, zapewne dla ułatwienia schadzki kochankom." Usiłowała mówić powszednim tonem ciceronów, ale naraz poczęła żywiéj: — „A tu

pańskie miłe Rudopole. Patrz pan, jak czernieje dach zamku rudopolskiego! Powiadają, że przebywa w nim pustelnik w towarzystwie kaprysów i pychy.“ To mówiąc, przystąpiła bliżéj ku oknu w ścianie zwaliska i rzuciła listek lipowy. Szybkim ruchem pochyliła się prawie połową swego wiotkiego ciała nad przepaścią, aby widziéć jak listek fruwając w powietrzu opadał ku ziemi. Stanisław, wyrwany z zadumy artystycznéj, struchlał. Pod oknem czerniała przepaść okropna. Mur sam przez się wysoki, wznosił się na stroméj, skalistéj ścianie. Stanisław instynktownie wyciągnął rękę i chwycił ją za ramię.

Adela zaśmiała się głośnym, metalicznym śmiechem, który dźwięczał w jéj gardziołku jak świergot słowiczy.

— „Przecież ma srebro w piersi“ — pomyślał Stanisław — „jak ono dźwięczy dziwnie; śmiéch taki nie może być fałszywym jak ten warkocz.

— „Dziękuję za usługę bohaterską! Gotów by kto pomyśléć, że się pan boisz o moje życie!“ i przechyliła się raz jeszcze, głębiéj i niebezpieczniéj.

Stano posmutniał—przykro mu, cierpko, niemiło było w sercu; uśmiéch pogardy przemknął po licach jego: „Możesz teraz czekać na „bohaterską usługę“—i stanął spokojnie, skrzyżowawszy ręce na piersi.

— „Coby to za lot był! Boże, co za głębia straszna“—mówiła Adela, pochylona nad przepaścią. — „Jak malutkiemi wydają się te wiekowe, rosochate dęby, zupełnie jak krzaczki. Aj, aj, tam na dole pod skałą biegnie coś, zajączek, zajączek.“ Przechyliła się tak, że ledwo jedną nóżką dotykała ziemi.

Trwożne a gorzkie uczucie zawładnęło Stanisławem. Wrażliwe nerwy jego drgały po całém ciele. Sam zapewne byłby się bez wahania przechylił tak samo bez najmniejszego lęku, ale na innego patrzyć nie mógł, po prostu wstrętu doznawał, wiedząc, że kobiéta tak igra z uczuciem mężczyzny. Toć nienawidził ją z głębi duszy.

— „Proszę pani, po co tak niewczesne żarty, przecież nie jestem nowicyuszem!“ — dodał pogardliwie z gorzkim uśmiechem.

Ona nie mogła nie zrozumiéć całéj ostrości, a cierpkości słów „nie jestem nowicyuszem!“ Wszak już w samym tonie, w jakim je wygłoszono, uderzała satyra, a nawet pogardliwe lekceważenie. Ostrym bólem drgnęło jéj serce. Nikt jéj jeszcze tak nie ubódł. Czy taka rana nie zatruje krwi wszystkiéj?

Adela spuściła rękę na dół, a pochyliła się jeszcze głębiéj. „Zajączek, tuż, tuż, po pod samą skałą mignął; jaki malutki, jak myszka, jak myszeczka“ — a śmiéch srebrny dźwięczał.

Stano drżéć począł, nie wiedząc bardziéj z gniewu czy z bojaźni. Przymknął oczy, a pomyślał:

— „A przecież nie zdołasz zmusić mię do tego, abym się ciebie jeszcze raz dotknął, kokietko!“ Blady był.

— „Już go nie widać, jeszcze bliżéj podsunął się“ — zawołała pośpiesznie Adela i w téj chwili siadła na mur, przekładając przeze ń obie nóżki....

Stano poczuł szelest sukni, a w oczach mu pobielało. Całém ciałem była za murem; opierając się nóżkami o szczelinę ściany zewnętrznéj, obu rękoma trzymała się muru... Z majówki dolatywały dźwięki dzikiego a dziarskiego czardasza, zmieszane ze śpiewem i oklaskami. W nagłém przesunięciu się przez mur odpiął się Adeli długi, wspaniały warkocz i bujał w lekkich powiewach.

Stanisławowi w oczach się zaćmiło. Ale jakby sam demon naprzekór dobrym chęciom wionął róźszczką nad głową jego, nie ruszył się z miejsca, jeno zacisnął zęby.

— „Znów go widzę!“ — wołała Adela, spozierając pochylona w przepaść; ale głos jéj już nie miał metalicznego dźwięku, jeno wibrował przytłumiony. Stano stał jakby zlodowaciały. Adela puściła lewą rękę i trzymała się muru tylko prawą, unosząc się nad przepaścią.

Demon przekory odleciał od głowy Stanisława. Przyskoczył, porwał Adelę pod ramiona, oparł się kolanami o mur, a przygarniając ją gwałtownym wysiłkiem ku piersiom, przeniósł przez mur.

Była bladą, bardzo bladą.

— „Ciężka to była walka!“ — przemówiła — „myślisz pan, że zwyciężyłbyś uporem?“

Stano cofnął się o krok, ciężko oddychając.

— „Jabym była zwyciężyła!“ — zawołała, a srebro znów się odezwało w jéj głosie,—„chociaż prawda, że aż tam przy zajączku.“

Patrząc na jéj twarz, któréj bladość przechodziła niemal aż w popielaty ton, na fanatyczny blask oka — Stano pochylił głowę i uwierzył. Ale po co to wszystko? napróżno pytał samego siebie. Ona usiadła w niszy kominkowéj i oparła główkę o skałę. Okruszyny mchu posypały się na jéj szatynowe, połyskujące włosy. „Nie, nie było to udane“—ciężko oddychając, szeptał sobie Stano, — „jak i ten warkocz nie był fałszywy, jak i różowe lica.“ Ręką pociągnął po czole, zgarniając duże krople zimnego potu.

Adela miała zamknięte oczy, a wtedy blada twarz jéj świeciła przejrzyście, jak marmur, lecz wkrótce je rozwarła. Pierś jéj zaczęła oddychać prawidłowo, twarz dostawała barwy.“

Po chwili, powróciwszy do całego towarzystwa, na majówce ta sama kobiéta była damą światową, elegancką, uśmiechniętą, swawolną; po paru godzinach, powróciwszy do domu, samotnie, przy swojém łóżeczku, przed obrazem Matki Boskiéj tonęła we łzach żalu i skargi na siebie, czy na świat, przed którym musiała maskować naturę własną i kryć się z popędami serca; a w parę tygodni, czy miesięcy, jak zakonna siostra miłosierdzia, z zaparciem się własném i z pieczołowitością siostrzaną pielęgnuje Stanisława, złożonego ciężką na łożu chorobą.

Wyrzuciwszy z refleksyi główną zasadniczą myśl na przedmiot i wątek powieści, Wajanský puszcza następnie wodze fantazyi i artystycznéj twórczości i ową główną myśl ilustruje całym szeregiem obrazków, pełnych przedmiotowéj plastyki i często dziwnéj piękności.

Widzieliśmy z powyższego obrazka jeden rys kobiéty, jaką być musiała niezwykłego charakteru, aby miłością swoją zelektryzować obojętne serce obojętnego dla uczuć słowackich bohatera „Suchéj latorości". Wypada teraz pokazać inny obrazek z drugiéj powieści, malujący osobę już odrodzoną w kierunku słowackim, pod wpływem budzącéj ją z uśpienia miłości. Tam mieliśmy w osobie Adeli magnetyzera, tu w osobie Elli mamy medyum w ręku patryoty — Milka.

Ella z rozstrzepanéj, naiwnéj a swawolnéj dziewczynki staje się myślącą, zadumaną, z sądem o ludziach i zjawiskach, różnym od sądu otaczającéj ją rodziny. Po odwiedzinach komisyi śledczéj przyjechała na plebanią po raz wtóry taż sama komisya już z wyrokiem na starego Holana (ojca Milkowego), rugującym go ze szkoły. Do komisyi przydzielono i Jabłońskiego (ojca Elli). Stary Holan w oczekiwaniu na syna, który wyjechał do miasteczka, siedział samotny na plebanii i czytał książkę.

Dało się słyszéć stąpanie ludzi. „Lecz do izby wszedł nie jego Milko, ale Wisznia z dwoma pisarzami, Jabłoński z sędzią i przysięgłym. Mała izdebka cała się zapełniła. Starzec powstał, przygładził obu rękoma włosy siwe i witał przybyłych.

Wisznia surowym, gniewnym głosem oznajmił starcowi wyrok egzekucyjny.

Nauczyciel złożył ręce jak do modlitwy, a jasne, pełne duchowego wyrazu oczy wzniósł ku powale. Stał oniemiały, jego wargi drżały mu mimowolnie.

— „Cóżem wam zawinił, dobrzy ludzie?"—odezwał się nareszcie biédny staruszek głosem łagodnym, miękkim— „czym się dopuścił czego karygodnego? Przykro mi bardzo! Wybaczcie choremu

starcowi, głowa mi słabnie, może mimowoli obraziłem was?" Coś błagalnego ale zarazem świadomego czuć było w głosie jego.

— „Rozrzucaliście pomiędzy lud książki panslawistyczne i zdradzieckie, uczyliście dzieci, że są Słowakami, modliliście się do lipy (1), a w ten sposób wróciliście do bałwochwalstwa. My dbać musimy o dobro i pożytek kościoła świętego; wina wasza, że nadszedł czas pokuty." Nigdy jeszcze imię kościoła nie było tak nadużyte jak przy ściganiu patryotów słowackich.

— „Ja się modlę przed krzyżem Zbawiciela mojego"— szepnął w odpowiedzi starzec i skrzyżował ręce na piersi.

— „Próżne wybiegi! Panie sędzio i przysięgły— wyprowadzić precz byłego nauczyciela!"

Sędzia poskrobał się za uchem, przysięgły począł przestępować z nogi na nogę. Skromnie, w blasku dostojności i uroku męczennika stał nauczyciel w pośrodku przybyszów.

— „Pięćdziesiąt lat prowadziłem powierzoną mi dziatwę ku Bogu a poczciwości, osłabła pierś moja, duszno już w niéj, płuca wysłużyły się — miłosierdzia, panie! Pozostawcie umierającemu izdebkę dla ostatniego tchnienia! Wdzięczne ono będzie dobrocią waszą!" Pierś starca ciężko pracowała, ledwo mógł czerpać w nią powietrza. — „Wstyd mi i hańba będzie, jeśli tak przed grobem zostanę skazany na tułactwo bez własnego dachu!" — ciężko, z przerwami mówił złamany starzec. — „Zostawcie mi pod temi lipami maluczkie miejsce! tam z pobożną pieśnią wyprowadziłem na wieczny odpoczynek rodziców waszych, panie sędzio, tam ułożyłem do spokoju szczebioczącą dziecinę waszą, ojcze przysięgły! Bóg miłosierny miłuje maluczkich."

Przysięgły ruszył się z miejsca i zaczął cofać się ku drzwiom.

— „Dokąd uciekasz, łotrze!" — ryknął wzburzony Wisznia, a twarz jego krwią nabiegła. — „Sędzio, wykonajcie swoję powinność!"

Sędzia drżał na całém ciele przed tyranem. Jeszcze nie wywietrzała u ludu naszego bojaźń poddańcza, pod którą jęczeli ojcowie jego. Starsi jeszcze pamiętają, jak ciągnęli pługi pańskie, uginając się pod pałką surowych hajduków. Haniebne znamię niewolnictwa czas zetrze, ale dotychczas szpeci ono jeszcze czoło słowackie.

Tymczasem wieść o egzekucyi rozeszła się po wsi. Włościanie gromadzić się zaczęli pod lipami, około kościołka drewnianego.

---

(1) Pod lipami, tuż przy cmentarzu staruszek lubiał siadywać, marząc, czytając lub pisząc medytacyę swoje narodowo-religijne.

Na twarzach ich odbijał się smutek i nieporadność. Każdy czuł, że to poniżenie dla kościoła, gdy tak niemiłosiernie wyganiają nauczyciela słowa bożego, nauczyciela, którego oni wybrali sobie, a który ich i dziatki ich prowadził i prowadzi ku dobremu.

— „Opór! Bunt.“ — wrzeszczał Wisznia. — „Patrz pan, oto są owoce waszéj nauki, waszéj zdradzieckiéj służby kościelnéj, stary grzeszniku! Piękne owoce wydaje zatrute drzewo panslawistyczne.“ Skinął na pisarza, który téż wnet wybiegł z izby. — „Szczęściem, przygotowany jestem na ten wypadek.“

Zastęp ludu wzrastał na zewnątrz.

Przed oknem błysnęły dwa bagnety. Dwóch pandurów zjawiło się we drzwiach.

— „Precz stąd wyprowadzić tego!“ — rozkazał Wisznia.

Jabłoński bladł, kręcąc niespokojnie palec o palec; i dla niego wstrętnemi były narodowe dążności słowackie, ale patrząc na wychudłą twarz starca, na chorobliwym blaskiem świecące oczy jego, zaczął uczuwać mimowolną przykrość w sercu. Nadto niemiłe mu były te wszystkie drastyczne drogi rządowe, to gwałtowne wystąpienie! Ale czuł się słabym, nieśmiałym, a Wiszni bał się jak cała okolica.

Pandurzy pochwycili starca za ręce, na ramionach kołysały się im krótkie zardzewiałe karabiny. Żałośnie oglądał się starzec po swojéj izdebce. Był już na progu.

— „Stójcie, zbóje!“ — rozległ się dźwięczny a drżący głos.

Ella stała przed szkołą. W szybkim biegu odpiął się jéj bujny warkocz i spadał po nad szyją ku talii.

Śliczne dziewczę ujęło starca za rękę — pandurzy odstąpili, jakby się przed nimi zjawił anioł z mieczem płomienistym. Ella owinęła prawą ręką siwą głowę starca i rozpalone liczka przytuliła do jego żółto-bladéj skroni. Złocisty jéj warkocz opierał się o śnieżną głowę starca.

— „Ella, na Boga, co ty robisz?!“ — zawołał Jabłoński.

Przestrzeń przed szkołą ożywiła się. Włościanie lękliwie zgromadzeni za kościołem, nabrali śmiałości wystąpieniem Elli. Niespodziane jéj zjawienie się, dziecięce przylgnięcie ku nauczycielowi rozdrażniło masę. Włościanie jeden za drugim wysuwali się z po za płotów — w gromadzie rośnie śmiałość i odwaga. Podeszły téż i kobiéty.

— „I nas warto posłuchać!“ — odezwał się naraz głos z tłumu, który groźnie zbliżał się ku drzwiom szkoły. Jabłoński zdołał tymczasem pochwycić córkę za ramię i na pół prowadząc, na pół wynosił ją ze szkoły. Ale iskra, rzucona białą ręką Elliną w lud, już

nieciła pożar. „Po co wy tu“?—wołali jedni, „kto was posłał“? inni. „Aha, to Wisznia, co tych żydów broni“,—odezwał się ktoś. „Ten sam co na stemple pieniądze wybiera! Piękne stemple“!

Jakiś starzec wyniosłéj postawy, z gęstemi długiemi włosami wystąpił przed komisyą. Błękitne oczy jego ciskały gniewne spojrzenie.

— „Co tu burzycie pokój kościoła?“—krzyknął ochrypłym ale przenikliwym głosem.„ Dom ten jest domem modiltwy, a wy z niego czynicie jaskinię łotrów! Plemię jaszczurcze, ogień z nieba spadnie na głowy wasze“!

Po tych słowach burzyć się począł lud do wściekłości. Do wrzawy głosów męzkich przyłączył się skrzek i narzekanie niewiast, a płacz dzieci, obsiadłych tłumami płoty. Wisznia ze swoją drużyną ujrzał się naraz w ścieśnionėm kole rozwścieczonego tłumu. Ku przodowi cisnęli się młodzi parobcy.

— „Rozpędzić tę gawiedź“! — rozkazał Wisznia pandurom. Pandurzy nastawili bagnety i poszli naprzód. Lud począł się cofać, ale jeno o tyle, o ile sięgały końce bagnetów. Rozjątrzyło to jeszcze bardziéj masę. W tém krzyknęła jakaś babka: „Boże, Boże, ranili mnie, krew, krew!“

Krew naprawdę jest dziwnym płynem: widok jéj działa na masy. Ostatnia rozwaga opuściła rozpalone głowy. Gołemi rękoma włościanie schwycili bagnety i w okamgnieniu rozbroili pandurów. Czteréj młodzi parobcy jakby na rozkaz wznieśli ciężkie kije na Wisznię.

— „Nazad“!—zawołał ksiądz swym przeciągłym głębokim głosem, a stanąwszy przed swym tyranem, zakrył ramionami jakby tarczą jego zagrożoną głowę.

— „Bijcie mnie, jeśli chcecie, ale temu dajcie pokój! Bójcie się Boga! W jego święte imię nazad“!

Dostojnie wyglądał staruszek; lekki rumieniec okrasił bladą twarz jego. Oczy jaśniały wyrazem wyrzutu, nagany. Gniewny krzyk ludu zmienił się w szmer zdziwienia, tłumy cofnęły się o krok.

— „Rozejdźcie się do cichych przybytków swoich“,—ciągnął daléj głosem uroczystym,—„przemocy Bóg nie miłuje. Ochraniał On mię aż do kresu bliskiego grobu,—w potężne ręce Jego polecam żywot mój“. Wzniósł ręce do góry. „Chwała Najwyższemu! On tarczą i osłoną naszą! Kyrje elejson, Chryste elejson“!

Niewiasty w płacz uderzyły: „Ojcze, ojcze nasz“!

— „Dajcie wolną drogę“!—cichszym głosem przemówił starzec i postąpił naprzód. Tłumy się rozstąpiły, i powstała nie szeroka

ulica. Tuż tuż za księdzem stąpał Wisznia, za nim pisarze, a za tymi pandury, którym przecie dostało się kilka szturchańców, Holan szczęśliwie doprowadził egzekutorów do pojazdów.....

Wieczorem Milko powrócił z miasta. Zastał ojca nad starą postylą, okutą w mosiężną oprawę. Żółte gwoździe po rogach były starte a świeciły jak złoto. Mrowie przeszło po ciele młodego człowieka, gdy się dowiedział, co się stało pod jego nieobecność.

— „Tak, tak"!—zaszemrał gniewnie,—„jeno ochraniajcie gnaty tych szakalów! Ale sami nadstawiajmy grzbiety! Całujmy ławy, na które nas ściągnęli do bicia, demoralizujmy lud, gdy się nareszcie zdobywa na czyn męski! Wspaniałomyślność"!

Milko rzucił się rozgoryczony na stołek. Spojrzał na ojca i zląkł się! Wszak twarz tego starca od rana schudła, zżółkła. Jak słabo, mętnie patrzą oczy jego!

— „Co ojcu"?—pytał syn i ujął rękę ojcowską.

— „Nic—ciężko oddychać—wszak to stara moja niemoc".

Milko złożył ojca na pościel.

. . . .

Wisznia nie poprzestał na poprzednich środkach i przygotowywał egzekucyą wojenną. Tymczasem jesień nadeszła, obnażając konary lip z zieleni, która tak wdzięcznie niegdyś osłaniała kościołek i plebanią ze szkołą. Tu staruszek leżąc na pościeli walczył w agonii z resztkami opuszczających go sił. Walka toczyła się też w głowie i sercu stojącego obok syna...... „Milko-syn zwyciężył Milka-lekarza. Ukląkł przed łóżkiem i przytulił głowę ku piersi ojcowskiéj. Starzec ostatnim wysiłkiem podniósł swą głowę, a ustami przylgnął do ciemnych włosów synowskich.

— „Tatu, drugi tatu, nie opuszczaj mnie"!—zawołał i westchnął głęboko.

Głowa starca upadła na poduszkę, jeno ręka szamotała się jakby szukając głowy synowskiéj. Milko przyciskał ją do swoich skroni. Boże, ręka ta stygła! Serce umierającego uderzało coraz słabiéj. Jedno westchnienie—a oczy jego słupem stanęły.

Na zewnątrz rozległ się odgłos bębna i miarowy krok maszcerującego wojska.

— „*Halt*"!—rozkazał dźwięczny, potężny głos. Ucichł bęben i odgłos kroków.

— „Panie sędzio", dał się słyszeć przez otwarte okno tenże sam głos,—„mam stać w szkole. Zrób pan porządek i zarządź dla ludzi, co potrzeba", ciągnął daléj rozkazujący po słowacku, ale z serbską twardą intonacyą.

Milko drżącą ręką przymknął oczy ojcowskie i uczuł straszne, bolesne osamotnienie. Dopiéro po nieodwołalnéj stracie pojmujemy całą wartość utraconego.

Drzwi się z łoskotem rozwarły. Na progu stał kapitan, silnéj budowy, czarnobrody mężczyzna. Potrącona o podwoje zabrzęczała szabla.

Milko powstał i przetarł ręką oczy. Głęboko był wzruszony, ledwo zdołał pojąć co się do koła dzieje.

Kapitan żachnął się. „Tu nieboszczyk“?—zwrócił się ku sędziemu.

— „Mój ojciec... w téj chwili umarł“,—odrzekł Miłosław.

— „Wybacz pan... nie wiedziałem“. Kapitan zdjął czapkę, przeżegnał się i dodał: „I ja jestem słowianinem, i jam chrześcianin—stała się pomyłka“;—uścisnął mocno rękę doktora i wyszedł.

Gdy po chwili przyleciał Duszan, zastał przed drzwiami szkolnemi wojaka na straży.

— „Co tu robicie“?—pytał go.

— „W pokoju nieboszczyk leży. Na rozkaz pana kapitana stoję tu na straży honorowéj“.

. . . .

Widzimy więc—jakie tu jest umiejętne użycie efektów a z drugiéj strony—jak wyborne wyzyskanie światła i cieniów w obrazie. Efekta te są tak użyte skromnie, a jednak zadowolnić mogą każdą estetyczną naturę, nie wyłączając może nawet ani impresyonistów, ani realistów nowéj szkoły, mimo że nie znajdujemy tam ani anatomicznego opisu muskułów i żyłek nadobnéj Adeli, ani analizy brudu na rękach chłopów, idących do ataku na Wisznię, ani lubowania się banalną mową tego ostatniego, ani kurczów i konwulsyjnych drgań umierającego.

Natomiast w innym rodzaju techniką, może Wajanský zasłużyć bodaj na wielką pochwałę nowszych realistów.

W analizie miłości unika on nieprzerwalności, ciągłości w cieniowaniu rozwoju uczucia. Używa tylko oddzielnych momentów, oddzielnych faz w przejawach tego uczucia i wówczas nie skąpi ani mocnych barw, ani nawet subtelności cieniowania danego momentu; ale między jednym a drugim pozostawia przerwy jakoby linie frauenhoferowskie. Ucieka się niekiedy do bardzo głębokich i stopniowych tonów, ale nie ma cyzelowania, nie ma fioritury. Odpowiednio do tego przejawy miłości zaznacza nie wymianą myśli i uczuć, nie słowami bohaterów, lub własnym opisem ich uczuć, lecz wrażeniami ze staccatowych, w pewnych odstępach czasu dokonywających się faktów.

Przy takim impresyonizmie nie spotkać: ani rozpraw autorskich bądź to w kierunku sensualistycznym, późniejszym, bądź romantycznym, dawniejszym; ani też u bohaterów czułego kwilenia przy śpiewie słowików, blasku księżyca, lub zwierzeń poufnych, oświadczyn, westchnień, latania za gwiazdami itp.

Kochający się tam ludzie rozumieją się bez tego.

Niezawodnie, że taka technika, taka maniera odpowiada samemu założeniu powieści, w której miłość nie miała wystąpić jako jéj przedmiot, lecz jako jeden z czynników narodowych i społecznych. Zaprzeczyć się atoli nie da, że taż maniera jest zupełnie w guście i w duchu dzisiejszych społeczeństw, kształtujących się na wzór amerykański, dla których gorączkowość i elektryczną chyżość życia przerywa tylko świst lokomotywy i warczenie kół maszynowych; która żądna jest czynów, nie subtelnéj ciągłości w cieniowaniu uczuć słowem lub westchnieniem; dla których nareszcie bohaterowie młodego Goethego lub Chateaubrianda są chyba ostatnimi z Mohikanów.

W samym rodzaju jeszcze bardziéj dogodził Wajanský już nie tylko bezwiednemu prądowi, ale świadomym wymogom dzisiejszego społeczeństwa, a nawet najnowszéj belletrystyki. Bohater „Cieniów", Miłosław, zdaje się być jednym z tych nowoamerykańskich—niemohikanowskich typów nowego społeczeństwa nie tylko w miłości, ale w sprawach społecznych narodowych i życiu codziennem. Jak miłość dla Elli zdaje się traktować przelotnie i wypowiada ją oszczędnie, lakonicznie, pół żartem, pół seryo, mimo że ją czuć może tak głębo i gorąco, jak każdy inny, a działa tak w pragnieniu czynów, nie słów; jak w wylaniu serdecznych, gorących uczuć synowskich dla ojca zdobywa się dopiero przy śmiertelnem tegoż łożu; tak też w publicznem i prywatnem codziennem życiu nie rad różową mgłą zasłaniać trzeźwego poglądu na wady i niedostatki otoczenia. Jest sceptykiem i surowym krytykiem, ale jednocześnie pragnie czynów i zdrowego społeczeństwa, nie chorobliwych mrzonek. Nie darmo był naturalistą i lekarzem.

— „Piękny ten wasz żywot duchowy"!—zaśmiał się Milko. „Mój ojciec modli się za naród już pięćdziesiąt lat pod lipami przed krzyżem, pisze książki dla samego siebie; tam w mieście adwokat Machacz, „duchowy" adwokat, kuje wciąż nowe spółki i stowarzyszenia, które wiecznie tworzy, a wiecznie sam rozprzęga, w dzień szyje, w nocy pruje. Kasyer Bajan chodzi ulicą na palcach, bojąc się własnego tchu, ale za to w domu pomiędzy czterema ścianami, zaciska pięści, wyzywa pomstę na nieprzyjaciół ojczyzny, gotów zda się wszystko po drodze rozmiażdżyć,—a tu nasz, przy stosun-

kach naszych dość bogaty statkar, urodzony pan Eugen Duszan de Humenno siedzi nad rzeką, lubuje się flisakami, albo dworuje przy starych madiarońskich grzesznicach i ich potomstwie. A wielu jest takich i podobnych świętych w naszéj nie bardzo szerokiéj *ecclesia militans*? Wielu niedouczonych studentów, którzy podwaliny światów chcieli przenosić z miejsca na miejsce w idealistycznych porywach! Ilu zbłąkanych marzycieli, którym krom serca i poczciwéj woli, brak wszystkiego? Cóż zostało? Czysty płomień westalski patryotyzmu, którym jednak nie ogrzejecie w zimie pieca, ani nawet fajki nie zapalicie. A tymczasem, gdy my zajęci jesteśmy mistyczną wędrówką pod obłoki, zabierają nam inni grunt pod nogami naszemi: rozumny, praktyczny faryzeusz rozpiera łokcie wśród ludu naszego, bo nawet niemiec Bauer buduje zakłady przemysłowe, ciągnie zyski z siły naszych górskich potoków i pięści"...

Tak mówił Miłosław. A z jakiém rozgoryczeniem, z jakiemi wyrzutami wystąpił wobec ojca za to, że powstrzymał gniew ludu, skoro ten nie chciał się ograniczyć bierną rolą wobec niesprawiedliwości, a zdobył się na czyn energiczny, na obronę praw swoich. Sądząc z odważnego wystąpienia uczenicy a narzeczonéj Miłosława—Elli, mniemać się godzi, że on sam gdyby był obecny owéj scenie komisyi z ojcem jego, byłby stanął naczele ludu i krwawo zaprotestował przeciw bezprawiu. Autor zdaje się dawać do myślenia, że gdyby więcéj było takich ludzi w Słowacyi, organizmów, czynnych, energicznych, a praktycznych, rząd węgierski przyzwyczajony do bierności i ślamazarności słowackiéj, musiał by się liczyć z niemi tak, jak się liczy z Chorwatami.

Podobna, w tym samym nowym zakroju pozytywnym i trzeźwym, jeno mniéj rozumująca, a bardziéj praktyczna w czynach jest postać Wanowskiego w „Suchéj latorośli". Oddany pracy praktycznéj od świtu do nocy, jest gospodarzem postępowym, a zarazem przemysłowcem rolnym; w politykę się nie wdaje, a jak w treści już zaznaczyliśmy—siłę narodu opiera na dobrobycie, którego podstawy zdobyć uważa za obowiązek każdego patryoty. Czuje on to, ma nawet świadomość, ale w formuły się nie bawi, nie jest żadnym doktrynerem. To co się nazywało u nas przed paru laty pracą organiczną, znajduje w nim dość dobrego przedstawiciela i niezłe wcielenie. Spokój w charakterze i zadowolenie z kierunku, jaki obrał, nie przeszkadzają mu w danym razie z całą stanowczością i energią wystąpić w obronie swojéj i swego bytu na drodze rozumnéj, legalnéj, a i bezprawie, gwałt lub przemoc gotów odeprzéć siłą fizyczną.

Postać ta bardzo przypomina „Dziwaka“ Mańkowskiego i widać w niéj, tak samo jak w tamtéj, świéży powiew nowych, trzeźwych pojęć. Typ to zrozumianych z dawna potrzeb społeczeństwa, które wobec rachuby i trzeźwości zachodnio-europejskich społeczeństw, nie chciałoby pozostać w tyle, lecz godnie z niemi rywalizować. Rwie się taki typ do życia młodego, czerstwego, pełnego siły i nadziei, ale rwie ostrożnie, rozważnie, z kredką w ręku, a stanowczo.

Niech nikt jednak nie myśli, że dla takiego typu i dla takich idei potrzeba nam było importu z zagranicy, że my z własnego łona niezdolni byśmy byli zdobyć się na jędrność i jasność myśli, a stanowczość i trzeźwość w czynie, jedném słowem na warunki, jakich wymaga praca nowożytnych społeczeństw.

Jest ludowa piosnka słowacka:

Prídi ty, šuhajko, ráno k nám,
uvidiš, čo ja to robievam:
ja ráno vstávam, kravy napájam,
ovečky na pole vyháňam.
A ked' si tú prácu vykonám,
potom si veselo zaspievam,
. . . .

Moglibyśmy z innego społeczeństwa słowiańskiego przytoczyć pieśń ludową, głos ludu, gloryfikujący jeszcze dosadniéj i pełniéj pracę ludzką. Miłoby nam było, gdyby autor nowych typów słowackich w osobie Miłosława i Wanowskiego zaznaczył był to wyraźne pochodzenie ich z gruntu rodzimego. Mniejsza zresztą o to, skoro one w samym rysunku a więcéj jeszcze w barwach zdradzają pochodzenie narodowe i wybierając między Wanowskim a „Dziwakiem“ naszym, widzimy u pierwszego więcéj swojskości, gdy drugi nieco trąci importowaną cudzoziemszczyzną.

Za to typ Wanowskiego nie jest tak wyrazisty w rysunku, jak „Dziwak“, za mało sformułowany w nowym kierunku, niedokończony, tak samo jak typ Miłosława. Autor czyni zdolnym tego ostatniego do męskiéj rezolutności i czynu, ale kiedy wybija godzina tego czynu, posyła bohatera swego do miasteczka i sprowadza go dopiéro po dokonanym fakcie zwycięstwa bierności ojcowskiéj. Tak samo Wanowskiego czyni biernym widzem przy wyborach, w których ostatecznie musi upaść, skoro wobec zabiegów strony przeciwnéj liczy tylko jak stary Holan na słuszność swojéj sprawy i tryumf ideału.

To niewykończenie rysunku, tę sprzeczność między pierwotnemi założeniami a dalszemi konsekwencyami przypisać widocznie należy walce między przedmiotowością a subiektywnością autora,

między refleksyą i tendencyą jego, a bezwiedną twórczością i realną prawdą życia. Gdy tendencya i pragnienia dyktowały wzór i typ jeden, rzeczywistość, na której chciał oprzéć pragnienie i typy — usuwała ją i przedstawiała inne rysy, inne warunki. Czuł on sam i tę trudność i miał wyrobione w abstrakcyi pojęcie o potrzebie i wyrazistości rysunku tych nowych typów, skoro zmuszony skreślić moment chwilowego zerwania Miłosława z trzeźwością a nawrócenia do marzeń, rzekł: „Ktoby chciał nakreślić typy słowackie, ten by musiał być malarzem postaci poetyckich. Widocznie dla tego téż giniemy na arenie, na któréj rozstrzygają wyłącznie prawdy matematyczne."

Powiedzieliśmy już, że autor na pierwszym planie obrazu ogranicza się dodatniemi tylko charakterami słowackiemi, z wyjątkiem jednego czy dwóch obrazów, (jak np. scena w szynku z pijanym chłopem, którego kochająca uboga a chorowita żona ciągnęła do domu), z talentem ale przelotnie w konturach tylko naszkicowane. Wynikało to z samego założenia kompozycyi i potrzebne było dla jéj celów. Z drugiéj jednak strony Wajanský zanadto dobrze zna kraj swój i ludzi, zanadto wiele ma poczucia prawdy i sprawiedliwości, aby nie wiedziéć i nie pokazać ujemnych stron tego społeczeństwa, aby obok światła nie dać cieniów obrazowi. Ale wierny raz powziętéj myśli przewodniéj, radzi sobie jak prawowierny muzułmanin, który mając wzbronioną plastykę obrazową i wszelkie malowidło, mogące uplastyczniać cnoty i zbrodnie, niebo lub piekło, zastępuje je wersetami z koranu wypisywanemi na ścianach meczetu. Nie mogąc psuć raz powziętych koncepcyi plastycznych, przeciwnemi pomyślanym naprzód rysom i barwom, uzupełnia je obficie nasianemi po obu powieściach aforyzmami, zdaniami, sentencyami, słowem całym tym obfitym materyałem dydaktycznym subiektywizmu własnego, który zdobył wyborną obserwacyą ludzi i społeczeństwa, a który potrafił sformułować dosadnie, harmonijnie z obrazową stroną kompozycyi, a tak trafnie, tak wybitnie, że te jego wersety, o ile są pod względem formy całkami, o tyle pod względem treści przedstawiają znakomitą wartość nie tylko dla jego, ale i dla naszego społeczeństwa.

Widzieliśmy powyżéj parę takich wersetów. Pozwolę sobie zacytować jeszcze kilka:

„Logika u ludu! — mówił z sarkazmem Rudopolski. — Tu ręka, tu kromka chleba. Ręka bierze kromkę i podnosi do ust. To cała logika. Ale żeby lud myślał o języku, o narodowości! — śmiészna rzecz!"

. . . .

„Szewc na przedmieściu londyńskiém prawie tak mało jest „narodowością“, jak wasz Motola czy Matala.“

. . . .

„W powszedniém, codzienném życiu ofiara ma być wyjątkiem—mówił Rudopolski,—chyba wonną oazą na pustyni realnego żywota. Ta to pustynia jest podstawową cząstką ludzkiego istnienia — ta utylitarna, prozaiczna, praktyczna pustynia. U was każda książczyna jest ofiarą, podwójną ofiarą—czytających i piszącego. Lada kiedy jest potrzebą, a przeto nie przynosi, nie może przynieść owoców. Wszystko na świecie ma swój cel, przeznaczenie... Człowiek tworząc, musi się kierować tą samą zasadą: nic nie produkować bez celu, bez przeznaczenia. Mnogie z książek waszych nie mają żadnego celu, żadnego przeznaczenia,—są ofiarą pisarzy i ofiarą kupujących, tudzież czytelników.“

. . . .

„Rozumiem poezyą, która ma dla ludów wyzwalającą moc, która z mas wytwarza narody, z bydła ludzi. Taka poezya zajmuje i poważnie myślących ludzi, dyplomatów, filozofów, historyków, psychologów. Ona jest duszą narodu, jego świętym talizmanem..... Jeśli lud wasz ma w sobie siłę organiczną wzrostu i rozwoju, jeśli ma duszę, odczują to talenta, wydobędą na wierzch, a wówczas—wierzcie mi—tysiąc szkół skasowanych lub muzeów zagrabionych (1) nie zaszkodzi wam.“

. . . .

„W kraju, gdzie miliony czytać nie umieją, dziwném się wydać musi kasowanie szkół. Sądzę jednak, że w ten sposób nie wyrządzono wam żadnéj szkody. Po co wam właściwie gimnazya?.... Zakładajcie a b c — szkoły, tych wam nie odbiorą. Ale utraty gimnazyum lud nie czuje. Jego to nic nie obchodzi, jak wogóle nie obchodzą wszelkie wasze sprawy z rządem i jego poplecznikami.“

. . . .

„Zdolności, których nie rozwijamy, nie używamy, stają się ciężkiém brzemieniem życia, odwodzą nas od powołania, robią z nas wiecznych dyletantów. Mniéj talentów a bylibyśmy szczęśliwymi, użytecznymi ludźmi.“

. . . .

---

(1) Aluzya to do zamkniętych przez rząd węgierski trzech gimnazyów, ufundowanych i utrzymywanych przez Słowaków ze składek prywatnych, tudzież do konfiskaty muzeum i biblioteki publicznéj w Turcz. Sw. Martinie.

„Pożal się Boże: u nas niewiasta często więcéj ma wartości, niż mężczyzna.“

. . . .

„Powróćmy do pierwotnego stanu słowiańskiego, a rozstrzygniemy kwestyą kobiecą w pojęciu wzniosłém i szerokiém.“

. . . .

Określić stanowisko Wajanskego, jako powieściopisarza w literaturze europejskiéj, albo ludów słowiańskich, jest łatwiéj niż w saméj literaturze słowackiéj, a to dla tego, że uczynił on zanadto gwałtowny skok naprzód od swoich poprzedników, a właściwie, że ich prawie nie miał przed sobą. Ojciec jego, stary Hurban, w szeregu innych poważniejszych prac, parę powieści, które wydał, uważał tylko jako próby swego talentu pisarskiego, tak samo jak W. Pauliny-Toth; a najznakomitszy dotąd i prawie jedyny pisarz na tém polu, Kalinczak, był powieściopisarzem historycznym. Pod względem techniki musi stać znacznie wyżéj od Kalinczaka, tak znów jak szerokością terenu, który ujął w ramy swego obrazu i pogłębieniu treści jest zupełniejszym i doskonalszym od epika Sladkowicza. Tamci jednak dwaj podtrzymywali nie tylko ciągłość literacką z poprzednikami, ale nawet tradycyjną nić z przeszłością i teraźniejszością samego społeczeństwa. Kalinczak mimo maniery konwencyonalnéj, właściwéj jego szkole, jest bardziéj przedmiotowym, a nawet bardziéj narodowym. Powieści jego mimo całéj naiwności kompozycyjnéj—a może właśnie dla tego — czyta się niekiedy tak, jakby się czytało ludowe klechdy i legendy słowackie. U Wajanskego mimo całego jego patryotyzmu i wspaniałych refleksów miejscowego kolorytu, nie widać często tego tam powietrza rodzimego, który u nas posiadał w tak wysokim stopniu Wincenty Pol. Na obrazy słowackiego życia daje on patrzyć przez szkła z materyału miejscowego, ale wykonane za granicą podług modły kosmopolitycznéj. Dla tego téż może niekiedy mniéj zrozumiały dla mniéj wykształconych lub mniéj obeznanych z fabrykatami zagranicznemi Słowaków, będzie najbardziéj ze wszystkich dotychczasowych pisarzy słowackich pojęty za granicą. Nie mała to zasługa wobec własnego narodu, a tém większa, skoro i bezpośrednio dla niego na jego własnym gościńcu stawiało się punkty wytyczne w wędrówce ku przyszłości.

Jan Grzegorzewski.



PRZEGLĄD LITERATURY FILOZOFICZNÉJ.

Herbert Spencer. System filozofii syntetycznéj. Pierwsze Zasady. Tłómaczył z 5-o wydania oryginału angielskiego J. K. Potocki. Warszawa, 1888, str. 522 dużéj 8-ki.

„Pierwsze Zasady“ Spencera zaczęły wychodzić po angielsku, częściami, jeszcze w r. 1860; od tego czasu upłynęło ćwierć wieku z górą. Nie jest-to zatém dzieło nowe, ale mimo tego, wielu czytelnikom naszym nieznane, chociaż sam autor nie jest im obcym, albowiem mamy kilka prac jego tłómaczonych po polsku. Teraz przybyły do téj kolekcyi „Pierwsze Zasady“, dzieło fundamentalne, w którém mieszczą się zarodkiem przewodnie idee autora, rozwinięte następnie w długim szeregu prac większych i mniejszych rozprawach zwanych *Essays*.

Zdając sprawę z dzieł tłómaczonych, dość może byłoby poprzestać na porównaniu tłómaczenia z oryginałem i wykazaniu, o ile robota została wykonana dobrze; przypuszczając jednak, że wspomniane dzieło Spencera jest mniéj czytającéj powszechności znane, podamy króciutką treść onego z kilku uwagami natury krytycznéj, a następnie powiemy nieco o tłómaczeniu.

Sam tytuł książki „Pierwsze Zasady“ wydaje się na pierwsze wejrzenie mało zrozumiały; pierwsze zasady czego? gramatyki, czy fizyki, prawa, czy ekonomiki? Nie; są to pierwsze zasady wszystkiego, całéj wiedzy ludzkiéj, a więc jako takie, najogólniejsze, przejawiające się wszędzie, we wszystkich działach wiadomości, we wszystkich przedmiotach, jakie umysł nasz rozważać może.

Badanie takich naczelnych i najogólniejszych zasad nazywano od czasów Arystotelesa, metafizyką, chociaż sam on téj nazwy nie nadał żadnéj z prac swoich. Starożytni nazywali tę część filozofii „filozofią pierwszą“, niby fundamentem dalszych. Co stanowiło

przedmiot dochodzenia staréj metafizyki? Następujące pytania: co jest byt, stawanie się, ruch, przestrzeń, czas, przyczyna, cel, siła, materya, duch, a wszystko uważane *in abstracto.* U Spencera spotykamy te same przedmioty, czyli raczéj pojęcia roztrząsane we wspomnianém dziele, a oprócz nich dwa nowe, będące zdobyczą wiedzy nowoczesnéj, zachowanie i korrelacyą sił, oraz ewolucyą czyli rozwój. Jeżeli mimo podobieństwa treści z dawną metafizyką autor nie nazwał swojéj książki metafizyką, stało się to prawdopodobnie dlatego, iż zarówno mniemana ta nauka jak i jéj nazwa zostały zdyskredytowane.

Ale metafizyka operująca najabstrakcyjniejszemi pojęciami, stanowiącemi subiektywny pogląd autorów na świat, musi, dzięki swojéj naturze, przybrać barwę również subiektywną, to jest musi być idealistyczną lub materyalistyczną, monistyczną lub dualistyczną. „Pierwsze Zasady“ Spencer'a zawierają metafizykę empiryzmu, wyciągnione są bowiem z tego, czego umysłowi dostarcza empirya, doświadczenie pojmowane w najobszerniejszém znaczeniu, jako przeciwieństwo myślenia a p r i o r y c z n e g o.

Autor rozkłada ogół przedmiotów badania ludzkiego na dwie części: w pierwszéj rozważa to, co jest N i e p o z n a w a l n e, w drugiéj P o z n a w a l n e. Gdy z metafizyką mamy do czynienia, trzeba zaraz z początku miéć się na baczności, co do znaczenia wyrazów, zwłaszcza zbyt ogólnych, nieokreślonych, bo w nich siedzą wniki. Takim wyrazem jest N i e p o z n a w a l n e, to jest coś niedającego się poznać. Otóż, jeżeli to coś nie daje się poznać, po co o niém rozprawiać? w dziejach filozofii takie iksy nie są unikatami. Jeden metafizyk wprowadzi do pajęczych swoich rozumowań Wszystkość, drugi Nieskończoność, trzeci Substancyą, czwarty Absolut, piąty Nieświadome, szósty Niepoznawalne i z tego chaosu mocą imaginacyi wysnuje cały świat konkretny. Trudno się tedy dziwić, gdy ludzie czuwający zarzucają metafizykom półsenność i przestrzegają nadrastające pokolenia przed temi majakami. Takim majakiem jest Niepoznawalne; nic o niém powiedziéć nie możemy; nie wiemy, czy jest czarne, czy białe, duże, czy małe, a nawet czy istnieje gdziekolwiek indziéj, oprócz głowy metafizyka. Gdyby nam dowodził, że są rzeczy znane i nieznane, że w miarę rozwoju nauk nieznane coraz lepiéj poznajemy, nicbyśmy mu nie mieli do zarzucenia; ale Niepoznawalne wymyka się z pod wszelkiéj dyskusyi; jest ono tyleż warte, co uosobione Nic.

Do czego jednak Spencer'owi potrzebne było Niepoznawalne? Odpowiedź na to pytanie daje część pierwsza dzieła, gdzie autor mówi o wiekowym sporze między religią a umiejętnością. Chcąc

ten antagonizm przezwyciężyć, autor dowodzi, że przedmiotem religii jest Niepoznawalne, że tak religia jak umiejętność stykają się z sobą na gruncie Niepoznawalnego, albowiem tak jedna jak i druga nie mogąc odpowiedziéć na zagadki bytu, muszą wyznać, że dnem wszelkich zjawisk świata jest coś, czego zrozumiéć nie możemy. Jest-to prawda, ale do przeświadczenia się o niéj nie potrzeba żadnéj filozofii; prostacy nawet nie pytają się o nią, a rzetelni uczeni zostawiają takie pytania metafizykom i poetom, poprzestając na badaniu tego, co jest Poznawalne. Sprowadzając tym sposobem religią i umiejętność na wspólny grunt nie dającéj się pojąć tajemnicy, w którym obie mają swoje korzenie, Spencer sądzi, że je pogodził. Zgoda, co prawda, istnieje tylko w głowie autora, albowiem spór między temi dwiema sferami myślenia dotychczas trwa i końca jego przewidziéć trudno. Wskazując religii za przedmiot rozmyślania Niepoznawalne, autor myli się gdy utrzymuje, że religie nie mogą nic powiedziéć o tym ostatecznym gruncie wszech rzeczy; przeciwnie, określają go one i wskazują rozmaite jego własności, mówią o tamtym świecie, przeciągają byt jednostki po za grób. To nie głuche istnienie, lecz życie przemienione i ubłogosławione, o którém wiele rozprawiają. Wreszcie, pojmowanie religii przez Spencer'a w „Pierwszych Zasadach“ różni się od jéj pojmowania w innych jego dziełach, a głównie w Socyologii, gdzie do wytłómaczenia wyobrażeń religijnych przybiera się cześć dla umarłych, ukazywanie się cienia, stany chorobowe psychiczne, senne widziadła i t. p. Na taką genezę religii teologowie chrześciańscy zgodzić się nie mogli i w Angli spotykały autora w swoim czasie zarzuty, którym trudno odmówić słuszności.

Nie ręczymy za to, czyśmy autora dobrze zrozumieli, ale i jego spółrodacy byli w takiém samém położeniu. Są w „Pierwszych Zasadach“ ustępy jasne, zwłaszcza w części drugiéj, gdzie autor traktuje Poznawalne, gdzie mówi o niezniszczalności siły, gdzie wykłada teoryą ewolucyi. Ogromny zasób wiedzy pozytywnéj ze wszystkich nauk doświadczalnych pozwala mu przykładami objaśnić niezmiernie abstrakcyjne uogólnienia i to właśnie ratuje czytelnika, gdy już gotów był porzucić te piaski metafizyczne. Mówiono o Spencerze, iż jest to ostatni wielki metafizyk; rzeczywiście dzieła jego świadczą o potężnéj sile umysłu zdolnego do tak daleko sięgających uogólnień. Słabą stroną téj syntezy, ogarniającéj wszechświat, jest wprowadzenie do rozumowania Absolutu, Tajemnicy, Niepoznawalnego; mącą one ciągle jasne zresztą myślenie Spencera i prowadzą do sprzeczności nieuniknionych. Wykazywanie tych sprzeczności zajęłoby nie mało miejsca, gdybyśmy chcieli

każdy paragraf poddać analizie. Autorowi nicby tego nie przyszło, a nasz czytelnik znużyłby się dyalektyką; wolimy więc poprzestać na tak niezupełnéj krytyce niż przeciągać dyskusyą.

Tłómaczenie polskie porównywaliśmy z oryginałem angielskim i doszliśmy do przekonania, że nie można go nazwać dobrém, ani co do ścisłości w oddaniu myśli, ani do poprawności języka. Trzebaby ten zarzut usprawiedliwić, to jest stronicę po stronicy przerabiać i wykazywać wady, których jest mnóstwo. Byłaby to nieciekawa kolekcya i nikomu nie przydatna. Miejscami tłómaczenie polskie więcéj się zbliża do tłómaczenia francuskiego, niż do oryginału; korekta również dużo pozostawia do życzenia. Na usprawiedliwienie tłómacza można to jedynie powiedzieć, że autor wprowadził sporo neologizmów, których naszym językiem oddać niepodobna, że przedmiot jest wysoce zawiły sam z siebie i wymagałby długiéj pracy od tłómacza, by czytelnik mógł strawić takie suche i nieraz głuche abstrakcye ciągnące się przez pół tysiąca stronic. Przydałby się także wykaz błędów przez korektora popełnionych, gdy np. z intuicyi zrobił instytucyą, albo z pojednania poznawanie.

W. Wundt. Teorya Poznania. Przekład Z. Herynga. Warszawa i Petersburg. 1889. str. II + 414. (Jest to V tom wydawnictwa Imienia T. T. Jeża).

Wybrano do tłómaczenia dzieło gruntowne i poważne; autor jego znany jest jako fizyolog i filozof, dwie własności rzadko dotychczas w parze chodzące, ale jak się przekonano coraz niezbędniejsze dla tych, co o człowieku, zwłaszcza o psychicznéj jego stronie, chcą coś rozsądnego pisać.

Chwaląc wybór dzieła wziętego do przekładu na nasz język, nie można pochwalić układu zaprowadzonego w tłómaczeniu. Tłómacz bowiem polegając na zdaniu autora, że „czytelnik, któryby chciał korzystać z zasadniczych pojęć i praw poznania jako fundamentu logiki, może odrazu przejść od pierwszego do piątego i szóstego działu (książki) a dopiero późniéj zwrócić się do wykładu właściwéj logiki mieszczącego się w drugim do czwartego działach“ (*Vorwort*)) tak téż postąpił. Że czytelnik może tak postąpić, i że mu autor zostawia do woli, co chce wprzód czytać, z tego nie wynika, żeby tłómacz mógł dowolnie zmieniać układ oryginału, nawet wtenczas, gdy treść działów jest sobie pokrewna.

Daléj, zmieniono i tytuł, albowiem oryginał niemiecki, jak to się często zdarza ma dwa tytuły; ogólny: *Logik. Eine Untersuchung der Prinzipien der Erkenntniss und der Methoden wissenschaftlicher*

Forschung, i szczegółowy: *Erkenntnisslehre*, co stanowi tom I, oraz *Methodenlehre* zawartą w tomie II. Wspominamy o tych drobiazgach dlatego, że postępowanie takie ze strony tłómacza, pomimo usprawiedliwiania się w przedmowie, uważamy za niewłaściwe. Kto niema oryginału pod ręką, nie może mieć rzetelnego wyobrażenia o dziele; oryginał zaś jest dość drogi (za 2 tomy 28 marek tj. po naszym kursie 14 rubli). Jest nadto ta L o g i k a Wundt'a dziełem na objętość potężném, gdyż liczy razem w obu tomach stronic 1205, wielkiéj 8-i a bitego druku.

Tłómaczenie polskie obejmuje mniéj więcéj ¼ oryginału; jeżeli się znajdą nabywcy, obiecuje tłómacz wydać dalszą część jego. Oby się znaleźli: ale, czy się znajdą? Rzecz bowiem nie zawiera ani odrobiny romansu, wykład jéj suchy, umiejętny, spokojny nie bardzo zachęcają do czytania. Nakład pracy i kosztów wydawnictwa dzieł podobnych są u nas dotychczas dyktowane zamiłowaniem przedmiotu i poświęceniem zebranego ofiarą grosza w imie dobra powszechnego, przez młodsze pokolenie. Okoliczność ta zasługuje na podniesienie i pobłażanie nawet nie bardzo udolnym naukowym przedsięwzięciom naszym.

O czém tedy mówi zajmująca nas T e o r y a P o z n a n i a? We wstępie mieszczą się wiadomości ogólne o zadaniu logiki, jéj kierunkach, stosunku do filozofii wogóle. Dział I, zatytułowany o Powstawaniu myślenia (właściwiéj byłoby nazwać o Rozwoju, *die Entwicklung*), traktuje o Asocyacyi i połączeniu wyobrażeń, o Apercepcyi i rozwoju norm logicznych. Dział II, a w oryginale V, o Zasadniczych pojęciach poznania; tu się rozważa pojęcia wiedzy, wiary, prawdopodobieństwa, pewności, doświadczenia (*Erfahrung*), czasu, przestrzeni, ruchu, substancyi (a więc znów metafizyka). Dział III, w a oryginale VI, traktuje o prawach poznania, a więc o logiczno-matematycznych pewnikach, o przyczynowości i celowości (teleologia).

Wyliczenie treści, toż-to jeszcze nie sprawozdanie, a tém mniéj recenzya, ale sądzimy, że na szczegółowy rozbiór byłoby miejsce tylko w specyalném piśmie; dlatego ograniczamy się na tém ogólnikowém i wszystkim znaném zdaniu, iż Wundt jako filozof może być uważany za kontynuatora Kanta i Herbarta. Nie jestto przecież bezkrytyczny naśladowca, lecz samodzielnie myślący uczony wybornego kalibru. Znajomość nauk przyrodniczych, fizyko-matematycznych, a zwłaszcza fizyologii, nadaje psychologii i logice Wundta charakter umiejętny, niespotykany w takiéj pełni u żadnego ze spółczesnych filozofów. Ztąd téż i czytanie filozoficznych dzieł jego stanowi ciężką pracę dla umysłu: o spopularyzowaniu ich nie może być mowy.

Tłómaczenie polskie, które nas tu zajmuje, wykonano dość starannie; terminologii możnaby niejedno zarzucić i tak np. *Allgemeingültigkeit* oddano za pomocą wszechdoniosłość logicznych praw myślenia, *Anschauungsformen*, formy ujmowania. Obcy duchowi języka polskiego sposób pisania bardzo często spotykamy w tłómaczeniu p. Herynga; np. słowa: przyczyna i skutek wskazują już na to, i wiele innych.

Korekta książki jest wielce niedbała; przynajmniéj że zebrano grubsze omyłki, których jest cała karta.

Platon. Fileb. Dyalog o rozkoszy. Przełożył z greckiego Bronisław Kąsinowski. Pod redakcyą H. Struvego. Warszawa 1888. str. XXXIX + 103. Wydanie nakładem kasy J. Mianowskiego.

Przypominam sobie, że przed laty 3o-u pierwszy raz czytałem Dyalogi Platona. Wrażenie otrzymane wówczas i dzisiaj jeszcze się nie zatarło, taki przyjemny a często głęboki jest ten stary gawędziarz grecki. Przypuszczam, że ten lub ów z czytelników, którego zajmowały podobne studya, doznał takiegoż wrażenia. Takich dyalogów, trzymanych w sferach abstrakcyi, a mimo tego zajmujących, nastrojonych tak idealnie i poetycznie, nikt chyba dotychczas nie napisał. Bo téż Platon był więcéj poetą, niż filozofem, a Dyalogi jego lubo prozą pisane pełne są fantazyi spokojnéj i mistycznego polotu. Kto pragnie umysłu nie znużyć, a jednak czegoś się z czytania nauczyć, temu można zalecić pisma jego; mamy je prawie wszystkie w tłómaczeniu, chociaż trzeba przyznać, że tłómaczenie Bronikowskiego zdolne jest odstraszyć najwytrwalszego zwolennika filozofii. Ale Fileb czyta się dość gładko; i o dyalogu tym i o autorze tłómacz z redaktorem podali wiązkę szczegółów w przedmowie, Życiu Platona i wstępie. O tych-to wstępnych artykułach chcemy najprzód pomówić.

Przedmowę króciutką napisał redaktor „Bibl. filozoficznéj“ p. Struve. Uderzyły nas w niéj niektóre ustępy. I tak, zaznaczając, że charakterystycznym rysem filozofii Platona jest dążność do sprowadzenia wszelkich objawów do ostatecznych zasad bytowych, metafizycznych, chwali go p. Struve za to, że i „etyki nie zna bez metafizyki“. Rzeczywiście, Platon jest metafizykiem w całém znaczeniu wyrazu i we wszystkich Dyalogach swoich; ale żeby nie mogło być etyki bez metafizyki, i żeby „teorye deterministyczne były etyką wyprowadzoną z ostatecznych praw bytu, tj. z zasad metafizycznych“ (V) tego chyba na seryo brać nie można, albowiem, o ile wiadomo, determiniści ostatecznych praw bytu nie znają, a nawet wątpię, czy je zna ktokolwiek na świecie. Taki byt głuchy jest najdaléj

posuniętą abstrakcyą, ani go umysłem ogarnąć, ani tém samém praw jego nikt nie zdoła wykazać. Jakże więc na nich opierać etykę, a do tego deterministyczną? Albo, może przez determinizm autor rozumie co innego, niż powszechnie rozumieją i dlatego sprzeczać się z nim nie będziemy; obowiązek ten ciąży na deterministach.

Następuje dalej *Życiorys* Platona, napisany przez p. Struvego; objęte nim wiadomości wystarczają dla ucznia; nie szukamy w nich nowości i nie znajdujemy ich, bo to rzeczy stare i w każdym podręczniku Historyi filozofii spotykane. Mamy zaś do zarzucenia jedynie usterki językowe, jak np. „donoszą, że młodzieniec“ i t. d. Jest to widocznie z gazeciarskiego stylu niemieckiego wzięte wyrażenie: *man berichtet*. Euklidesa filozofa nie należy pomięszać z Euklidesem matematykiem; doprowadzić do urzeczywistnienia jego (zam. swojego) ideału; szkoła eleatska (zam. eleacka) i takaż metafizyka; i znów na końcu pisze autor: umarł (Platon) jak donoszą nagle. Na pięciu małych kartkach *Życiorysu* dość i tego, a znalazłoby się więcéj.

Teraz dopiéro mamy Wstęp Tłómacza do *Fileba*, gdzie się rozprawia o dziełach Platona, o sporach między historykami co do autentyczności i porządku Dyalogów. Rzecz to potrzebna dla tych, co o Platonie pierwszy raz czytają; źródłem wiadomości są tu Dzieje filozofii greckiéj przez Zellera i innych pisane. Oprócz tego, tłómacz objaśnia potroszę samę filozofią Platona, jego metodę dyalektyczną i ideologią. Idee Platona są, zdaniem tłómacza, „nietylko pojęciowemi substancyami, które nie powstają, nie znikają, a istnieją odwiecznie bez wszelkich zmian, lecz są zarazem przyczynami swego własnego istnienia, istotami uduchowionemi, żyjącemi“ (XXXVI). Kto to może pojąć, niech pojmuje. Zdawałoby się, że idee są pojęciami ogólnemi i mają byt, o ile są pojęciami rzeczy szczegółowych, bez których są to *entia rationis*, *Gedankendinge*. Inaczéj je wszakże pojmował Platon i jego naśladowcy aż do naszych czasów: oni idee uosabiają i przenoszą je wyobraźnią w za świat, jako prototypy wszech rzeczy konkretnych.

Sporu o znaczenie idei Platońskich daléj nie prowadzimy, gdyż go uważamy dawno za rozstrzygniony i pytamy się, jaka jest treść *Fileba*, czego się tam dowodzi? Oto rozważa się, albo jak tłómacz mówi, rozpatruje *(rozsmatrywajetsia)*, kwestyą prawdziwego szczęścia, a zatém najwyższego dobra, które według przeciwników Platona polega na rozkoszy, a według niego, na mądrości, poznaniu prawdy i t. p. Spór to stary jak świat i również zamknięty dawno dla jednych, dla drugich otwarty. Co stanowi najwyższe

szczęście, *summum bonum*? Bartek widzi je zimą w ciepłym kożuchu i oberku z Jagną, Rotszyldowie w dojściu do miliardów, uczony w odkryciu prawdy i t. d. Metafizycy zaś szukają od wieków jedynego i najwyższego dobra, szczęścia; dotychczas, jak wiadomo, nie znaleźli tego eldorado.

Tłómaczenie *Fileba* jest, jak już wyżéj zaznaczono, dość gładkie, opatrzone tu i owdzie obiaśnieniami w dopiskach. Dla czego je nazywam tylko d o ś ć gładkiem? Dlatego, że sporo liczy chropowatości. Tłómacz pisze np.: nie zechciałbyś może, zamiast możebyś chciał; zdążać p o drodze, zamiast drogą, i wiele a wiele innych popełnia grzechów. Co znaczy n i e d o b o r y rozkoszy? w kasie mogą się zdarzać; albo: p r z e t w o r y bytu; r d z e n n a podstawa; nie należy pomięszać i t. d.

Mimo to wszystko, cośmy powiedzieli, niechaj czytelnik nie sądzi, że robota nic warta; przeciwnie, zapoznać się z *Filebem* i z jego autorem należy, bo pytania przez niego roztrząsane i dzisiaj dzielą uczonych i nieuczonych, bo etyka jest żywotnym czynnikiem i w filozofii i w naszém codziennném pasowaniu się z losem.

K.





KAMIEŃ

W SYMBOLICE I PODANIACH.

Od najdawniejszych czasów starał się człowiek ciekawym umysłem swoim dociec przyczyny zjawisk, które go uderzały w otaczającéj przyrodzie. A gdy pierwotnie nie miał jeszcze pojęcia o prawach rządzących światem, przeto własnym domysłem i wyobraźnią usprawiedliwiał niezrozumiałe dla siebie ich działanie. Tym sposobem powstały różne fantastyczne wierzenia, pod wpływem których widział w roślinach i zwierzętach zaklętych ludzi, w siłach przyrody ukryte bóstwa, biorące udział we wszystkich sprawach ludzkich, a nawet i tworom nieorganicznym przypisywał tajemnicze, zagadkowe znaczenie.

Więc téż inaczéj zgoła wyglądał świat cały w oczach naszych przedhistorycznych przodków. Było to jedno królestwo antropomorfozy, gdzie duch człowieka błąkał się niby w śnie magnetycznym i snuł marzenia gorączkowe, a w majaczeniu jego, jak powiada Görres, brzmiało echo owych żywiołów potężnych, których wpływ na każdym kroku przeczuwał w przyrodzie.

A chociaż ostatecznie doszedł za pomocą nauki do świadomości siebie i otaczającego świata, nie mniéj jednak nie zatarły się w jego umyśle—ściśle zresztą połączone z religijnymi obrządkami—pierwotne stare wierzenia, które w ciągu wieków niezliczonych przeszły w sok i krew i szpik kości jego. Utkwiły owszem w pamięci ludów i przetrwały tam aż do naszych czasów, utworzywszy tę wielką kopalnię, która została objęta dzisiaj ogólną nazwą s y m b o l i k i. Mieszczą się w niéj najstarsze zabytki fantazyi naszych praojców i żywo się dotąd odzywają nietylko w podaniach i prze-

sądach, które są ich wyrazem najwymowniejszym, ale nadto jeszcze i w życiu codziennem, w przysłowiach, w zwrotach mowy naszéj potocznéj, w bajkach i w piosnkach ludowych. I nie dość na tém— boć nawet w literaturze naszéj każde niemal porównanie poetyczne, będące w związku z przyrodą, jest po prostu kropelką jakąś, tryskającą bezwiednie z tego starego, a niewysychającego źródła.

A podczas gdy cały świat zwierzęcy i cały świat roślinny występuje tu w licznych zastosowaniach, w świecie nieorganicznym uderza przedewszystkiém kamień tém szczególném, wyjątkowém znaczeniem, jakie mu przypisywano od najdawniejszych czasów i które go niezaprzeczenie stawia w pierwszym szeregu starych naszych symbolów. Znaczenie to jest dwojakie i najprzód polega na stosunku do bogów, z którego wynikła cześć religijna, jaką mu oddawano powszechnie w starożytności. Powtóre na stosunku do ludzi, którzy w kamieniu symbolizowali okrucieństwo serca nieczułego, nie dającego się wzruszyć cudzą niedolą, oraz zespalali z nim objaw najstraszniejszy, najwyższy owego bólu bez łez i krzyku, gdzie człowiek z nadmiaru żalu popada w zdrętwiałość i martwotę, czyli po prostu kamienieje.

O początku kamieni rozliczne były mniemania między ludami. Sławianie wierzyli, że po stworzeniu świata rosły one tak, jak trawa, co nawet i dzisiaj lud opowiada w Królestwie i w Galicyi, dodając przytém, że rość przestały od czasu, jak je zaklął Pan Jezus. Pewnego razu bowiem idąc drogą, potknął się na kamieniu, a ten się ofuknął na niego zuchwale, mówiąc: „czyś ślepy, że mię trącasz nogą?“ Więc téż P. Jezus, skarciwszy go za zuchwalstwo, rozkazał, aby już odtąd nie rósł z nich żaden.

Mniemali zaś Grecy i Rzymianie starożytni, jako téż wschodnie ludy, azyatyckie, że kamienie miały boski początek i że spadały z nieba. Do tego mniemania przyczyniło się zapewne spadanie meteorów, a okoliczność ta, którą odniesiono do wszystkich kamieni w ogólności, stała się najpierwszym powodem czci religijnéj, jaką im składano w całym świecie pogańskim. Czczono je w Fenicyi i Palestynie, w Arabii i Indyach, a najstarsze bożki, znane u Rzymian i u Hellenów, były to stożkowate kamienie, o których opowiadano, że spadły z nieba, dla tego zapewne, że początek ich gubił się w pomroce wieków.

Jako przedmiot czci religijnéj, miały one nawet na wschodzie wyłączną nazwę swoję z hebrajskiego *Bethel*, z czego powstało u nas używane dziś wyrażenie b e t y l i i. Wiemy przecież, że kiedy Jakub zobaczył we śnie drabinę niebieską, to nazajutrz namaścił kamień, przy którym spoczywał i miejsce to nazwał *Bethel*, to jest

mieszkanie Boga. W czasach pierwotnych bowiem wyobrażano sobie, że w niektórych kamieniach mieszka bóstwo jakieś lub też niewidomie przebywa w miejscu takiém, gdzie świętemu kamieniowi cześć oddają, namaszczając go olejkami wonnemi. Te betylie więc musiały to być najstarsze fetysze, symbolizujące niewidzialne bóstwa. Niemiecki etnograf Friedreich powołuje się na bardzo ważne zdanie Buttmana, który powiada, iż przyszedł do wniosku, że kamień, jako podstawa, jako istota mieszkania, domu, a zarazem jako symbol trwałości jego, był prastarym fetyszem, który z czasem przeszedł w bóstwo domowe, mające swą siedzibę w domowém ognisku i że ztąd powstała cześć rozpowszechniona w pogaństwie dla tegoż ogniska.

U Greków świętość kamieni wyrażała się w ten sposób jeszcze, że, jak pisze Lauer, widzieli oni w nich pośredników tajemnych pomiędzy ludźmi a gwiazdami i dowodzili, że kamień był tém samém na ziemi, czém gwiazda na niebie. I jako przedmiot czci religijnéj, zachowali go i wtedy jeszcze, gdy już poczęli stawiać posągi bogom. Tak np. wspomina Pauzaniasz, że u Achajczyków, tuż przy posągu Hermesa, stało trzydzieści czworobocznych kamieni, z których każdy nosił imię jakiegoś bożka. Zresztą zatrzymał on swoje religijne znaczenie i dla tego, że naczynia używane do obrządków były kamienne i że aż do końca panowania bożków pozostał miejscem ofiary, czyli ołtarzem.

Nie można się dziwić, że u Indyan istnieją dotąd święte kamienie, używane ku obronie przeciw złym duchom, przeciw marom nocnym i wężom, które tam uważają za bóstwa złośliwe, a wrogie człowiekowi. Kładą je u wejścia do małych domków, czyli szałasów umyślnie na ten cel zbudowanych, w mniemaniu, że wszystkie duchy szkodliwe, mocą ich ściągnięte do tych domków, zatrzymają się tam i nie będą mogły wtargnąć do mieszkań ludzkich.

Dziwniejsza zaś to, że u Czechów, gdy się kto potknie na kamieniu, musi przekroczyć go trzy razy, przeżegnać się i zmówić pacierz. Jest to ślad oczywisty, że i tu kiedyś istniała cześć jego, która u Włochów występuje jeszcze wyraźniéj w pewnym zwyczaju, ściśle dotąd przestrzeganym. Bo skoro tylko dziecko przyjdzie na świat w rodzinie, to wszyscy domowi biorą kamienie i rzucają je po za siebie, powtarzając: do paszczy strigojom! do paszczy strigojom! Strigoje te zaś, są to złośliwe duchy, które zaklęte w ten sposób, nie mogą już potém szkodzić niemowlęciu. Wnosząc z nazwy, kto wié, czyli nie mają one czegoś pokrewnego z naszemi strzygoniami, zwłaszcza wobec téj okoliczności, że w niektórych wsiach w Krakowskiém, skoro tylko chodzi po nocy

i broi taki strzygoń, to go odkopują, wpychają mu kamyk do gęby pod język i obróciwszy w trumnie plecami do góry, zakopują znowu. Przypomniawszy zaś jeszcze ów mit grecki, gdzie Rhea, zamiast nowonarodzonego Zeusa, daje Chronosowi na pożarcie kamień obwinięty w kozią skórę, mimowoli rodzi się myśl, że między tém wszystkiém muszą być jakieś wspólne ogniwa, gubiące się w mgle wieków odległych i że podobnie jak Chronos, tak téż i strigoje i strzygonie musiały ongiś brać ofiarę z kamieni.

Wśród tych zaś, które otaczano czcią religijną, były niektóre tak znakomite, że pamięć ich przeszła aż do naszych czasów. Starzy rabini opisują jeden z tych świętych kamieni, kształtu czworogrannego, twierdząc, że od niego miał P. Bóg rozpocząć stworzenie świata i ztąd téż u Hebrajczyków uważano kwadrat jako zasadniczą formę wszechrzeczy. Nie mniéj sławny był także ogromny bezkształtny kamień z Małéj Azyi, w Pessinum przechowywany, otoczony czcią wielką przez Persów i Syryjczyków, między którymi krążyło podanie, że miał spaść z nieba, a to tak dawno, że stało się to jeszcze na 270 lat przed zburzeniem Troi! Kamień ten dostał się potém w ręce Rzymian, którzy uczynili po niego wyprawę i z wielką uroczystością przywieźli do Rzymu, skoro wyrocznia oznajmiła, iż posiadanie jego zapewni im zwycięstwo nad Hannibalem.

W mitologii północnéj przedmiotem czci był belemit, jako strzała Thora, boga piorunów i błyskawic, który u Germanów i Skandynawów grał zupełnie taką rolę jak Perkun na Litwie. Wśród belemitów wyróżniano jako najsławniejszy ten, który został znaleziony koło Sinneryd, w okręgu Smalandzkim, i który, jak mówi podanie, miał być powodem zatargu pomiędzy Thorem, a olbrzymem. Pewnego razu bowiem, Thor idąc ze swoim służącym, napotkał olbrzyma, który się dopytywał o drogę do Walhalli, gdyż chciał iść bić się z Thorem, za to, że mu dom spalił błyskawicą. Thor, nie zdradzając swego *incognito*, zrobił olbrzymowi uwagę, że byłaby to zbyt awanturnicza wyprawa, porywać się na mocniejszego od siebie i krzywdy swojéj dochodzić. A wskazawszy mu kamyk leżący na drodze, dodał, że zapewne nie potrafi podnieść i tego kamyka. Był to bowiem jeden z belemitów, o których krążyło powszechne mniemanie, że podczas gdy Thor bawił się nimi jak piłkami, ludzie nie mogli ich nawet ruszyć z miejsca dla tego, że na pozór małe, były za to niezmiernie ciężkie. Olbrzym, obrażony takiém lekceważeniem siły swojéj, rzucił się na kamień, ale pomimo największego wysiłku, nie zdołał go podnieść z ziemi, co widząc Thor skinął na swego służącego, który dokonał tego z łatwością. Rozzłoszczony

olbrzym skoczył zuchwale do bożka, który go w téj że saméj chwili położył na miejsca jednèm uderzeniem młotka swojego, to jest piorunem.

W Krakowskiém, belemit nazywa lud dotąd piorunem i przypisuje mu własności lecznicze, pomocne na ból głowy. A jest téż tam zwyczaj rozpowszechniony, znany także u górali w Beskidach, że na wiosnę, jak tylko zagrzmi po raz pierwszy, wszyscy we wsi, i mali i starzy, wylatują z chałup jak oparzeni, i porywają kamienie z ziemi i uderzają się nimi po głowie. Dla widza jest to niezmiernie zabawna scena, bo kto po raz pierwszy na to patrzy, mimowoli zapytuje siebie: co tym ludziom się stało? czy nie zwaryowali? Gdyż nie dość na tém, że jedni drugim wyrywają kamienie i jedni przed drugimi lecą ku nim na złamanie szyi, ale nadto ci, którzy ich dopaść nie mogą, lub nie mają pod ręką, rzucają się plackiem na ziemię i tłuką głowę o większe kamienie, wrośnięte na polu lub na drodze i nie dające się ruszyć z miejsca. A potém znowu wszyscy pospołu tarzają się po ziemi, co pod wpływem pierwszego grzmotu. ma być środkiem zapobiegającym na ból głowy w ciągu roku i na ból krzyżów podczas żniwa. Jest to téż niezawodnie jakiś zabytek dawnego pogańskiego obrządku, będący w związku z czcią kamieni.

Ale co się tyczy owych kamieni świętych, na których składano bogom ofiary, to może najsławniejszym z nich i najbardziéj znanym, był na wschodzie czarny kamień w świątyni Kaaby w Mekce. Podług podania, był to jeden z klejnotów raju, który wypadł na ziemię po wygnaniu Adama i który następnie został użyty do budowy świątyni Kaaby,—Abraham bowiem budując tę świątynię, umieścił go w jéj południowo zachodnim rogu. Miał on kształt czworograny i pierwotnie był biały, a dopiero z czasem zczerniły go grzechy ludzkie. Niezliczone karawany Arabów ciągnęły co roku do Mekki składać ofiary na kamieniu Kaaby, a poeta arabski Nabi napisał o nim poemat, gdzie go nazywa lekarstwem pielgrzymów i powiada, że w nim leży cała tajemnica stworzenia świata i piękności ziemi. Wiadomo, że kamień ten wsławił się w dziejach z tego względu, że w nowszych czasach znajdował się pod strażą pokolenia Haszem, z którego w VI-m wieku urodził się prorok Mahomet. A jeżeli wiara jego tak szybko się rozszerzyła i licznych znalazła wyznawców, to głównie dla tego, że prorok, zdobywszy Mekkę, uczynił Kaabę środkowym punktem nowéj religii, przez co skłonił na swoję stronę wszystkie plemiona koczujące i od razu opanował całą Arabią.

Średniowieczne podanie stawia Kaabę w bliskim związku z innym kamieniem, niemniéj starożytnym, który się nazywał *Gral* i który tylko nawiasowo może być wspomnianym w tém miejscu, dla tego że nie należał do kamieni ofiarnych i dzieje jego mają zupełnie odmienny charakter. Pierwotnie, miał on się znajdować w koronie Lucypera, jako klejnot ceny niezmiernéj i w czasie porażki jego wypadł na ziemię, a potém zrobiono z niego misę, którą królowa Saby wraz z innemi skarbami przywiozła w darze Salomonowi. Drogą dziedzictwa dostała się ona św. Nikodemowi, potém św. Józefowi z Arymatei i z téj to misy właśnie miał Chrystus Pan spożywać ostatnią swoję wieczerzę z apostołami i do niéj spływała krew z rany w bok mu zadanéj. Z tego powodu niektórzy w nazwie *Gral* upatrują znaczenie, pochodzące od słów *sanguis realis*, *saing réal*. Twierdzi jednak Friedreich, że to jest naciągane i że Gral oznacza naczynie, misę, chociaż nie mówi w jakim języku.

Symbolika chrześciańska dodaje nadto, że zabytek ten od św. Józefa z Arymatei miał się dostać na zachód i przez długi czas Genueńczycy utrzymywali, że go mają w swojém posiadaniu, poczytując za Gral misę zieloną, o któréj mniemali, że jest szmaragdowa. Ostatecznie jednak pokazało się, że była szklanna i że Gral znajdował się wśród obłoków niebieskich, gdzie go aniołowie trzymali na rękach, unosząc się w powietrzu, na ziemi bowiem nikt nie był godzien go posiadać. Nareszcie zdobył go sobie książe francuski, Titurel w nagrodę za cnoty swoje i złożywszy w świątyni wspaniałéj, którą zbudował na zamku Montsalvaz, ustanowił osobny zakon rycerski do strzeżenia téj relikwii. Gral bowiem miał w sobie moc cudowną i ten, kto go posiadał, opływał w dostatki ziemskie, a kto nań patrzył, nie podlegał ani chorobom, ani starości. Lecz o świątyni téj mało kto wiedział, bo chociaż było wielu takich, którzy jéj szukali, nie mogli wszakże znaleść ci, którzy się powodowali prostą ciekawością. Prowadziła do niéj tylko wiara głęboka torując drogę przeczuciem, a ten, kto ją odnalazł był już potém szczęśliwy na zawsze.

Ale wracając do pogańskich kamieni ofiarnych, po sławnéj Kaabie, najznakomitszym z nich jest niezaprzeczenie meksykański *Temalakatl*. Był to kamień ofiarno-wojenny, ogromnych rozmiarów, a ogólnie w krajach owych używany, znajdował się zwykle przy świątyniach na środku tarasu przeznaczonego dla widzów, chciwych krwawego dramatu, jaki się na nim odbywał.

Taki kamień właśnie, znaleziony przy katedrze meksykańskiéj i znany dziś wszystkim z opisów, leżał w ziemi kilkaset lat nim go odkryto. Ma on przeszło trzy stopy wysokości i dziewięć stóp śre-

dnicy, kształtu jest walcowatego, a po bokach znajdują się figury rzeźbione, między któremi uderza rycerz, trzymający rękę na głowie innego rycerza, widocznie zwyciężonego przez siebie, a ten mu podaje wiązkę kwiatów. Na płaskiéj powierzchni znajduje się kółko, do którego przytwierdzano nogę człowieka skazanego na ofiarę. Na kamieniu tym bowiem pojmani w bitwach książęta i wodzowie, musieli albo wolność sobie wywalczyć albo téż życie położyć. Dawano jeńcowi drewniany hełm, drewnianą tarczę i drewniany miecz wyłożony cienkiemi, a ostremi blaszkami chalcedonu, prawą nogę przymocowywano mu do kółka, w taki sposób jednak, aby mógł się trochę posuwać w tył i naprzód. Wtedy na kamień wstępował drugi rycerz tak samo uzbrojony i rozpoczynała się walka. Jeżeli jeniec zwyciężył sześciu przeciwników z kolei, to otrzymywał wolność, jeżeli był zwyciężony, a żył jeszcze, to życie jego było poświęcone na ofiarę bogom.

Na kamieniu tym właśnie w Meksyku poległ sławny Tlahuicol, wódz Tlaskalanów, któremu duma nie pozwoliła przyjąć wolności przez Montezumę mu darowanéj. Montezuma, przejęty podziwem dla jego waleczności, chciał mu przez to okazać szacunek, lecz Tlahuicol poczytując sobie za hańbę niezmazaną, że popadł w niewolę, postanowił walczyć na kamieniu ofiarnym. Kilku rycerzy zranił, jednego zabił, aż wreszcie sam dostał cięcie w głowę, od którego padł. Lecz konając nawet, gdy mu piersi rozpruto, aby serce jego ofiarować bogowi wojny, jeszcze wzywał lud swój do zemsty, a śmierć jego bohaterska niesłychane miała wywrzéć wrażenie na obecnych.

W Europie mamy téż parę takich kamieni ofiarnych, które się zachowały do tego czasu wraz z podaniem, mówiącém wyraźnie o ich pierwotném przeznaczeniu, lecz nie posiadającém już charakteru tak wysoce dramatycznego. Na Pomorzu jest ogromny kamień, o którym, jak pisze Temme, dotąd lud opowiada, że w dawnych czasach, co roku składano tam piękną dziewicę dyabłu, który tańczył z nią na tym kamieniu, a potém zabierał ją sobie do piekła. Trwało to długie lata, aż pewnego razu przyprowadzono bardzo pobożną dziewicę, która, gdy dyabeł chciał z nią iść w taniec, zawezwała głośno pomocy Bożéj i tak go tém wystraszyła, że uciekł i już więcéj nie wrócił. Ale uciekając, jak tupnął ze złości nogami, tak odbił je na kamieniu, jednę nogę ludzkę i jedną końską.

Inny podobny kamień znajdował się na Litwie w tak zwanych Prusach Książęcych na górze Rombinus, która się wznosi przy mieście Ragnecie w pobliżu Tylży. Był on tam przyniesiony przez samego Perkuna, który pod nim złożył złotą misę, a w niéj srebrne

jajo, jako godło płodności i obfitości. Więc też krążyło podanie, że kraj dopóty będzie opływać we wszystko, dopóki kamień ten będzie leżéć na miejscu, ale gdyby go stamtąd zabrano, to góra się zapadnie i klęski różne zawisną nad krajem. I leżał on tam nietknięty aż do naszych czasów,—dopiero na początku tego stulecia umyślił młynarz jakiś użyć go do swego młyna. Ale skoro przysłani przez niego parobcy chcieli go ruszyć z miejsca, to jednemu wpadł odłamek kamienia do oka i oślepił go, drugi złamał rękę, trzeci padł nagłą śmiercią rażony i próba spełzła na niczém.

Obok ofiarnych, były jeszcze kamienie prorocze, mające niezmiernie wielkie znaczenie. Irlandczycy mieli sławny swój *Laig-Fail*, który służył za wyrocznię podczas obioru króla, w epoce, kiedy obiór ten pozostawał jeszcze w rękach kapłanów. Był to kamień trójkątny, popielaty, przerznięty czerwonemi żyłkami, a twardy jak krzemień. Podług podania, miał być przywieziony z Hiszpanii do Irlandyi na siedmset lat przed Chryst. Leżał wśród gaju świętego *Femhuir* albo *Tarah* i na nim zwykle namaszczano każdego nowo obranego króla, a lud wierzył, że jeżeli wybór ten zgadzał się z wolą bogów, wtedy kamień wydawał z siebie głos podczas ceremonii,—przeciwnie, milczał uporczywie, gdy bogowie nie byli radzi nowemu królowi.

Irlandczycy, wtargnąwszy do Szkocyi zabrali go z sobą dla utwierdzenia swego podboju, gdyż wyrocznia miała powiedziéć, że gdzie się ten kamień będzie znajdować, tam będzie się znajdować i korona królewska. W istocie stał się on kamieniem koronacyjnym królów szkockich, a gdy Edward I, angielski, podbił Szkocyą w 1295 r. zabrał go do Anglii i umieścił w tronie królewskim przy koronacyach używanym. Podobno, że jeszcze znajduje się w Westminsterze.

Trochę odmiennego charakteru jest kamień przechowywany dotąd w Stavoren, dawnéj stolicy Fryzyi, który miał ongiś wyprorokować miastu przyszłe losy jego. Pierwotnie, leżał on przed mieszkaniem świątobliwego kapłana Odulfa, który przepowiedział, że skoro ten kamień olbrzymi własną mocą swoją wpadnie do rzeki Flye, nastaną wielkie nieszczęścia i klęski dla miasta i nie skończą się, aż wtedy dopiero, gdy cudownym sposobem sam wyjdzie z wody. Spełniło się to wszystko—pewnego dnia zniknął kamień w nurtach rzeki i miasto zostało opanowane i ujarzmione przez pogan, a gdy po upływie lat znowu się odnalazł na starém miejscu, odetchnęli ludzie i Pan Bóg ulitowawszy się nad nimi, wybawił ich z ucisku. Kamień ten, umieszczony w kościele, otoczony jest czcią wielką, a jak mówi podanie, nie ruszy go z miejsca ręka ludzka.

Lecz pomimo chrześciańskiéj barwy, jaką mu teraz nadano, wiążąc go z nowszemi czasy, prawdopodobnie miał on już przedtém swoje znaczenie, jako zabytek starego obrządku. Mianowicie ta okoliczność, że leży w kościele, każe przypuszczać, iż leżał w tém miejscu od wieków, że była tam może świątynia, a w każdym razie ofiarny ołtarz pogański. Wiadomo bowiem, że przy wprowadzeniu chrześciaństwa, zwykle budowano kościoły w takich miejscach, które lud czcią otaczał, na tle pogańskiém szczepiąc nową wiarę i tym sposobem ułatwiając przeobrażenia się stopniowe pojęć. Więc téż obok przeobrażenia się nastąpiło nieuniknione zlanie się starych pojęć z nowemi i dla tego to na dnie chrześciańskich mitów trzeba nieraz szukać pogańskich symbolów, jak to się dzieje właśnie z owym holenderskim kamieniem w Stavoren.

A inny jeszcze charakter, obok swego proroczego znaczenia, mają owe dwie sławne skały w Bawaryi, które się zwieszają jedna nad drugą, nie dotykając jednak siebie, tak że światło przechodzi pomiędzy niemi. Stąd lud je nazywa *die lichten Steine* i opowiada legendę, która je wiąże z losami rodziny ks. Lichtensteinów. Lichtensteinowie bowiem mają te skały w herbie swoim, i dopóki te skały stać będą, dopóty ród ich nie wygaśnie i zamek, wśród ruin którego się wznoszą, prędzéj lub późniéj zostanie odbudowany. W tym razie więc występuje już nie polityczne lub religijne, tylko czysto poetyczne znaczenie kamienia, który wpływ tajemniczy wywiera na losy ludzkie.

Zasługują także na uwagę kamienie z różnemi znakami i odciskami, w których fantazya ludu widzi zwykle coś demonicznego. Znajdują się one wszędzie. W Galicyi, tak w Krakowskiém jak i u Górali można nieraz słyszéć opowiadania, że ten a ten kamień, leżący za wsią lub téż w potoku, niósł dyabeł, aby kościół parafialny rozwalić, lecz kur zapiał, skończyła się moc dyabelska i musiał kamień upuścić, ze złości zostawiwszy na nim ślad swoich pazurów. Takaż sama powiastka krąży na Pomorzu o kamieniu, którym dyabeł chciał zburzyć w Podagli na wyspie Usedom kościół, zbudowany podczas wprowadzenia wiary chrześciańskiéj, ale podobnież nie udała mu się sztuka. Inny znowu, mając jakieś familijne zatargi bił się z babcią swoją nad jeziorem Molwin, a obaliwszy staruszkę tak ją pchnął gwałtownie, że aż plecy jéj się odcisnęły na kamieniu, który tam dotąd leży przy drodze. A że w dawnych czasach dyabeł był bardzo chełpliwy i lubił się popisywać siłą swoją i zręcznością, przeto spostrzegłszy raz koło Altenburga olbrzymi kamień, położył go sobie na głowie i przechadzał się tak, przechwalając że nikt tego nie dokaże, ani sam Chrystus nawet. Zaledwie jednak

wyrzekł te słowa, kiedy ukazał się Chrystus Pan i wziąwszy kamień, uniósł go na swoim małym palcu. Dyabeł zawstydzony uciekł, a kamień pozostał w tém miejscu i dotąd jeszcze znać na nim odcisk głowy dyabelskiéj i palca Chrystusowego.

Był téż niegdyś zwyczaj, że oprócz próby ogniowéj i wodnéj, używano także próby kamiennéj dla odszukania winowajcy w razie jakiejś wątpliwości. I tak jest na Pomorzu, a kto wie czyli to nie będzie nawet na wyspie Rugii, kamień nad jeziorem, na którym znać wyraźnie ślad dwóch stóp ludzkich, jednéj dużéj, drugiéj malutkiéj. Podanie mówi, że była w tém miejscu świątynia pogańska, gdzie jedna z kapłanek dała się wciągnąć potajemnie w stosunek miłośny z pewnym rycerzem. Doniesiono o tém arcykapłanowi, który chcąc odkryć wśród dziewic poświęconych na usługi świątyni, tę, która się dopuściła tak wielkiego wykroczenia, prosił bogów, aby go w tém oświecili znakiem widomym. Potém zawezwawszy wszystkie dziewice, kazał im z kolei stawać bosą nogą na kamieniu ofiarnym, a skoro stanęła owa występna, odcisnęła się na kamieniu jéj stopa, i stopa dziecka, które nosiła we wnętrznościach swoich. Po tém odkryciu, została natychmiast utopiona w świętém jeziorze.

Nie tak dramatyczna odbywa się dotąd próba kamienna u Muzułmanów, którym jak wiadomo, Koran zabrania pić wino. Ale czyż naprawdę zabrania? Wszak Ałłach może być czasem innego zdania w téj mierze niż prorok. Aby się o tém przekonać, do czary z winem wrzuca prawowierny Muzułmanin kamyk, wzywając Ałłacha, aby pokazał moc swoję: jeżeli Ałłach sobie nie życzy, aby Muzułmanin napił się wina, to każe kamykowi wypłynąć na wierzch,—jeżeli zaś nic nie ma przeciwko temu, w takim razie kamyk utopi na dnie. Ałłach zazwyczaj nie każe kamykowi pływać i prawowierny Muzułmanin po takiéj próbie śmiało już raczy się winem.

A wielkie téż jest bogactwo podań o przeistaczaniu się ludzi w kamienie. Dzieje się to zwykle z tymi, którzy się dopuścili jakiegoś wykroczenia, albo też pod wpływem przekleństwa rodziców, wymówionego nad dziećmi w złą chwilę. Bo dawniéj, jak to lud mniema powszechnie, gdy matka powiedziała dziecku swemu, żebyś skamieniało, to skamieniało—żebyś się zapadło—to się zapadło. W Saksonii, koło sławnego zamku Königstein jest kamień, zwany kamieniem dziewicy (Jungferstein), o któréj opowiadają, że nie chciała w niedzielę iść do kościoła, a wybrała się natomiast na przechadzkę. Matka zgniewawszy się o to, rzuciła na nią przekleństwo, od którego dziewczyna skamieniała i kamień ten ma wyraźnie przypominać jéj postać.

W Brandeburgii znowu kilku młodzieńców zebrawszy się w dzień Zielonych Świątek, naigrawało z odprawiającego się właśnie nabożeństwa,—potém rozebrawszy się do naga, zaczęli tańczyć, a wśród tańca tego skamienieli. Kamienie te leżą w koło w pobliżu wsi Virchow i lud je nazywa tańcem Adamowym.

Już to wogóle nieposzanowanie przepisów religijnych było w ten sposób karane i po wszystkich krajach krążą między ludem powiastki tego rodzaju. Na Litwie np., w Pińszczyźnie, jest kamień, który się nazywa szewcem. Kiedyś mieszkał w tém miejscu szewc, który pewnego razu szył buty w samo święto Wielkanocne w chwili, gdy ludzie szli do kościoła na rezurekcyą. A skoro go napomniał ktoś, aby położył robotę, boć to dzień taki wielki, zaczął żartować, że gdy dzień wielki — w narzeczu miejscowém bowiem Wielkanoc nazywa się wialik dzień — tém więcéj butów powinien uszyć. Odeszli w milczeniu ludzie zgorszeni tą mową, a skoro potém wracali z nabożeństwa, nie było już w tém miejscu ani szewca, ani chałupy jego, tylko ogromny kamień, w który widocznie został zamieniony za karę, wraz z domostwem swojém. Coś podobnego przytrafiło się w Styryi chciwéj zysku dziewczynie, która przędła we wszystkie niedziele i święta. Aż wreszcie pewnego dnia zerwał się wicher, zburzył jéj chałupę, a ją samę uniósł między góry, gdzie skamieniała wraz z kołowrotkiem swoim i ztąd skała ta dzisiaj nazywa się prządką.

Ale nietylko pojedyńcze skały, lecz owszem całe pasma gór powstały z ludzi zaklętych, jak to właśnie opowiadają górale Tatrzańscy o Hálach swoich. Szedł kiedyś P. Jezus i spotkał się z wojskiem, które go napadło, zaszedłszy mu drogę, — a on je zaklął i zamienił w kamienie. Poczęły rość te kamienie i urosły w szereg ogromnych wirchów. A gdy po niejakim czasie P. Jezus znowu szedł tamtędy i będąc boso stłukł nogę o skałę, zabronił im, aby już więcéj nie rosły, a pokrywszy je ziemią, kazał im zazielenić się lasem, trawą i mchami i tym sposobem powstały dzisiejsze Tatry.

I jeszcze w innym razie skarcił tam P. Jezus w podobny sposób zuchwalstwo ludzkie. Napotkał chłopa, który się wybrał parokonnym wozem, przechwalając się, że Tatrami objedzie dokoła, a chociaż go P. Jezus upominał, że to niepodobieństwo, uparł się i ruszył w podróż. Przejechał szczęśliwie przez parę szczytów, kiedy znowu napotkał P. Jezusa, który mu tak jak przedtém radził zaniechać szalonego przedsięwzięcia. Ale chłop się rozłościł i zakrzyknął: „co ty mi tu, dziadu jakiś, będziesz się wtrącał w nie swoje!“ Zaledwie wyrzekł te słowa i podniósł bat, aby zaciąć ko-

nie, skamieniał z wozem i końmi i batem podniesionym do góry i stoi w tém miejscu aż do tego czasu.

W bajkach trafia się téż często, że i ludzie i zwierzęta pod wpływem czarów obracają się w kamienie, a podczas gdy źli pozostają nazawsze pod zaklęciem, dobrzy zato, po dłuższéj lub krótszéj próbie, odzyskują swoję pierwotną postać. Jest to przejście dramatyczne, ulubione wszystkim narodom wogóle i sięgające głębokiéj starożytności. Między naszym ludem występuje ta okoliczność w dwóch bajkach mianowicie.

W pierwszéj rzecz się obraca około dwóch braci bliźniaków, którzy odwiecznym zwyczajem wybierają się na wędrówkę i udają się w dwie różne drogi, każdy w towarzystwie pięciorga zwierząt: lwa, niedźwiedzia, wilka, lisa i zająca. Starszy brat w wędrówce swojéj wybawia piękną królewnę od smoka, któremu była przeznaczona na pożarcie, żeni się z nią i bardzo jest szczęśliwy. Pewnego dnia uderza go widok ciemnéj, tajemniczéj puszczy, leżącéj w pewném oddaleniu od pałacu, w którym mieszka z żoną, i dowiaduje się, że w puszczy téj przebywa czarownica, która wiele złego wyrządza ludziom. Postanawia ją zabić i wraz ze zwierzętami swojemi udaje się do puszczy, gdzie znajduje czarownicę siedzącą na drzewie. Każe jéj zejść na dół, a ona zszedłszy, rzuca swoję laseczkę i wtedy w jednéj chwili staje się rzecz niesłychanie smutna: bliźniak i zwierzęta zamieniają się w kamienie. Na szczęście nadchodzi do pałacu drugi bliźniak i dowiedziawszy się, że brat poszedł do puszczy i nie wrócił, idzie go szukać. Spostrzegłszy czarownicę siedzącą na drzewie, jest o tyle ostrożny, że nie pozwala jéj dotknąć laseczką siebie i swoich zwierząt, a widząc pod drzewem grupę złożoną z sześciu kamieni, domyśla się, że to jest brat jego zaklęty z pięciorgiem zwierząt. Wyrywa tedy laseczkę czarownicy i brata swego przywraca do życia, a natomiast czarownicę zamienia w kamień na wieczne czasy.

W drugiéj bajce wierny sługa cudownym sposobem robi pana swego pięknym, bogatym i wyszukuje mu za żonę królewnę, która ma złote włosy a miesiąc na piersiach. Za pomocą swoich nadprzyrodzonych stosunków dowiaduje się, że w czasie wesela matka pana młodego, która jest straszną czarownicą, będzie czynić trzykrotne zasadzki na życie syna swego i jego złotowłoséj narzeczonéj, nie śmié jednak wyjawić tego głośno, gdyż zagrożono mu, że gdyby powiedział, to skamienicje. Nie odstępuje więc pana swego i w chwili, kiedy widzi go wybierającego się do ślubu, zabija konie, któremi chce jechać, gdyż konie te właśnie mają go ponieść i na śmierć stratować. Potém, przy uczcie weselnéj zrzuca ze stołu na

ziemię przygotowane potrawy, gdyż wié, że są zatrute i wreszcie zakrada się do pokoju państwa młodych i zabija pałaszem ognistą g r z m i l ę (tak się u górali Beskidowych nazywa żmija), która ma ich pozrzéć w nocy. Ściągnąwszy przez to na siebie podejrzenie, że chciał zamordować pana swego, zostaje wrzucony do więzienia i skazany na śmierć. Dopiéro pod szubienicą wyjawia przyczynę swego dziwnego postępowania w czasie wesela, gdyż wszystko mu już jedno, czy będzie wisiał, czy też skamienieje. Opowiada więc, że konie zabił dla tego, że wiedział, iż pana jego poniosą na śmierć i w téjże chwili kamienieje po kolana. Potém opowiada, że obiad zrzucił na ziemię dla tego, że wiedział, iż jest zatruty, i tu kamienieje po pas,—nareszcie opowiada o g r z m i l i i staje się cały kamieniem. Czas mija, złotowłosa królewna wydaje na świat dwóch synków i dopiéro śni się jéj kiedyś, że jeżeli chce wybawić wiernego sługę, który skamieniał za przywiązanie swoje, to musi synkom swoim poderznąć gardła i krwią ich obmyć kamień do trzeciego razu, a wróci mu życie i postać ludzką. Królewna, po naradzie z mężem, czyni ofiarę z dzieci i krwią ich wybawia wiernego sługę z pod zaklęcia. A nadto ma tę uciechę jeszcze, że kiedy idzie do synków swoich, których sądzi być martwymi, znajduje ich żywych, śmiejących się i ze złotemi paskami na szyjach.

Bajki te uderzają starożytnym swoim charakterem i z tego względu jeszcze godne są uwagi, że krążą na dwóch krańcach ziem polskich mianowicie u górali Beskidowych i w tak zwanéj ziemi Dobrzyńskiéj. Treść ich w głównych zarysach prawie jednaka, świadczy wymownie, że wypłynęły z jednego wspólnego źródła, ale czy rozbiegłszy się na dwa punkta tak odległe, znane są i w innych, pośrednich okolicach, potrzebuje jeszcze stwierdzenia etnografów, chociaż zdaje się, że jest to bardzo prawdopodobne.

A jakże tajemniczo, a poetycznie występuje kamień wśród ludu naszego w piosnkach jego starych, które zwykle związane z otaczającą przyrodą, z drzewami i kwiatami, z gwiazdami i wodą, często gęsto wspominają téż i o kamieniu. I tak, bywa czasem kamień powiernikiem miłośnym, gwałtem nawet nagiętym do téj roli, jak to widać z piosnki znanéj w Królestwie i w Krakowskiém, gdzie chłopak śpiéwa swojéj kochance:

W lesie na kamieniu, leleń wodę pije,
Wiés o tém dziewczyno, że dla ciebie żyję!

Skąd tam tyle wody się weźmie na kamieniu, żeby aż l e l e ń czyli jeleń mógł się napić — nie należy do rzeczy; widać, że chodzi tylko o poetyczne ramki, któreby się nadały do wyznania uczuć

tkliwych. Dziewczyna znowu też do kamienia się odwołuje, gdy sercu swemu folgując, śpiewa:

Z kamienia na kamień przelatuje leleń,
Mnie chłopcy kochają a já o tém nie wiem;
Z kamienia na kamień przelatują srocki,
Dla mnie tylko jeden, co ma cárne ocki!

A prawdziwie dramatycznéj barwy jest pewna piosnka, krążąca w ziemi Dobrzyńskiéj, znana także i w Krakowskiém, gdzie Jaś występuje w charakterze istnego *Barbe-Bleu*. Uprowadza bowiem Kasię pokryjomu od rodziców i obdarłszy ją z szat bogatych, topi w Dunaju, a gdy mu się biédaczka wyprasza od śmierci, powiada jéj na to, że już ośm kochanek jego leży w wodzie, a ona będzie dziewiąta, a potém przyjdzie koléj i na dziesiątą jeszcze. Na szczęście, rybacy wydobywają z wody biédną Kasię, a wtedy

Usiadła ona na białym kamieniu,
Rozpuściła włosy po prawém ramieniu,—

nadszedł na to brat jéj, śpieszący na ratunek, i Kasia wróciła szczęśliwie do domu.

Jak widać z tego, biały kamień w piosnkach naszych występuje w chwilach smutnych i trudnych. Na białym kamieniu siedzi także owa okrutna Podolanka, która tak jest znana i rozpowszechniona, że nie ma zdaje się okolicy, gdzieby o niéj nie śpiéwał lud polski:

Na Podolu biały kamień,
Podolanka siedzi na nim.

Siedząc tam właśnie poznaje się z cudzoziemcem, który ją namawia do otrucia brata,— pod wpływem téj namowy dokonywa tego czynu haniebnego, a potém opuszczona przez cudzoziemca, kończy na szubienicy.

W Kaliskiém i Poznańskiém jest piosnka, która uwydatnia jeszcze inną dramatyczną chwilę. Młodzieniec, zmuszony rozstać się z kochanką, nie może się pogodzić z tą myślą, że się już więcéj widzieć nie będą,— prosi, aby go przeprowadziła do gaju, tam ją zabija i grzebie pod zieloném drzewem, a wtedy sam umiera, roztrzaskawszy sobie głowę o kamień:

I tak się wzion potem i rznął się o kamień,
Niech já leze z tobom na wiek wieków, amen!

We wszystkich razach jest tu miłość główną pobudką, a chociaż brzmią różne w niéj tony: i czułe, i zdradliwe, i zbrodnicze, do każdego z nich nadaje się kamień, jako odpowiednia *mise en scène*, jako niezbędna dekoracya sielankowa.

A znowu, jako symbol boleści, jako wyraz najwyższego, najokrutniejszego żalu, który sam w sobie kamienieje w chwili, gdy przechodzi siły człowieka, wymownie przedstawia się kamień u Greków w tragicznym wypadku Nioby. Wiadomo, jak ona dumna była z tego, że miała dwanaścioro ślicznych dzieci,— tak dumna, że nawet śmiała się stawić wyżéj nad boginie, które się nie mogły poszczycić podobną płodnością. Lecz nie uszło jéj to bezkarnie,— pewnego dnia, pod strzałami Apolina i siostry jego, Artemidy, padły naraz wszystkie jéj dzieci, a Niobe, pochyliwszy się nad ich martwemi zwłokami, skamieniała z boleści. I nietylko żal macierzyński wyraża się w ten sposób, — uczucie zgwałconéj miłości podobnie się symbolizuje. W Altmark, przy gościńcu do Markau, leży kamień ogromny znany pod nazwą kamienia Leny. Opowiadają, że kiedyś w okolicy dziewczyna tego imienia została zmuszona przez matkę do zaślubienia chłopa z Markau, którego nie cierpiała, gdyż serce miała kim innym zajęte. Po ślubie, kiedy jechała do męża i furman, zatrzymawszy się na granicy, spytał ją, podług miejscowego zwyczaju, czy ma jechać daléj, a czy téż powracać, zeskoczyła z wozu i z wyrazem głębokiéj boleści zawołała: „Niech skamienieję, jeżeli daléj pojadę." I skamieniała, a pas szeroki, który widnieje na kamieniu, to wstęga jéj stroju ślubnego.

W Niemczech znowu opowiadają o królewnie, która uciekła z kochankiem i mieszkała w ukryciu koło góry Crock. Po niejakimś czasie kochanek ją odjechał, mienie swoje całe przeżyła i już nie miała nic, tylko woreczek grochu. Wybrała się z nim do miasta, lecz w worku była dziurka i wszystek groch rozsypała po drodze. Skoro to spostrzegła, tak ciężko się zasmuciła, że aż groch ten rozsypany skamieniał i dotąd widziéć go można na górze Crock w postaci okrągłych krzemieni. Jest w tém wymowny obraz biédaka, którego boleść, w chwili gdy stracił ostatki mienia swego, zaprawdę może miéć moc kamieniejącą.

Wśród rozległego znaczenia, jakie kamieniom nadała wyobraźnia ludzka, służyły one nieraz w starożytności za znak zemsty i nieprzyjaźni. Był mianowicie zwyczaj na wschodzie, że jak ktoś miał do kogo urazę, to mu kładł na polu jego kamień i stanowiło to ostrzeżenie, aby właściciel nie śmiał uprawiać pola tego, dopóki się tam kamień znajdował, inaczéj bowiem mógł życie swoje narazić na niebezpieczeństwo. Był to tak zwany *skopelismus*. Rzymscy prawnicy wspominają o tém jako o zbrodni, którą prawo ścigało i która była nadzwyczaj rozpowszechniona w Arabii, a wzniecała strach nadzwyczajny. Ten bowiem, kto znalazł kamień zemsty na polu swojém, zostawał jakby pod klątwą i nietylko zmu-

szony był zawiesić wszystkie prace i czynności w polach i ogrodach, lecz nadto jeszcze nie śmiał się wychylić z domu, aby nie być zamordowanym. Był to pomysł iście piekielny.

Co się tyczy wyrażeń, mających związek z kamieniem, jest ich niemało i dobrze są znane każdemu z mowy potocznéj, a wśród nich najczęściéj używane jest może powiedzenie owe o ludziach nielitościwych, że mają serca kamienne. Stąd też w symbolice chrześciańskiéj chleb zwykle się zamienia w kamień tym, którzy bliźnim swoim odmawiają ratunku w potrzebie. Jak np. podanie, że kiedyś, w czasie wielkiego głodu, przez miasto Gdańsk szła biédna kobiéta, prowadząc dziecko, które rozdzierającym głosem wołało jeść. Spotkawszy zakonnika Cystersa z pobliskiego klasztoru Oliwy i widząc, że miał spory kawał chleba w zanadrzu, zaczęła prosić nieszczęsna matka, aby jéj z tego udzielił jaką odrobinę dla dziecka. Lecz zakonnik powiedział jéj na to, że to nie jest chléb, tylko kamień, w który się zaopatrzył, aby się mieć czém obronić od złych psów. Skoro zaś odszedł daléj i zabrał się do zjedzenia chleba, spostrzegł, że naprawdę stał mu się kamieniem według własnych słów jego. Przerażony tém, uczynił pokutę, a chléb ten skamieniały na wieczną pamiątkę zawiesił w kościele w Oliwie.

Tak samo stać się miało w Holandyi, gdzie biedna kobiéta przyszła do majętnéj siostry swojéj, prosząc, aby dała jéj chléba, którego miała wielki dostatek w domu swoim. A ta się zaklęła, że nie miała go wcale i rzekła: „Jeżeli mam, niech mi się w kamień obróci!“ Spełniły się jéj słowa i cały jéj zapas chleba skamieniał od razu.

Podań takich jest wielka obfitość i niéma kraju, gdzieby podobny wypadek nie miał miejsca, co dowodzi oczywiście, że serca kamienne zawsze były rozpowszechnione po całym świecie. Tak samo, gdy ktoś daje, a żałuje, to i pod wpływem skąpstwa chléb się obraca w kamień. Jest powiastka o św. Kastulusie, że pewnego razu przyszedł jako żebrak do biédnéj wdowy, prosząc o wsparcie. Wdowa chciała mu oddać ostatni bochenek chleba, jaki miała, ale córce żal się go zrobiło, więc wzięła chleb do ręki, aby chociaż kawałek ułamać z niego pokryjomu, ale zaledwie tknęła się palcami, skamieniał, zatrzymując wyraźnie ślady jéj palców. Kamień ten w srebrnéj oprawie wisi dotąd w kościele w Landshut.

Inne znowu wyrażenie „mieć kamień na sercu“, wypływa także z pewnéj okoliczności, która miała stać się pierwotnym jego powodem. Zastosowano to także do nowszych już czasów. Podług Bechsteina, hrabia Eccard zabił brata swego, a ojciec św. kazał mu za pokutę zbudować klasztor na miejscu morderstwa, kamień węgiel-

ny pod budowę przynieść na sercu i tamże wstąpić do zakonu. Był to tak zwany klasztor Wilhelmitów, który dziś stoi w gruzach, ale podobno ocalała jeszcze nisza, gdzie się znajduje posąg kamienny rycerza, trzymającego wielki kamień na piersiach. Jest to prawdopodobnie sam hrabia, który chociaż smutną swoją historyą uzmysłowił odnośne wyrażenie, nie mniéj jednak w dziejach ludzkości nie był ani pierwszym ani ostatnim z tych, którzy kamień troski i strapienia, jeżeli nie winy dźwigają na sercu.

Z starych czasów greckich przeszła do nas pamięć o kamieniu Syzyfa, który dziś niejednokrotnie wzmiankowany bywa, gdy widzimy kogoś porywającego się na jakieś szalone przedsięwzięcie. Podług mitologii, Syzyf, był to władca Tessalii, sławny ze swojéj chytrości i przebiegłości, który nietylko ludzi umiał podejść, ale nawet śmierć złapał i uwięził i dopiero bogowie musieli się wdać w tę sprawę i pośredniczyć w jéj uwolnieniu. Umierając, kazał żonie, aby go nie grzebała wcale, a przyszedłszy do piekieł, oskarżył ją, że mu nie chce oddać ostatniéj posługi i prosił, aby mu wolno było powrócić na świat dla przykładnego jéj ukarania. Skoro zaś wyjednał sobie to pozwolenie, nie chciał już potém wracać i musiano posyłać Hermesa, aby zabrał go gwałtem. Wtedy to za karę kazano mu w piekle wtaczać na stromą górę kamień, który się stacza ustawicznie, a on go znowu musi dźwigać i pchać do góry. Charakteryzuje to daremne wysiłki tych, którzy nie mogą podołać zbyt śmiałym zamysłom i w nieskończoność się trudzą, przez upór nie chcąc odstąpić od swego.

A znowu to nasze polskie wyrażenie, które mówi o czémś, czego odnaleść niepodobna: *wpadło jak kamień do wody*, ma bardzo starożytny i czysty słowiański początek. Zwykle Wendowie, gdy zawierali z kim sojusz, albo nawet prywatną umowę, rzucali kamień do wody i wymawiali zaklęcia, aby przepadli tak jak ten kamień, jeżeliby nie dotrzymali wziętego na siebie zobowiązania się. I wogóle mieli to i inni Słowianie we zwyczaju, że gdy po skończonéj wojnie umawiali się o pokój, rzucali kamień do wody na znak, że dawne rozterki miały zginąć w niepamięci, tak jak ów kamień w nurtach rzeki lub jeziora.

A i to nasze przysłowie, gdy się mówi: r z u c i ć n a k o g o k a m i e n i e m, czyli wyrzec sąd potępiający, nie wynika bynajmniéj z przypadkowéj gry słów. Odnosi się owszem do dawnego zwyczaju kamienowania oskarżonych o zbrodnie, gdzie świadkowie pierwsi ciskali kamienie na zbrodniarza, a za ich przykładem szedł lud wszystek, wymierzając przysądzoną karę. Był to zwyczaj rozpowszechniony w starożytności, znany i u Greków. Do tego to zwyczaju

właśnie odnosi się w Iliadzie owa kamienna suknia, któréj Hektor życzy Parysowi za wszystko złe, jakie wyrządził. Tak przynajmniéj tłómaczy to wyrażenie Friedreich, a także i Nägelsbach, który powiada, że nie ma tu bynajmniéj mowy o nagrobku kamiennym, jak niektórzy mniemali, tylko po prostu o ukamienowaniu czyli o wymierzeniu kary, na jaką zasłużył sobie, gdyż kamienie pokrywając zbrodniarza powalonego na ziemię, stają się należną mu za złość jego sukienką.

Ciekawe to wyrażenie, u nas pono nieznane, lecz używane na wschodzie, kiedy mówią komuś, kto miał dzień wyjątkowo szczęśliwy: naznacz go białym kamieniem. Poszło to stąd, że jak pisze Pliniusz, był zwyczaj w Tracyi każdy dzień życia oznaczać kamieniem, wesoły białym, smutny czarnym. Kamienie te wrzucano do skrzyni umyślnie na ten cel przeznaczonéj, a po roku każdy je liczył i dowiadywał się wiele miał dni pomyślnych, a wiele niepomyślnych. Musiała to być ciekawa statystyka w dziejach każdego pojedynczego człowieka.

Niepodobna téż tu pominąć owego znaczenia, w jakiém występował kamień w stosunku ze światem podziemnym, z piekłem, dając początek tak zwanym dzisiaj dniom feralnym. Powstały one z tego powodu, że między Rzymianami było przekonanie, iż cienie zmarłych (*manes*) miały prawo trzy razy do roku wychodzić z piekieł na ziemię, mianowicie raz w lecie, a dwa razy na jesieni. Wierzono, iż peryodyczne te pielgrzymki duchów wychodziły otworem znajdującym się w ziemi, przez który symbolizowano bramę Orkusu, to jest piekieł. Na tak zwaném *Comitium*, gdzie się odbywały rzymskie zgromadzenia ludowe, znajdował się właśnie ów otwór do świata podziemnego, zamknięty kamieniem, który się nazywa *lapis manalis* i który odwalano 24-go sierpnia, 5-go października i 8-go listopada. Te trzy dni poświęcone bóstwom podziemnym uważały się za nieszczęśliwe. Nie odbywały się wtedy wesela, nie zwoływano zgromadzenia ludowego, nie wypływały okręty na morze, nawet wojsko wstrzymywało się od wymarszu. Myśl, że bramy piekielne stały otworem i że duchy miały prawo swobodnie przechadzać się po ziemi, przejmowała każdego do głębi. Panowała jakaś trwoga powszechna, a ten, kto musiał wyjść z domu, nie mógł się oprzéć wrażeniu, że co krok spotyka się z duchem, który może do niego przemówić albo mu się ukazać w postaci widoméj.

Czy działo się coś podobnego u Słowian, nie wiadomo napewno, chociaż faktem jest, że mieli i oni tak zwane kamienie umarłych, które zostawały w związku z cieniami umarłych, czy téż ze śmiercią. Taki kamień właśnie znajdował się w gaju

koło Zgorzelca, zniemczonego dzisiaj na Görlic, w dawnych Łużycach, a jak pisze, wspomniany przez Friedreicha, badacz Anton w pracy swojéj o Słowianach, to jeszcze na początku ośmnastego stulecia odbywały się do tego kamienia procesye z pochodniami. Kuhn znowu mówi o dwóch kamieniach w Marchii, które musiały mieć jakiś stosunek ze zmarłymi, skoro dotąd krąży o nich podanie, że się obracają, jak tylko kur zapieje.

A gdy kamienie były poświęcone cieniom zmarłych, nic dziwnego, że służyły od najdawniejszych czasów za nagrobki, jak tego dowodzą i piramidy egipskie i owe kamienne groby przedhistoryczne, które dziś w całéj Europie odkopują archeologowie. My, wznosząc po cmentarzach naszych kamienne pomniki, naśladujemy tylko starożytnych, co większa, naśladujemy ich nawet w tém, że na kamieniu kładniemy napisy. Jest to również prastary zwyczaj, który się na piramidach wyrył hieroglifami, a dziś i na grobowcach przedhistorycznych został uwidoczniony w nowoodkrytém piśmie symboliczném. Już na ostatnim kongresie literackim w Lizbonie ogłoszony był list p. G. M. Atkinsona z West Brompton, który donosił o ciekawych badaniach, jakie poczynił wiel. Richard Rolt Brash na kamiennych grobowcach Irlandyi i Szkocyi. Dopatrzył on bowiem głosek czyli téż dźwięków głosowych w znakach wyrytych na nich, a złożonych z kombinacyi krések i kropek i zdaniem jego, pismo to należy do symbolicznego pisma *Ogham* (*), które zostało przyniesione z półwyspu Iberyjskiego na wyspy Brytańskie i do dziesiątego stulecia było używane.

Dzisiaj, profesor uniwer. Jagiellońskiego w Krakowie J. Łepkowski idzie jeszcze daléj na téj drodze. Pomiędzy kréskami a kropkami irlandzkiemi widzi bliskie powinowactwo graficzne z kréskami i kropkami, znajdującemi się na wszystkich naszych urnach, zwanych popielnicami, które ostatnimi czasy odkopane zostały po starych cmentarzyskach tak w Poznańskiém i w Galicyi, jako téż i w innych krajach słowiańskich. Ciekawe to swoje spostrzeżenie przedstawił przed kilku laty berlińskiemu towarzystwu antropologicznemu w formie pytania: czy ornamenta na popielnicach nie są czasem pismem? i powiada, że jeżeli nawet kréski te i kropki, w których widziano dotąd tylko ozdobę, w rzeczy saméj przeszły w ozdobę z czasem, nie mniéj musiały to być pierwotne znaki jakiegoś pisma.

(*) O tém piśmie *Ogham* powiada Görres w swojéj Historyi mitów, że było to pismo święte Irlandczyków, gdzie każda litera była wzięta ze świata roślinnego, każde słowo przedstawiało grupę drzew, a każdy dłuższy okres miał postać gaju.

Podobno, że myśl ta wzbudziła wielkie zajęcie między niemieckimi uczonymi i kto wié, czyli nie zaprowadzi do odkryć niezmiernéj doniosłości.

Być może, iż nie tak prędko to jeszcze nastąpi, w każdym razie prędzéj zapewne w badaniach odnośnych doprowadzi do celu, aniżeli doprowadził do złota ów sławny kamień filozoficzny, który w średnich wiekach rozpłomieniał umysły, pochłaniał fortuny, zaprzątał życie osób prywatnych, nawet i głowom koronowanym przeszkadzał w rządach, a ostatecznie pozostał mitem! Obecnie nikt już nie myśli o zdobywaniu złota w ten sposób,— mity należą dziś do poezyi, badanie i praca prowadzą naprzód, daléj i daléj. A gdy z czasem przyjdzie do tego, że każde podanie stanie się jedną z pochodni rozświecających dzieje społeczne albo rodzinne pierwotnéj ludzkości, wtedy nowe zdobycze na polu symboliki staną się owym kamieniem filozoficznym, który zasypie świat niespożytém złotem wiedzy prawdziwéj. I wtedy nie będą już mity ciemną zagadką i nawet kamień filozoficzny przestanie być mitem, w swojém nowém a zgodném z rzeczywistością zastosowaniu.

Stefanija Ulanowska.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Dr. Zdzisław Hordyński. Brodzińskiego lata szkolne. Lwów 1888, str. 41.

Brodziński należy do tych postaci w piśmiennictwie naszém, które, mimo iż wpływ ich żywy już dawno przeminął, a pisma w znacznéj części uległy zapomnieniu, długo jeszcze będą dla krytyków i historyków literatury przedmiotem szczegółowych studyów i badań. Postać taka, stojąca na przełomie dwu epok i nosząca wybitną cechę każdéj z nich, ma sobie wydzielone w każdéj literaturze jedno z przedniejszych stanowisk, ku któremu, jak ku drogowskazowi, zwracać się musi wzrok tych, którzy chcą badać tętno prądów literackich danego okresu. Zdawać by się mogło, że w poważnéj liczbie studyów i monografii traktujących o Brodzińskim, krytyka wyczerpała już dawno najważniejsze momenty z jego życia i działalności. W ostatnich atoli czasach przybyło kilka prac, które wniosły parę wielce ciekawych szczegółów, pod pewnym względem rozświetlających nawet w sposób nowy genezę twórczości oraz zapatrywania społeczne autora „Wiesława". Praca p. Hordyńskiego, ostatnia w tym szeregu, nie rzuca wprawdzie nowego światła na znane szczegóły, przez dokładne jednak podmalowanie tła, na którém rozsnuwa się wątek opowiadania, uzupełnia charakterystykę wpływów i otoczenia, oraz tych pierwszych pojęć i poglądów, jakie kształtowały umysł i wyobraźnię młodego pieśniarza. Autor obrał sobie w niéj najmniéj zbadany okres, mianowicie lata szkolne Brodzińskiego. Opowiada czasy jego dziecięce, pobyt w szkółce parafialnéj w Lipnicy, następnie w szkołach krakowskich i tarnowskich, daléj pobyt w domu macochy i u stryja w Wiśniczu i doprowadza opowiadanie do r. 1809, w którym Brodziński zaciąga się do szeregów księstwa Warszawskiego. Jednym z ciekawszych

ustępów pracy p. H. jest dokładnie zarysowany obraz ówczesnych szkół parafialnych, normalnych i gimnazyów, w których Brodziński pobierał nauki. Skreślił go autor już-to według znanych „Wspomnień“ poety, już-to na podstawie dzieła Fickera „Bericht über öster. Unterrichtswesen“, a wreszcie z rękopiśmiennych dokumentów gimnazyum tarnowskiego i krakowskiego. Okazuje się z tego szkicu jak ciasnym był ówczesny zakres wychowania publicznego, jak tendencyjnym i jedynie ku wzmożeniu germanizacyi skierowanym system edukacyjny. Nie dziw téż, że system, którego cała siła zwrócona była do przytępienia wszelkiéj samodzielności myślenia i śmielszych porywów ducha, wydać musiał pokolenie biurokratów, które stało się posłuszném narzędziem w rękach rządu ówczesnego a prawdziwą klęską dla Galicyi i jéj cywilizacyjnego rozwoju. Wychowanie to oddziałało i na Brodzińskiego i wycisnęło w usposobieniu jego owo piętno nieśmiałości i przygnębienia, które pozostało mu już na całe życie. Opisując stosunki Brodzińskiego ze starszym bratem Andrzejem w Krakowie, dotknął autor dosyć szczegółowo związków przyjacielskich tegoż z poetą Wincentym Reklewskim, autorem „Pieni wiejskich“ i uzupełnił tym sposobem szczegóły podane przez p. Gawalewicza w szkicu „O śpiewaku Wiesława.“ Widno z tego opowiadania, że Kazimierz znał dobrze Reklewskiego i że „Pienia wiejskie“ były jego ulubioną lekturą. Skłonność do refleksyi, która była jedném z charakterystycznych znamion usposobienia Brodzińskiego, objawiała się u niego od lat najwcześniejszych. Ciekawy w tym względzie i nader charakterystyczny szczegół przytacza p. H. z własnych „Wspomnień“ Brodzińskiego. Na szkolnéj jeszcze ławie w Tarnowie zastanawiał się Brodziński, czy sprawiedliwie cierpią w czyscu dusze dzieci bez chrztu zmarłych, — a za wyrażoną w tym względzie wątpliwość wobec całéj klasy odebrał plagi. W małém tedy dziecku już rozsądek i refleksya brały górę nad ślepą wiarą, aby z tém większą siłą powrócić w wieku dojrzałym. O stanie duchownym również nieszczególne wyrobić sobie musiał pojęcia, gdy wspominając o proboszczu lipnickim czyni uwagę, że tenże po „obiedzie żył dla siebie tylko i dla węgrzyna.“ Wśród wiejskiego otoczenia wychowany, sobie samemu zostawiony, nic dziwnego, że młody Kazimierz zwrócił się z konieczności do wiejskich towarzyszów. Wpływ owego otoczenia oraz poezyi ludowéj, jak ujawnił się w najpierwszych jego próbach, tak téż pozostał znamiennym rysem jego twórczości w latach późniejszych. P. Hordyński przytoczywszy wszystkie szczegóły na poparcie tego twierdzenia, do odmiennego jednak dochodzi przekonania, stając nieco z samym sobą w sprzeczności. Boć jeśli Bro-

dziński sam mówi o sobie, że „podkładał słowa pod nuty pieśni wiejskich" i „naśladował dumki od żniwiarek słyszane", a „między ludem szukał typów arkadyjskich pasterzy", to „trudno się zgodzić na zdanie p. H., że „wpływ pieśni ludowéj na pierwsze utwory Brodzińskiego jeśli był jaki, to pewnie bardzo mały." Owszem, wszystkie szczegóły i towarzyszące okoliczności zdają się wskazywać, że rzecz miała się chyba trochę inaczéj. — Powrót do szkół tarnowskich spotęgował u Brodzińskiego gorączkę poetycką, zwłaszcza po radosném uczuciu, gdy Andrzéj nadesłał mu zbiór swoich poezyi, na końcu którego umieścił kilka utworów Kazimierza. Odtąd chęć czytania wzmaga się gwałtownie w młodym poecie. Wakacye spędzone w domu pp. Służewskich w Woli Lubeckiéj dały mu sposobność zapoznania się bliższego z pisarzami XVIII-go wieku oraz z modną ówczesną poezyą sielankową niemiecką, któréj przedstawicielami byli Gessner, Kleist i Haller. Wypadki roku 1809 przerywają te dumania poetyckie młodzieńca. Echa wojen napoleńskich, rozbiegające się szeroko po kraju, uniosły wirem swym i obu Brodzińskich, z których jednemu tylko daném było powrócić do kraju. Kazimierz jako kadet artyleryi dostaje się pod rozkazy dobrze sobie znajomego Wincentego Reklewskiego. Na tym epizodzie urywa p. Hordyński swe opowiadanie, które jest bądź-co-bądź jednym z ciekawszych przyczynków do życiorysu i charakterystyki autora „Wiesława."

W. Prokesch.

= **Alfred ks. Windischgraetz** *feldmarszałek austryacki 1787—1862 przez Henryka Lisickiego.* (Kraków 1887, str. 91). — Każda chwila przejściowa w historyi, znacząca swój ślad gwałtownemi kataklizmami, wyprowadza na widownię ludzi, którzy w zwykłych, normalnych warunkach nie odegraliby może żadnéj, lub zgoła bardzo poślednią tylko rolę; w wyjątkowém jednak położeniu, dzięki bystrości umysłu, energii i rzutności, przy sprzyjających okolicznościach, postawieni na pierwszym planie widowni politycznéj, stają się bohaterami chwili dziejowéj i uosobieniem prądów bieżących. Jedną z takich osobistości, na których spoczął sąd historyi i odpowiedzialność wobec potomności, był właśnie Alfred ks. Windischgraetz marszałek polny austryacki, jeden z groźnych pogromców rewolucyi austryackiéj 1848 i 1849 roku. Historya przekazała potomności smutną pamięć tego dowódcy. Z nazwiskiem ks. Windischgretza łączy się wszędzie wspomnienie pamiętnych dni grudniowych rewolucyi, w ktorych ten człowiek, jak drugi Alba, całą swą działalność wytężał, aby silnemi środkami represyjnemi zni-

szczyć w zarodzie zarzewie niezadowolenia partyi narodowéj węgierskiéj. W ostatnich czasach ukazały się dwa dzieła, omawiające i wyświetlające wyczerpująco działalność ks. Windischgraetza i rehabilitujące w pewnéj drobnéj cząstce postać jego przed sądem historyi. Dwa pomienione dzieła, mianowicie br. Helferta „*Geschichte Oesterreichs* (Band VI, Prag 1886), oraz szkic historyczny: „*Der kk. oesterreichische Feldmarschall Fürst v. Windischgraetz, eine Lebensskizze aus den Papieren eines Zeitgenossen der Sturm-Jahre 1848—1849*“ (Berlin 1886) posłużyły p. Lisickiemu za grunt, na którym oparł swą pracę o jenerale Windischgraetzu. Wojskowa i polityczna tegoż działalność ogranicza się głównie do historyi zamieszek w Czechach, rewolucyi w Wiedniu i pierwszych lat kampanii węgierskiéj 1849 r. Na tle tych wypadków skreślił p. Lisicki życiorys generała, jego udział w ówczesnym rządzie, scharakteryzował dokładnie jego wpływowe stanowisko u dworu i czyny wojenne. Rzecz dziwna, że gdy bezstronni historycy niemieccy, ci sami, z których p. Lisicki czerpie materyał do swego szkicu, nierównie więcéj w téj sprawie interesowani, przekazali nam pamięć generała w niezbyt korzystném oświetleniu, podając go jako uosobienie absolutyzmu i srogości, czém był w istocie, p. Lisicki z materyału biograficznego z zapisków armii, wydziela troskliwie te tylko fakta i epizody, które odpowiadają jego z góry zakreślonemu zadaniu apoteozowania Windischgraetza, a pomija natomiast starannie te okoliczności, które nierównie mniéj korzystne światło rzucićby mogły na jego bohatera. Nie ulega wątpliwości, że w wielu wypadkach sąd potomności niesłusznie winę przypisał Windischgraetzowi, że krewki ten generał działając w myśl intencyi rządu, widzącego w gwałtownéj represyi całe zbawienie, przyjął na swe barki odpowiedzialność za cudze winy, które z nim dzielić winni Latour, Haynau i ks. Schwarzenberg; nie mniéj prawdą jest jednak, dostatecznie faktami historycznemi stwierdzoną, że był on jedną z najgłówniejszych sprężyn owego reakcyjnego kierunku, który znalazł swój wyraz w krwawych wypadkach w Pradze, w Wiedniu i Peszcie. P. Lisicki idąc śladem Helferta stara się pasować Windischgraetza na wielkiego męża stanu, polityka i dyplomatę. Jeżeli w istocie należał Windischgraetz współcześnie do nielicznego owego zastępu ludzi wybitniejszych, na których korona austryacka czas jakiś się wspierała, to zawdzięcza sławę tę głównie energii rzadkiéj, a tak pożądanéj w ówczesnych stosunkach, nie liczącéj się z środkami i następstwami. W zapatrywaniach politycznych był to jeden z najzatwardzialszych zwolenników dawnego systemu, stojących uparcie przy roszczeniach korony i opierających się całą siłą wszelkim nowatorstwom. Stąd

téż musiał stanąć w gwałtownéj rozterce z silnym podmuchem prądów przeciwnych i zetrzéć się z nimi, a w następstwie uniósł na swych barkach całe brzemię odpowiedzialności. Gdyby nie wskazane usterki, szkic p. Lisickiego byłby wcale ciekawym i pożądanym przyczynkiem, wyświetlającym mało dotąd znaną epokę ruchów rewolucyjnych w Austryi, tém ważniejszym dla nas, że autor niejednokrotnie dotyka stosunku Galicyi do całości monarchii i udziału jéj pośredniego w owych ogólno-państwowych wypadkach. *P.*

= **Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych** *wydawane przez krajowe biuro statystyczne pod redakcyą Prof. Dra Tad. Pilata.* (T. XI. Z. I. Lwów, 1888, 4⁰, 79). — Istniejące od lat kilku przy wydziale krajowym we Lwowie biuro statystyczne ogłasza peryodycznie wyniki badań swych w publikacyi objętéj powyższym tytułem. Badania te odnoszą się do najżywotniejszych objawów w gospodarstwie krajowém i opracowywane są po największéj części na zlecenie sejmu lub wydziału krajowego, służąc za podstawę prac ustawodawczych. Podobne zadanie ma i niniejsza publikacya. Zamierzona reforma galicyjskiéj ustawy gminnéj spowodowała potrzebę dokładnego rozpatrzenia gospodarki miast i miasteczek w Galicyi, a to z uwagi, że pogląd na zarząd gospodarczy najlepiéj pozwoli ocenić życie i działalność każdéj poszczególnéj gminy i zbadać, o ile miasta spełniają ciążące na nich obowiązki i zadania administracyi publicznéj, a tém samém w jakim kierunku należy wprowadzić zmiany w nowéj ustawie. Wypełniająca pierwszą część tomu praca p. Karola Kucharskiego, zatytułowana „Gospodarstwo 37 gmin miejskich w Galicyi wraz z poglądem na ich stan majątkowy“, przynosi pod tym względem wyczerpujące dane. Znajdujemy tu zestawiony dokładnie na podstawie urzędowych wykazów stan majątkowy 37 gmin miejskich w r. 1886 (z wyjątkiem Krakowa i Lwowa) ich dochody, wydatki, wysokość cyfry podatkowéj, wydatki na szkoły, policyą sanitarną i ogniową i inne w zakresie obowiązków gmin leżące ciężary. Poszczególnie cyfry owe przedstawiają się jak następuje. Dochody tak zwyczajne jak nadzwyczajne rzeczonych miast wynoszą ogółem 2,345,009 złr.—wydatki 2,426,730, niedobór przeto przedstawia się w sumie 81,721 złr. w. a. W 21 miastach wydatki nie dochodzą do 50,000 złr. rocznie, 8 miast mianowicie: Bochnia, Brody, Drohobycz, Nowy sącz, Podgórze, Sambor, Trembowla i Wadowice mają od 50,000 do 100,000 złr. wydatku, 4 miasta mianowicie: Przemyśl, Rzeszów, Stryj, Tarnopol od 100 do 150 tysięcy, Kołomyja i Tarnów od 150 do 200 tysięcy, Jarosław 217 tysięcy, Stanisławów 301,000 wydatku. Z pozycyi rozchodów najwyższa cyfra wypada na rubrykę: „wydatki administracyjne“,

a mianowicie płace i emerytury wynoszą 436,837 złr., nabytki majątkowe (budowle i zakupna) 411,643 złr., spłata długów 362,505 złr., szkoły 268,076 złr., podatki 174,877 złr., bezpieczeństwo publiczne 148,388 złr., drogi, ulice, mosty 120,090, kwaterunek wojska 102,669, wydatki sanitarne 20,710 złr. i t. d. W dochodach najwyższe pozycye wykazują propinacya i opłaty od trunków 969,439 złr., dodatki konsumcyjne 131,218 złr., targowe, kopytkowe i myto 103,938 złr. Wykaz stanu majątkowego tych miast przedstawia wcale poważne cyfry: w nieruchomościach 6,054,237 złr., w kapitałach 1,172,932 złr., w zaległościach czynnych 493,642, w sprzętach, narzędziach i materyałach 181,490 złr., w pozostałości kasowéj 60,316, wreszcie wartość skapitalizowanych dochodów z praw i przywilejów 11,260,253 złr. Ogółem stan czynny 19,222,870, bierny 4,177,269, nadwyżka przeto stanu czynnego wynosi 15,045,601 złr. Drugą część tomu wypełnia tegoż autora pokrewna treścią praca p. t. „Stan urzędników gminnych w 37 miastach Galicyi. Z ujętego w tabele wykazu, okazuje się, że liczny personel urzędniczy pod względem kwalifikacyi i studyów bardzo wiele pozostawia do życzenia. I tak uderzającym jest fakt, że na 46 urzędników konceptowych w dziale administracyi zaledwo 5 odbyło studya prawnicze, 21 pokończyło po kilka klas gimnazyalnych lub realnych, a 7 zaledwo szkoły ludowe. O hiperprodukcyi inteligencyi w téj sferze chyba mowy być nie może. Obiedwie prace p. Kucharskiego zalecają się ścisłością i starannością opracowania, opatrzone są komentarzem wyczerpująco objaśniającym wykazy cyfrowe i są tém samém ze wszech miar pożądanym przyczynkiem do poznania stosunków miast galicyjskich. *P.*

= **Podręcznik prawa politycznego** *napisał Dr. Franciszek Kasparek prof. uniw. jagiell.* (Tom I. Kraków, 1888, str. 458. Nakład Żupańskiego i Heumanna). — W ślad za wydaném przed kilkoma laty dwutomowém dziełem „Prawo polityczne" oddaje obecnie prof. Kasparek na użytek słuchaczów swoich podręcznik powyższy, w którym zgodnie z postępem i wymaganiami nauki opracował na podstawie najnowszéj, zagranicznéj i krajowéj, literatury przedmiotu wyniki ostatnich badań. Jest książka ta streszczeniem całéj niemal literatury w dziedzinie prawa politycznego ogólnego, a tém samém uwalnia uczącego się od uciążliwego poszukiwania wielu monografii i studyów, dotyczących poszczególnych kwestyi. Przedmiot sam, opracowany z wielką ścisłością i sumiennością, głównie na teoryach Bluntschli'ego i Mohla, podzielił autor na kilka działów. Tom pierwszy mieści, obok wstępu rozjaśniającego zasadnicze pojęcia z dziedziny prawa politycznego, dwa działy. Pierwszy traktuje o prawném znaczeniu i terytoryalném istnieniu kraju i pań-

stwa, o ludności, jéj prawach i atrybucyach, drugi o władzy państwowéj, jéj organizacyi, o władzy monarchicznéj, jéj zakresie, o następstwie tronu, o stosunku monarchy do reprezentacyi krajowéj, organizacyi władzy najwyższéj w państwach złożonych, wreszcie o urzędach i systemach ich organizacyi. Jako podręcznik naukowy książka odznacza się nader jasnym i przystępnym wykładem, a jedyny zarzut, jakiby jéj uczynić można, jest zbytnia obszerność w stosunku do założenia. Zarówno dla uczącéj się młodzieży, jak i dla szerszych kół świata prawniczego dzieło prof. Kasparka jest wielce pożądanym nabytkiem, wzbogacającym skąpą naszą literaturę prawniczą i posuwającym naprzód badania naukowe w odnośnéj dziedzinie. *P.*

= **Na pobratymczéj ziemi, Zwycięzca, Doczekali, Syn Kmiecy.** *Cztery powieści dla dorastającéj młodzieży przez Teresę Jadwigę. Z rycinami W. Gersona.* (Warszawa, Ferd. Hösick. 1889, str. 320). Niejednokrotnie już na tém miejscu była mowa o powieściach Teresy Jadwigi dla wieku młodocianego pisanych; rokrocznie wypadło zaznaczać pewne w nich udoskonalenia zarówno pod względem wartości pomysłów jak i formy literackiéj. Teresa Jadwiga pracą długoletnią a wytrwałą i sumienną zdobyła sobie zaszczytne miejsce wśród spółczesnych autorów na polu belletrystyki wychowawczéj; książki jéj chętnie są czytane przez młodzież i doznają przychylnego od krytyki przyjęcia. Obecnie ogłoszone cztery powieści osnute są na tle dziejowém: dwie wzięte z historyi pobratymczych narodów : czeskiego i serbskiego, dwie z naszéj własnéj. W pierwszéj („Na pobratymczéj ziemi") przenosi autorka wyobraźnią czytelników na początek wieku XV, kreśli stosunek Czechów do Niemców, opowiada o zakochaniu się Czeszki Maryi w rycerzu niemieckim i wyjściu zań wbrew woli ojca, a wreszcie maluje tragiczne losy jéj podczas wojen husyckich, gdy jéj syn, wychowany przez ojca, walczy przeciw jéj współbraciom, szturmuje do rodzinnego gniazda, w którém ona wraz z córką sprzyjała sprawie czeskiéj całą duszą. Cierpienia matki nieszczęśliwéj, która zapóźno błąd swój połączenia się z Niemcem w skutkach fatalnych poznała, oddane są z mocą i prawdą. W powieści „Doczekali" Teresa Jadwiga korzystając z motywów, zawartych w znakomitym utworze Jeża „Uskoki", opowiedziała dzieje ucisku Serbów pod panowaniem tureckiém nakrótko przed wybiciem się ich na względną swobodę za Jerzego Czarnego; poniewierany naród doczekał zorzy wolności. W „Zwycięzcy" mamy przedstawione dzieje młodocianego wieku Leszka Białego, cierpienia i zawody, jakich on wraz z matką doznawał, gdy Mieszko Stary zasiadł na tronie, stałość w przyjaźni i ufności dla Gowor-

ka, zwycięstwo pod Zawichostem i objęcie władzy wielkoksiążęcéj po Władysławie Laskonogim. „Syn kmiecy“ wreszcie zawiera treść, która nieprawdopodobną nie jest, ale niedostatecznie została przez autorkę w źródle swém umotywowaną. Idzie tu o zamienienie dzieci, dokonane przez wieśniaka podczas podróży choréj wojewodzinéj. Stało się to wprawdzie wśród warunków nadzwyczajnych; bo zarówno matka jak piastunka dziecka umarły w drodze, ale zawsze pozostałjeden żywy świadek, który znał dzieko pańskie, a tym był woźnica. A jednak on wątpliwości swych co do panicza nie zdradził na razie, ani téż wojewoda Rytwiański, który z wyprawy długotrwałéj powróciwszy, nie znał swego dziecka, nic nie przedsiębrał, by o szczegółach śmierci swéj żony dokładne zebrać wiadomości. Autorka przedstawiwszy zamianę dzieci, na tém urywa i wprowadza wypadki dopiero po latach dwudziestu, gdy podczas uroczystości zaręczyn wojewodzica z Hanną Orzelską zjawia się rzeczywisty syn wojewody, wychowany wśród kmieci, niezgrabny, śmiészny, bez ukształcenia i popierany przez drobną szlachtę dopomina się praw swoich. Ojciec poczytuje go za awanturnika, wskutek wielkiego wzruszenia umiera; po jego śmierci, gdy wojewodzic przekonał się, że istotnie jest synem kmiecym, oddaje wszystko prawemu synowi, a sam postanawia własną zasługą dobić się stanowiska w świecie. Przy protekcyi króla Jana podczas wyprawy wiedeńskiéj staje w szeregu najznakomitszych rycerzy, podczas gdy ów Rytwiański ze krwi, choć walczy dzielnie, ale pochopu do poświęcenia i usług nadzwyczajnych nie okazuje. Obdarzony szlachectwem „syn kmiecy“ otrzymuje rękę Hanny, która Rytwiańskim wzgardziła, czém tenże upokorzony postanawia nabyć ukształcenia, w tém przekonaniu, że krew sama, pochodzenie bynajmniéj jeszcze nie stanowi o zacności, szlachetności i wyższości charakteru. Ta ostatnia nauka stanowi oczywiście główną dążność powiastki i dla niéj to owa zamiana dzieci obmyślona została. Język i styl wszystkich czterech utworów odznaczają się czystością, poprawnością a niekiedy nawet pięknością; o plastykę stara się autorka usilnie.

= **Generał Filip Hauman i rodzina Antoniego Malczewskiego** *przez Kajetana Kraszewskiego* (odbitka z Biblioteki Warszawskiéj) Warszawa, 1888, str. 78 + II. Książeczka to bardzo ciekawa mianowicie ze względu na nieznane dotychczas szczegóły o matce twórcy „Maryi“. Była ona jedną z pięciu córek Błeszyńskich, tak pięknych, wesołych, miłych i powabnych, „że trudno było nawet którejkolwiek z nich przyznać palmę pierwszeństwa“. Imię jéj było Konstancya; wielbiciela i męża znalazła r. 1779 w kapitanie Haumanie, słyn-

nym w Warszawie z piękności. W początkach r. 1790 został Hauman podpułkownikiem w regimencie, którego szefem był Jan Malczewski, szlachcic herbu Tarnawa, dziedzic Radziwiłowa i Miropola, posiadacz Kniahinina w Dubieńskiém oraz współposiadacz Mazepiniec i Ksawerówki. Szefowi podobała się wielce żona podpułkownika, która choć miała już pięcioro dzieci, była przecież zawsze jeszcze jedną z najpiękniejszych kobiet w Warszawie, lubiła się bawić i przyjmować gości. Pani Konstancya była z usposobienia kochliwą i przyjmowała chętnie hołdy szefa, prowadziła jednak romans z wielką ostrożnością, starając się unikać nawet pozorów. W r. 1791 wyruszyła razem z mężem na Ukrainę, dokąd wojska polskie się zbierały. Kwatera Haumana znajdowała się w osadzie Jasnohorodku, o cztery mile od Kijowa. „Służba wymagała nieustannéj czujności w strzeżeniu posterunków, na znacznéj rozciągnionych przestrzeni oraz luk przejezdnych i samego granicznego (od Rosyi) pasa. Pułkownik w ciągłéj był pracy i rozjazdach, z których nieraz dopiero w noc późną powracał". Pułkownikowa tymczasem używała zabaw, spacerów i wycieczek w licznéj asystencyi wielbicieli a między nimi i samego szefa regimentu. Gdy pewnego razu mąż wrócił do domu, „nie zastał ani żony, ani ludzi kilku ze służby, ani zasobów domowych, ani własnych nawet rzeczy niektórych i... kasy lubo nie bogatéj". Stało się w samym początku lata 1791 roku. Haumanowa pojechała do Warszawy, a w znacznéj części podróży „eskortował" ją Malczewski. Tu zatrzymawszy się niedługo, podążyła do Szewny w Sandomierskie, gdzie mieszkała jéj siostra Maryanna, która wykradła się była z domu matki z rotmistrzem Toczyskim. Z Szewny napisała „piorunujący" list do męża, żądając rozwodu. Ciągle jeszcze zakochany mąż o rozwodzie nie myślał, sądząc, że przyjdzie do porozumienia z awanturnicą i dlatego listami starał się ją uspokajać. Omylił się jednak. Haumanowa nastawała na rozwód, proces się rozpoczął; ona osiadła w klasztorze wizytek w Warszawie. Tymczasem Targowica zwyciężyła. Malczewski „mniéj może z przekonania jak raczéj dla uniknienia prześladowań od nowo zaprowadzającego się rządu, podpisał akt targowicki, chcąc ochronić znaczne posiadane na Wołyniu majątki". Otrzymał tedy stopień generał-letjnanta z dodatkiem znacznéj pensyi oraz wielu wstęg i orderów. W końcu marca 1792 stanął wreszcie „dekret ostatni rozwodowy" a Haumanowa, donosząc o tém byłemu mężowi, zawiadamiała, że zaraz nazajutrz bierze inne „przezwisko"; równocześnie zaś zapewniała o swojéj „przyjaźni" i nawzajem prosiła, żeby były mąż nie odmawiał jéj swojéj. Hauman wyzwał Malczewskiego na pojedynek dopiero pod koniec r. 1793, ale król sam

wdał się w tę sprawę i polecił pułkownikowi odstąpić od zamiaru. Hauman, mając na uwadze los trojga dzieci żyjących, które mógł wychować jedynie z pensyi pobieranéj w wojsku, puścił rzecz w odwłokę i do pojedynku już nie przyszło, tém bardziéj, że dalsze wypadki krajowe całkiem pochłonęły jego czas i uczucia. Dzieci jego odziedziczyły po matce niestały jéj charakter i burzliwe usposobienie. Edward po burzliwéj młodości, przepadł gdzieś bez wieści w Ameryce wraz z przyrodnim bratem swoim Konstantym Malczewskim (bratem poety), Filipina wyszedłszy za Sobolewskiego, niedługo z nim żyła, puściła się na bezdroża, włóczyła się po całym świecie, pojawiała się i znikała, straciła wszystko, zmarniała i w ostatnich latach życia zeszła do torby żebraczéj, w miasteczku posługując żydom. Jedyna jéj córka Eudoksya w młodych leciech spadła do najniższych warstw miejskiego motłochu i znikła gdzieś na bruku warszawskim. Najstarsza tylko córka Konstancya, wychowana w domu Kickich, wyszedłszy za Walentego Markowskiego, normalnie, jak się zdaje, przepędziła życie. Co się tyczy Haumanowéj, ta wyszedłszy za Malczewskiego i urodziwszy dwu synów, Antoniego i Konstantego, zmarła r. 1800. Malczewski wielce jéj żałował, błagał o przebaczenie Haumana za rozerwanie związku małżeńskiego i uczynił zapis na rzecz ich dzieci. Rzecz całą osnuł p. Kraszewski na listach i innych autentycznych dokumentach.

— **Alfred Nossig**. *Poezye*. (Lwów, nakładem czasopisma „Ruch“ 1888, str. 237). Autor „Tragedyi myśli“ jest poetą refleksyjnym, którego więcéj interesują wewnętrzne przejścia duszy niż zewnętrzne wypadki, który lubuje się w zgłębianiu własnéj jaźni lub pokrewnych sobie duchów i stara się wyłowić z nurtów życia perełki natchnienia. Często, niewątpliwie, bierze pięknie błyszczącą kulkę szklaną za perłę rzeczywistą, paradoks czy wybryk fantazyi za myśl głęboką, ładny frazes za spostrzeżenie, ale nieraz téż istotnie połów mu się udaje. Środek, służący mu do wyjawienia wobec ludzi tego, co duchem swym zdobył, to jest język i styl, nie jest jeszcze dostatecznie podatny wszystkim chęciom autora, niekiedy nawet kompromituje go wobec gramatyki, ale bądź-co-bądź posiada dużo żywotności i przy odpowiedniéj uprawie stać się może dzielném narzędziem myśli. Woli p. Nossig prozę niż wiersz i swobodniéj włada pierwszą niż drugim. Co do poglądów na życie, chętniéj się skłania ku pesymizmowi niż krytycznemu rozpatrywaniu dobrych i złych stron tego świata; zdecydowanym jednak pesymistą nie jest, raczéj człowiekiem, który sam błądzi w ciemności i szuka dopiero drogi prawdy, niezadowolony ścieżkami, dawniéj już udeptanemi: jest „jako górnik, który w szachtu głębi w zbyt gorliwéj pracy roz-

bił lampę własną i ślepym żalem zdjęty płacze lub miota kruszcu odłamami", chciałby się wydobyć na powierzchnię złotém słońcem oświeconą, ale mu sił ku wykonaniu tego zamiaru nie starczy—przynajmniéj na teraz. Nie rozpacza więc; siebie i innych zachęca do wytrwałości, bo czuje w sobie moc, co górą go niesie. Marzycielstwo jest mu zapewne przeszkodą do wydobycia się na jaśnię, ale jest téż i siłą, co mu tęcze kładzie na chmury życia. W „Pamiętniku Daniela" w sposób trochę niejasny kreśli poeta przejście duszy gorącéj, szlachetnéj, spragnionéj czynu, lecz ranionéj ciągle kolcami niepowodzeń, zawodów, niezrozumienia przez ludzi, oraz własnych wątpień i niepewności spowodowanych kontrastem idealnych marzeń i chuci zwierzęcych, samolubstwa i miłości bliźniego, pragnienia wiedzy prawdziwéj i niemożności jéj znalezienia. Po odtworzeniu mrocznych obłąkań swéj duszy, Daniel kończy swój pamiętnik zapewnieniem, że będzie pracował „dla ludzkości", i że praca ta wleje mu najwyższą błogość w serce; ale zakończenie takie nie jest prostym i naturalnym wypływem poprzedzających je procesów, raczéj dosztukowanym tylko finałem; zamało bowiem uwydatnił poeta te motywa które bohatera jego na drogę pracy „dla ludzkości" pchnęły. „Król Syonu" jest dramatem historycznym, obrazującym chwilę powstania Żydów przeciw uciskowi Rzymian za Hadryana pod dowództwem Bar-kochby. Po raz to już drugi w naszéj literaturze temat się ten pojawia. Przed laty obrobił go p. Faleński w „Synu Gwiazdy" zarysowując różne stronnictwa wśród Żydów owoczesnych i stwarzając tragiczne położenie w stosunkach samegoż Bar-kochby względem przybranego ojca i mniemanéj siostry. Teraz p. Nossig uwydatnia w Bar-kochbie, zgodnie z własném usposobieniem, wewnętrzny rozłam, niewiarę w obrządki religijne, któremi jednak dla tłumu posługiwać się musi, pogardę dla tych, na których czele stoi, nader wielką wrażliwość na wdzięki niewieście, co ostatecznie burzy jego ambitne plany, gdyż nadesłana przez Rzymian hetera grecka Dejanira wyłudza u niego tajemnicę obrony miasta i zdradza ją. Kilka scen początkowych, w duchu Szekspira napisanych, celuje mocą wyrażenia; pierwsza scena Bar-kochby z Dejanirą ma dużo wyrażeń szczęśliwych: w słowach mądrego trefnisia Abimelecha wiele jest rozumnych myśli; ale całość nie sprawia dramatycznego wrażenia, nie budzi uczucia grozy, nie przejmuje i nie wstrząsa duszy. „Poemat o człowieku" w stylu biblijnym przedstawia dwustronność natury ludzkiéj w dobrém i złém, w zmysłowości i pragnieniach idealnych, w szlachetności i nikczemności. W dopisku autor wzmiankuje, że ostatecznie „wszelkie pierwiastki dwoiste w jedno spływają źródło", lecz twierdzenie to pozostaje

wobec poematu samego dodatkiem tylko, tak samo jak owa praca „dla ludzkości“ w „Pamiętniku Daniela“. W „Rytmach“ są tu i owdzie myśli trafne i obrazowanie piękne. W „Monologach“ przedstawia autor pod potronatem wielkich imion (Napoleon, Goethe, Michał Anioł, Chrystus) niepospolitéj wagi kontrasty: władzy i wolności, miłości i refleksyi, natchnienia i wykonania, poświęcenia i egoizmu. Wszystkie „Poezye“ p. Nossiga budzą i zapładniają myśl.

= **Poezye Konstantego Leona Kaszyńskiego** (*Warszawa, 1888, str. 127*). Autor, występujący, jak się zdaje, po raz pierwszy na widownię literacką, ma wielką łatwość wierszowania bylejakich rymów i wyobraża sobie być może, iż poezya równoznaczna jest z rymoróbstwem. Nie można mu bynajmniéj zarzucić braku myśli, owszem widocznêm jest u niego zamiłowanie do zastanawiania się nad zagadnieniami ważnemi pod względem społecznym, np. gdy w utworze, na 6 części podzielonym, p. n. „Potwory“ rozwija dzieje chłopca, który napojony przez ojca przewrotnemi zasadami, dotyczącemi cudzéj własności, psuje się do gruntu w więzieniu, przedstawionêm jako rozsadnik występków i zbrodni,—ale tych myśli swoich nie umié ubrać w odpowiednią formę tak dalece, iż mimowolnie wywołuje efekt nie poważny, lecz humorystyczny. Podobnież nie jest np. bezpodstawną myśl, iż wielu troszczy się, naturalnie dla własnéj zabawy, więcéj o zwierzęta niż o współbliźnich, ale gdy myśl ta przedstawiona jest w formie prośby chłopca skierowanéj do jakiegoś pana, żeby go zrobił małpą w ogrodzie zoologicznym a zwłaszcza gdy forma sama jest rozwlekła i wodnista: to uśmiéch czy śmiéch nią wywołany zatrzéć może zupełnie trafność spostrzeżenia. Gdyby np. autor wyraził ją był w formię zwięzłéj bajki ze szczęśliwie dobranemi wyrażeniami, wcaleby się z niéj śmiać nie wypadło. Najwięcéj pretensyi do jakiejś podniosłości, która zdaje się wcale nie leżéć w zakresie uzdolnienia p. K., ma „sen“ jego zatytułowany „W niebiosach“. Że autorowi zaczytanemu w astronomii mogły różne przychodzić do głowy myśli, to rzecz bardzo naturalna, ale żeby one mogły zainteresować czytelników, na to potrzebaby i większéj nauki i większéj jasności w wyrażeniu mniemanéj „syntezy“. W rozmowie z Bogiem autor posłyszał bardzo piekną naukę, że powinien starać się zostać „słońcem“ wśród ludzi „w ziemskiéj sferze“, ale dziwna, że nawet we śnie uwierzył, iż już jest słońcem; dość byłoby chyba, żeby postanowił wzlatywać w słoneczne krainy prawdy i piękna. Refleksya ta przyszła autorowi do głowy, lecz trochę zapóźno, nie chciał przemazywać, co raz napisał, i zadowolnił się tylko dołączeniem prośby do Boga, która może być także prośbą do cierpliwych czytelników:

Więc Cię błagam, drżąc w pokorze...
Mym polotom—przebacz, Boże!..

— **Dziwak**. *komedya w 5-ciu aktach, napisał Aleksander Mańkowski* (Warszawa, Gebeth. i Wolff, 1887, 151). Autor „Minowskiego“ w téj drugiéj z kolei komedyi swojéj. więcéj się starał o przeprowadzenie myśli rozumnéj, mogącéj miéć zastosowanie praktyczne niż o artystyczne odmalowanie charakterów, wprawionych w ruch za pośrednictwem dobrze obmyślanéj akcyi. Idzie mu bowiem jakby o przeciwstawienie karykaturze Dembora, narysowanéj niegdyś przez Kraszewskiego w „Chorobach wieku“, ideału dobrego obywatela, który umié i chce się rachować, który wszystkie siły pragnie produkcyjnie zużytkować, nie pobłaża nie tylko grzechom, ale i słabościom nawet, ciągnie możliwie zewsząd korzyści, a stąd uchodzi za twardego, nieużytego łapigrosza, w duszy swéj jednak i w widomych skutkach zabiegów swoich przedstawia się nam jako człowiek zarówno rozumny, jak szlachetny i uczuciowy. Ten idealny Hrabia (taki tylko ma w komedyi epitet) wśród otoczenia bardzo smutnie wyglądającego pod względem moralnym i społecznym, gdyż tak zwane wyższe sfery próżnują i marnują fortuny, a dla podreperowania ich koligacą się z tymi, którymi w duszy pogardzają, średnia zaś szlachta, lubo poczciwa, nie umié a po części nie chce pracować,—stara się podziałać zachętą, radami a przedewszystkiém przykładem własnym na odrodzenie społeczeństwa, na zwrócenie go ku nauce, pracy i oszczędności. Ponieważ autor nie chciał malować swego obrazu w duchu pesymistycznym, pozwala więc Hrabiemu cieszyć się, choć częściowo, owocami swéj zabiegliwości i trudów; przy jego pomocy rodzina ociężałego, rozleniwiałego nieuka, obywatela Doboszowicza potrafiła wyratować się z grożącéj tuż-tuż ruiny; przy jego pomocy syn książęcy Jerzy wyrywa się „ze skażonego koła, w jakiém wirują wyższe sfery“, nie dopuszcza się małżeństwa z córką bogatego bankiera narzucanego mu dla interesu i pozyskuje serce i rękę córki Hrabiego; pod jego rządami syn Roman zaprawia się do roboty u obcych i wysługuje sobie rękę Maryni, córki poprawionego Doboszowicza, będącéj u Hrabiego dla próby w roli klucznicy. Wszystko doskonale się kończy, tylko ażeby szczęście osób z komedyi nie wyglądało zbyt banalnie, widzimy w ostatniéj scenie samego Hrabiego, krzepiącego się jedynie pracą i uszczęśliwianiem innych, ażeby nie poddać się rozpaczy, że wobec ogólnéj apatyi tak mało zrobić mu się dobrego udaje. Położyłem nacisk na stronę tendencyjną komedyi, gdyż jest on i w samym utworze; byłoby jednak niesprawiedliwością, gdybym nie zaznaczył, że i pewne strony artystyczne bardzo pięknie zostały obrobione. Malowanie mianowicie rozmowy i zachowania się młodych poczciwych trzpiotów, oraz rubasznych figur szlacheckich, jak

w „Minowskim“ tak i w „Dziwaka“ do najlepszych części komedyi należy; dyalog, jeśli tego sytuacya wymaga, jest żywy i prawdziwie dramatyczny, od czasu do czasu pojawiają się i dowcip słowa i sytuacye rzetelnie komiczne. Kompozycya tylko, układ scen, wchodzenie i wychodzenie osób szwankuje na wielu miejscach; akcya nie jest należycie ustopniowana, rozwija się zwolna, jak zazwyczaj w naszych powieściach. Na pochwałę wreszcie „Dziwaka“ powiedzieć należy, że język w nim jest czysty i poprawny; dykcya staranna i zastosowana do stopnia ukształcenia i charakteru osobistości dramatycznych.

= **Hanka**, *powieść podolska przez J. S. Wierzbickiego.* (Warszawa, 1888, str. 190). — Powieść wierszowana większych rozmiarów jest dzisiaj bardzo rzadkiém zjawiskiem, gdyż smak ogółu i nastrój chwili odwróciły się od tego rodzaju twórczości. W jednostkach oczywiście upodobanie dawniejsze może trwać, a jeżeli do upodobania dołączy się talent, nieprzeparcie dążący do ujawnienia swych natchnień, to powstaje poemat, który autor własnym musi drukować nakładem. P. Wierzbicki nie po raz pierwszy występuje na polu poezyi; przed laty już kilku wydał zbiorek wierszy i obecnie daje nam poemat w IX rozdziałach, malujący żywo i barwnie życie na wsi podolskiéj, a w szczególności miłość Hanki, córki „ladaszczego Hrycia“ z Iwanem, synem wielce zamożnego i ambitnego gospodarza Makara, miłość, któréj na przeszkodzie staje z jednéj strony uparta i zawzięta niechęć Makara, a z drugiéj zaloty „pana agronoma“ czyli poprostu ekonoma Śnieżki, który przy pomocy arendarza Szlomy i „czarownicy“ Horpyny usiłuje Hankę ku sobie pociągnąć. W opowiadaniu o téj miłości i w przedstawianiu życia wiejskiego p. Wierzbicki dziwnie łączy swą skłonność do romantycznego, idealistycznego traktowania przedmiotu z wpływami realistycznemi, jakie z atmosfery literackiéj dzisiejszéj nań działały. Nie pomija np. trywialnych objawów pijatyki i bójek karczemnych, rozpowiada o uriadnikach, sockich, starszynach, kozie gminnéj z właściwą tym osobom i przedmiotom charakterystyką, nie przemilcza pospolitych przekleństw i wyrażeń rubasznych, ale jednocześnie spotkanie kochanków urządza ile możności jaknajpoetyczniéj, w słowa ich wléwa wdzięk subtelny, chorobliwy jednak nieco Słowackiego, a nawet nie rachuje się z czasem i gdy mu tego potrzeba, każe rosnąć trawie tam, gdzie przed tygodniem jeszcze stało ognisko chaty wieśniaczéj (str. 178); słowem sielanka i rzeczywistość plączą się z sobą ciągle w poemacie p. Wierzbickiego. W rozwinięciu dziejów miłości widoczny jest brak planu z góry dobrze obmyślanego; przez czas dość długi przysłuchujemy się i przypa-

trujemy dość jednostajnym objawom zalotów Iwana i Śnieżki i równie jednostajnemu zachowaniu się Hanki wobec spółzawodników. Rysunek Hrycia nie ma pewnych zdecydowanych linii, lecz w jakieś migotliwe cienie jest spowity; w postępowaniu jest to właściwie zwykły lichy pijaczyna, który nałogowi oprzéć się długo nie jest w możności. Stanowcza chwila w stosunkach Iwana i Hanki następuje wówczas dopiéro, gdy Iwan oświadczywszy wobec ojca chęć zaślubienia ukochanéj, znieważony przez rodzica, porywa się nań z pięścią i zostaje osadzony w areszcie; wtedy téż wypadki szybko po sobie następują; umiera Hryć, Hanka przenosi się do swego krewnego w ustronnym futorze, jéj chatę i grunta oddają, za sprawą Makara, gminie, Iwan z kozy ucieka, wmawiają weń, że Hanka usłuchała namów ekonoma i została jego kochanką, czemu Iwan uwierzywszy bez sprawdzenia, żeni się z Naśtią; Hanka chce się topić, wyratowana wpada na wesele Iwana i miota na nowożeńców przekleństwa, poczém idzie w świat, a autor pociesza czytelnika, że bohaterce poematu może lepsza zaświéci dola. — Gdyby p. Wierzbicki równomierniéj przedstawił wypadki, to powieść jego zyskałaby wiele; zajmowałaby więcéj, gdyż byłaby bardziéj urozmaicona. W obecnym stanie zaletą jéj nie są charaktery, ani konstrukcya, tylko sytuacyi kilka pięknie skreślonych i pełne prawdziwéj poezyi krajobrazy, kreślone z miłością i talentem; np. na samym początku część obrazka wioski podolskiéj:

Tam obok każdéj chaty, krytéj słomą
Szumi maleńki sadek owocowy.
Gdzie drzew gałęzie stanowią ruchomą
Osłonę w skwary dla dziatwy wioskowéj,
I owocami pod dach zieloności
Zdają się nowych wciąż przynęcać gości.
Tam rozłożyste grusze i jabłonie
Stoją w wspaniałéj, liściastéj koronie,
Obok śliwkowych drzew małéj urody
I wiśni, których czerwone jagody
Prześlicznie mienią się w słonecznym blasku;
A wyżéj, wyżéj, niby dąb wśród lasku,
Do góry strzela po nad sadu drzewa
Wzniosła czereśnia i w słońcu dojrzewa.

= **Tytan. Arion z Koryntu**. *Wydanie nowe*. (Kraków 1889, s. 71). Po 23-ch latach pojawiają się nanowo te poemata, w których dusza młodzieńcza, wykarmiona tworami romantyki swojskiéj, pragnęła wypowiedziéć swe uczucia i myśli, obudzone ówczesnemi okolicznościami. Uczucia-to podniosłe i myśli szlachetne, ale omroczone cieniami zwątpień i niemal rozpaczy, gdyż bolesne doświadczenie życia zatruło już niejedną chwilę poety. Przy charakterze marzycielsko-refleksyjnym raczéj niż skłonnym do natychmiastowego czynu przybrały one cechę zadumy smutnéj, razporaz zmieniającéj swój charakter, to ufnéj, to trwożnéj, to bluźnierczéj, to kornéj, bo męka wewnętrzna nie daje spokoju poecie i zmusza duszę jego do wahań ustawicznych. Obok tego duchowego rozdarcia zauważyć téż

można, mianowicie w „Tytanie“, jakby umyślną niejasność obrazów, ogólnikowość, niedomówienia, które czytelnika nie mogą usposabiać do spokojnego cieszenia się pięknem estetycznem lub też do myślowego porozumienia się z autorem. W nieoznaczoném miejscu i czasie, na jakimś zamku średniowiecznym, ów „tytan“, bohater-młodzieniec robi wyznania wobec mnicha, jak w „Giaurze“ Byrona, lub jak we „Fragmencie“ Korzeniowskiego, z tą atoli ważną różnicą, że wyznania te, to tylko napomknienia, które trzeba sobie wyobraźnią dopełniającą dosnuwać, ażeby jakąś całość otrzymać. Tytan był z początku jakimś bohaterem ludzkości, wodzem „morderców niewoli“, walczył z „przesądami“, ale gdy się zawiódł w swych nadziejach, matka mu wskazała cel bliższy — usługi dla własnego narodu. Spełnił te usługi (jakie, domyślać się tylko można) i za to na śmierć skazany. W ostatniéj chwili ukochana jego, przybrawszy się w strój mnicha, z nim razem pod gradem kul śmierć znalazła. Widać z téj ostatniéj sceny, że to chyba dawno dziać się musiało.—„Arion z Koryntu“ to nie jest ów sławny pieśniarz, którego delfiny z upragnieniem słuchały, ale jakiś gorący poeta z czasów, gdy Hellada „śmiertelną złożona była niemocą“, gdy Rzym „pogański“ pod hasłem oswobodzenia uciskał ją srogo i gdy lud grecki nie odczuwał już swéj sromoty i w igrzyskach szukał zapomnienia. W ładnéj, ale niestety, niezbyt silnéj przemowie starał się Arion ducha we współziomkach obudzić i zagrzać do walki z Rzymem. Napróżno jednak zapewniał, że mu „rozdziera piersi natchnienie“; nie starczyło ono do zelektryzowania narodu. „Każdy“ patrzył na śpiewaka „z wzrokiem podziwienia“, iż śmiał „z zapadłych mogił cmentarzyska oderwać głazy krwią dyszące jeszcze, gdy miecz przy boku najeźdźców połyska.“ Naród obdarzył poetę tylko wawrzynami, lecz do czynu się nie zerwał. Raz jeszcze spróbował Arion przemówić do duszy i chcąc przykładem podziałać, cisnął po skończeniu pieśni swą arfę w skronie wodza najezdników rzymskich;— a wówczas zginął pod ciosami wrogów, lecz cel swój osiągnął lud grecki wszedł w zapasy z Rzymianami. Na tém urywa nasz autor, boju nie kreśli, sławi tylko pamięć poety. — Wersyfikacya w obu utworach nie jest zaniedbana, ale do wytwornych zaliczyć ją trudno. „Tytan“ mniéj zasługiwał na przedruk niż „Arion.“

= **Rys historyi literatury polskiéj** *ułożony według Chmielowskiego, Kuliczkowskiego, Mecherzyńskiego i Nehringa przez Hermana Drobnera.* (Lwów, 1887, str. 84 i 2 karty nlb. Spisu imion). Książeczka ta i co do objętości, i co układu i co do wartości przypomina zarysy tego rodzaju robione przez Poraja. Brak zupełny jakiejkolwiek

metody, brak należytego uzdolnienia do przystępnego wyłożenia treści, nieumiejętność we władaniu językiem i stylem, niedbalstwo w przytaczaniu faktów, tytułów, bardzo często prosta nieznajomość rzeczy odejmują téj pracy wszelkie znaczenie. Ogólny ten sąd dość będzie kilku przykładami poprzéć, ażeby go uzasadnić. Na pierwszéj zaraz karcie, podając charakterystykę „epoki scholastycznéj“ według terminologii Małeckiego (od r. 965 do 1500), popełnia autor dwa rażące błędy, z których jeden dowodzi nieumiejętności formułowania myśli, a drugi—nieznajomości rzeczy. Mówi téż bowiem tak: „Literatura téj epoki jest łacińską, dlatego że nią zajmowali się tylko duchowni cudzoziemcy, przebywający w Polsce“. Autor wié, że słowa te nie mogą się odnosić do całéj epoki scholastycznéj, bo zaraz dodaje: „A kiedy po tych nastąpili księża polscy, to wzwyczajeni w łacinę nią się posługiwali“,—ale nie umiał téj myśli sformułować tak, ażeby jedno pojęcie z drugiém było ściśle połączone. Obok tego zaraz spotykamy twierdzenie, które już żadnego nie posiada uzasadnienia: „Głównym błędem—powiada—było mylne zastosowanie p o j ę ć i d y a l e k t y k i Arystotelesa (czerpanych z l i t e r a t u r y f r a n c.) do wszystkich prawie nauk“. Skąd autor wziął to zdanie, nie wiadomo, ale że nie ma w nim ani krzty prawdy, to pewna. Te z pierwszéj kartki wyjęte próbki, wskazujące jak autor traktuje przedmiot, są tylko zapowiedzią dalszych; książeczka bowiem roi się od fałszywych wiadomości i niewłaściwych wyrażeń. I tak dowiadujemy się, że Witelo napisał 10 t o m ó w o optyce (str. 9), że Dante, Petrarka i Bokacyusz naprowadzili „na myśl poznanie dzieł Rzymian“ (str. 12), że w „epoce klasycznéj“ od r. 1500 do 1820 „język łaciński ustępuje miejsca n i e k i e d y językowi polskiemu“ (str. 13), że w „Wizerunku“ Reja „młodzieniec p o r o z m o w i e z filozofami idzie do piekła, do nieba“, że Marcin Kromer w swojéj historyi polskiéj „użył krytyki w e d ł u g urzędowych aktów archiwum królewskiego“ (str. 20), że naśladowcy poezyi francuskiéj w XVIII wieku i za czasów księstwa warszawskiego dbali „o wykończenie i o piękność wiersza b e z w z g l ę d u n a t r e ś ć“ (str. 31), że Konarski „stawia większość g ł o s u jako formę rządu“ (tamże), że Zygmunt August był „ostatnim Piastem“ (str. 35), że Stanisław Potocki „u s t a n o w i ł Tow. do ksiąg elementarnych“ (str. 41), że poemat liryczny Magnuszewskiego p. t. „Dramat w naturze“ jest rzeczywiście dramatem (str. 65). Ładu w wyliczaniu autorów nie ma najmniejszego; wcześniéj występujący na widownię literacką bywają wspominani późniéj od tych, którzy dopiero po nich przyszli itp.; naśladowcy pomieszani z istotnymi twórcami. O sile zaś autora w rozumowaniu może dostatecznie obja-

śnić następne zdanie o Edmundzie Wasilewskim: „mimo że był tylko urzędnikiem loteryi krajowej, wywierał wielki wpływ na młodzież“ (str. 60). Omyłek w datach i tytułach mnóstwo; kto winien, czy autor czy korektor, wiedzieć niepodobna, ale czynią one wraz z błędami poprzednio wzmiankowanemi książkę zupełnie do użytku wychowawczego niezdatną.

= **Wskazówki metodyczne do nauki początków języka ojczystego w ogólności a do czytania w szczególności** *przez A. Jurgielewicza* (Warszawa, str. 57). W sposób nader jasny, przystępny a systematyczny wykłada autor naprzód zasady nauczania początków języka ojczystego a następnie zastosowanie w praktyce owych reguł ogólnych, o ile się odnoszą do elementarnego zakresu nauki. Podzieliwszy naukę tę języka na ćwiczenia „ustne“ i „piśmienne“, podaje wskazówki, jak należy prowadzić pierwsze. Mają one służyć przedewszystkiém do wyjaśnienia samych rzeczy i zjawisk wraz z podaniem ich nazw, a następnie do wpojenia w umysł dziecka głównych zasad gramatyki i wdrożenia go nie tylko w opowiadanie przeczytanych artykułów, ale także w układanie planu artykułów tych, streszczanie ich i zamienianie jednéj formy stylowéj na drugą. Niepodobna tu podawać szczegółowych wywodów autora, gdyż te mają cechę wykładów praktycznych, których zaletę stanowi umiejętność zwracania uwagi wychowańców na te strony przedmiotu, jakie upamiętnić chcemy w ich umysłach, czy to przez wskazywanie ich czy téż przez dobrze zadawane pytania. Dość będzie powiedzieć ogólnie, że zarówno metoda jak i jéj zastosowanie wybornie się tu przedstawiają i mogą być z istotnym pożytkiem odczytane przez młodszych wychowawców i wychowawczynie. Autor bardzo słusznie domaga się, aby nauka „z poglądu“ czyli, „nauka o rzeczach“ budziła nie tylko czynność rozumową, ale i uczuciową w dziecku, że zatém powinna dotyczyć tych przedmiotów, które są miłe sercu dziecka, powinna podtrzymywać fantazyą jego uosabianiem rzeczy martwych. Równie słuszne, prawdziwie cenne są jego przestrogi metodyczne, gdy mówi, że nic zgubniéj nie wpływa na charakter uczniów nad to, jeśli nauczyciel dziś lekceważy, co wczoraj za ważne poczytywał, gdy jest chwiejny i niestały w swych wymaganiach, gdy albo sam zbyt wiele lubi mówić, albo też zanadto jest milczącym i nie umié dopomódz dzieciom do odszukania tego, czego nie spostrzegają. „Nauczający—powiada p. J.—powinien starać się mówić jak najmniéj (domyśla się : wprost od siebie, narzucając tylko swe zdania), dawać pytania, zniewalające do myślenia i mówienia, rozróżniania przyczyny i skutku, rzeczy głównych i podrzędnych, logicznego porządku myśli, charakteru osób i myśli

głównéj, jednem słowem analizować rzecz tak, aby następnie łatwo było pojedyncze części połączyć w całość" (str. 24). Słowa te poprzedzają szereg wskazówek, jak ma być prowadzoném czytanie ciągłéj treści. Autor wybrał tu kilka typowych rodzajów (powiastka, wierszyk, opowiadanie historyczne, rozprawka naukowa i w końcu oddzielnie bez należytego upowodowania: opowiadanie z historyi świętéj), ażeby na nich wykazać, co należy robić, aby osiągnąć jaknajwiększą korzyść wychowawczą z lektury. Potrzebném by tu było ostrzeżenie, iż przejście od powiastek i wierszyków do opowiadań historycznych i rozprawek wymaga znacznego rozwinięcia umysłu dziecinnego, a więc chronologicznie musi być wiele późniejsze; a nadto, zdaniem mojém, nieodzownem byłoby obok powiastek i wierszyków wprowadzić na tym pierwszym stopniu nauki czytania „opisy" z natury (królestwo zwierzęce, roślinne, kopalne) i z mniéj skomplikowanych objawów życia ludzkiego, ściśle wiążących się z przyrodą (praca w polu, ogrodzie itp.).—O ćwiczeniach piśmiennych mówi p. J. ogólnikowo tylko na początku swéj książki; rozwinięcie podanych tam punktów byłoby wielce pożądaném.—Całą pracę wytrawnego pedagoga możemy szczerze polecić wychowawcom; pragnęlibyśmy tylko na przyszłość, ażeby autor unikał terminu „przedstawienie" (na str. 53 dwukrotnie) zamiast „wyobrażenie", które jest już w psychologii naszéj stanowczo przyjętém, oraz niepoprawnych pod względem połączenia zwrotów w tym np. rodzaju: „W tym artykule są dowodzenia, przypuszczenia, pytania, t a k j a k dwóch ludzi rozmawiających, rozprawiających" (str. 51).

= **Gaston Paris. Manuel d'ancien français. La litterature française au moyen âge (XI—XIV siècle).** (Paris, 1888, str. VII+292).—Pod tym tytułem ukazała się książka znakomitego badacza średniowiecznéj literatury francuskiéj. Dziełko powyższe jest p o d r ę c z n i k i e m, ale podręcznikiem ściśle naukowym, opartym w znacznéj części na samodzielnych studyach autora i na zdobyczach nauki, która mu bardzo wiele zawdzięcza. Dzieła G. Paris'a stanowiły zawsze w badaniach średniowiecznych zwrot poważny. Od trzydziestu prawie lat pracując, poruszył on prawie wszystkie kwestye romańskiéj filologii i literatury, stworzył całą szkołę. Specyalne czasopisma zawdzięczają mu wiele artykułów, a „Romania" — swe istnienie. Gaston Paris zapowiada oprócz niniejszego zarysu literatury: 1) Gramatykę staro-francuską, 2) Wybór tekstów i 3) Słownik. Pisząc zarys historyi literatury, o którym mowa, uczony autor zasięgał rady kolegów-uczonych; na czele stawia Pawła Meyera, z którym go łączą stosunki przyjaźni i godnéj uznania rywalizacyi

(prawie jednocześnie wystąpili na pole naukowe). Temu uczonemu poświęca autor swe dziełko. Nie wdając się w szczegółowy rozbiór téj książki, która, jako owoc długiéj pracy i wielkiego talentu, o całe niebo przewyższa istniejące dzisiaj kompilacye, zwracamy uwagę czytelnika na klasyfikacyą materyału. Wiadomości bibliograficzne, aczkolwiek nie są wyczerpujące, ułożone są tak systematycznie i wybór zrobiony tak umiejętnie, że zupełnie wystarczają dla początkujących. *L. Sz.*

= **Prof. Dr. R. Heinzel. Ueber die Walthersage** *(Sitzungsberichte d. kais. Akademie der Wissenschaften in Wien. Band CXVII) 1888.*— Ciekawe podanie o Walterze z Tyńca zyskało w książce (100 str.), któréj tytuł podaliśmy, nader cenny nabytek. Autor rozprawy, profesor uniwersytetu wiedeńskiego, znakomity filolog, zestawił tu prawie wszystko, co literatura o Walterze i Helgundzie zachowała. Nader ciekawym i ważnym ustępem rozprawy (od str. 27) jest analiza naszych podań o Walterze z Tyńca. Bogufał, Paprocki, Bielski i inni znani są prof. H. ze źródeł, a teorye niemieckich uczonych Grimma, Mullenhofa, Liebrechta, Riszki, Rydberga etc. i naszych Karłowicza i Nehringa (1) należycie ocenione zostały. Brak tendencyjności, która wyraźnie cechuje niektóre rozprawy niemieckie (np. Riszki i Rydberga), gruntowność i erudycya, zalecają książkę prof. Heinzela z najlepszéj strony. Możemy ją polecić specyalistom i sądzimy, że byłaby nader ciekawą i dla szerszéj publiczności, któréj podanie o Walterze z Tyńca, popularyzowane przez K. Wójcickiego, Szajnochę, Karłowicza i Nehringa, musi być znane. *L. Sz.*

= **Historya Żydów od Mojżesza do epoki obecnéj.** *Opracował podług najwiarogodniejszych źródeł Hilary Nussbaum.* (Warszawa, nakładem księgarni J. Majznera, 1888, 8-vo. Tom I, str. 266). — Autor niniejszéj książki nie po raz pierwszy występuje na niwie piśmienniczéj. Począwszy od r. 1880, ukazywały się kolejno następne jego prace: „Z teki weterana warszawskiéj gminy starozakonnych“, „Szkice historyczne z życia Żydów w Warszawie“, „Leon i Lajb, studyjum religijno-społeczne“ i „Jakób Izraelewicz, szkic powieściowy z życia Żydów“. Obecnie p. H. Nussbaum występuje z dziełem poważniejszych rozmiarów, skreślona bowiem dotąd przez niego historya Żydów do XIII wieku ery chrz. zajmie trzy tomy, a czasy późniejsze w dalszych dwóch lub trzech tomach zawarte zostaną. — Z przedmowy dowiadujemy się, z jakich źródeł autor czerpał treść do swego dzieła, że ją opracował samodzielnie, że porządek chronologiczny faktów oparł na historyi Grätza, a korzystał też wiele z dzie-

(1) Prace ich drukowało „Ateneum“ w 1881 i 1883 r.

ła Josta. — Pobudką, która go skłoniła do podjęcia téj pracy, było przekonanie, „że Żydzi tutejsi powinni raz zerwać z starą rutyną kształcenia się na wzorach niemieckich, lecz czerpać oświatę zswojskiéj krynicy, że nie powinni dążyć do pokrzepiania ducha w zagranicznych zdrojowiskach, lecz orzeźwiać swój umysł w źródłach krajowych.“ Rozumiejąc zacną myśl, która się w powyższych słowach autora ukrywa, nie będziemy już polemizować z rezonowaniem jego o dziele Renana, ani dotykać zasadniczego stanowiska, z jakiego dzieje Izraelitów traktuje; względy praktyczne mogą pewien oportunizm tłómaczyć. Oportunizm wszelako powinien był powstrzymać autora od takiego np. zdania, że społeczność żydowska „jak proch zdeptana walczy jeszcze o swoję bytność“,— jątrzenie bowiem serc i bez tego rozgoryczonych nie wchodziło przecież do programu dzieła; a rzeczywistość nie pozwala zapominać, że równouprawnienie istnieje obecnie w większości państw europejskich. Nie należało też pisać, że „historya Żydów, to historya cierpień i krzywd wyrządzanych ludowi przez poczet królów i papieżów, wypełniających sobą chronologiją całéj historyi powszechnéj“,—bo w dziejach każdego ludu więcéj klęsk aniżeli powodzeń naliczyć można; bo żaden naród nie miał serdecznie życzliwych sobie sąsiadów; bo historyja Żydów, tak jak ją p. Nussbaum opowiada, zawiera nietylko cierpienia, ale i tryumfy; jeśli zaś zwycięstwa Nebuchadnezara były dla Żydów nieszczęściem, to również zwycięstwa Izraelitów znaczyły się wytępienieni mieszkańcow Jerycha i Aj, klęską Amalekitów, niewolą Chytejczyków, Chiwytytów, Ferezejczyków, Amorejczyków, Jebuzytów, a wygnaniem ojczyzny Girgaszeitów. Wolelibyśmy przeto, aby na dwóch pierwszych stronach książki nie było ani spisu tych osób, które autor uznaje za prześladowców, ani listy dobroczyńców. W liczbie pierwszych pomieścił p. Nussbaum ośmnastu monarchów i dwóch papieżów, w szeregu drugich znajdujemy władców świeckich ośmnastu i papieżów czterech; gdyby więc na tém się opiérać, bilans nie byłby dla Żydów fatalnym. Wprawdzie owe rejestra dalekie są od ścisłości. Mamy tu „Faraona“, tępiciela Izraelitów, ale daremnie szukamy innego Faraona, który wyniósł Józefa do wysokiéj godności, a dla rodziny jego nie skąpił łask swoich. W liczbie prześladowców pominięto np. Filipa IV Pięknego, który w r. 1290 wygnał Żydów z Francyi, zabrawszy im wprzódy majątki; wśród dobroczyńców zaś pomieszczono Bolesława króla Węgier, który nigdy nie istniał, a nie zrobiono wzmianki (w dziele pisaném po polsku tak stosownéj) o Bolesławie Pobożnym księciu wielkopolskim, który w r. 1264 wydał przywiléj dla Żydów, — o ks. Bolku I świdnickim, który postąpił podobnież w r. 1295, — o ks. Bolku II, który to po-

twierdził i rozszerzył, — o Henryku III ks. głogowskim, nadawcy przywileju żydowskiego z r. 1299. Opuszczenie owych dwóch rejestrów byłoby wreszcie uchroniło od przemianowania margrabiego Zygmunta na „hrabiego“ brandeburskiego. — Szczegółowy rozbiór dzieła, opartego i na obcéj nam zupełnie literaturze rabinicznéj, przechodziłby nasze siły. Możemy tylko wyrazić żal, iż kwestye etnograficzne, o których dowiadujemy się tyle ciekawych rzeczy z małéj książeczki Ch. Clermont-Ganneau (*La Palestine inconnue*. Paris, 1876), zostały w dużém dziele p. Nussbauma całkiem pominięte Autor opowiadając wypadki z historyi izraelskiéj, dodaje częstokroć swoje nad niemi refleksye, niekiedy dość długie. Tak na str. 19—20 zastanawia się nad tém, o czém rozmyślał Mojżesz, będąc samotnym pasterzem owiec w kraju Midian. Brak nam źródeł, któreby zmuszały do zaprzeczenia autorowi w jego domysłach, ale brak téż jakichkolwiek wskazówek na poparcie tych domysłów. W innéın miejscu (str. 42—43) stawia sobie pan Nussbaum pytanie: „jakiém p r a w e m Izraelici zawładnęli Palestyną?“ Do odpowiedzi, które na to dają „gorliwy wyznawca Mojżeszowy“ albo „liberalny (?) egzegeta biblijny“, autor w charakterze historyka dołącza swoje zdanie, że stało się to „p r a w e m ogólném rządzącém rozwojem ducha ludzkości.“ Mniemamy, że zdanie to nie zawiera wcale odpowiedzi na powyższe pytanie, w którém chodzi o podstawę jurydyczno-etyczną podboju, nie zaś o wytłómaczenie historyozoficzne tego, że podbój się udał. Dajmy na to, że ludy kananejskie „znały tylko siłę brutalną“; nie wynika jednak z tego, żeby koniecznie podbijać je należało, a zresztą i podbój był objawem przewagi fizycznéj. Ludy, składające dzieci na ofiarę bóstwom, niekoniecznie „musiały ustąpić z areny świata“: wszak biblia opisuje nam ofiarę Abrahama, wszak składanie dzieci na ofiarę w różnych okolicach globu ziemskiego trwało długo i trwa dotąd. — Pozwolimy sobie wreszcie zaznaczyć, że góra Synaj leży nie w „środku“ Arabii skalistéj (str. 24), lecz w południowo-wschodnim jéj końcu; że jeśli Mojżesz osadził na wschód Jordanu połowę pokolenia Manassesa (str. 31—32), a Jozue przy drugim podziale kraju rozmieścił „7 i pół pokolenia“ (str. 39), wśród których była oczywiście druga połowa Manassesa, to należało wyjaśnić, w jaki to sposób przy pierwszym podziale Jozue uposażył pokolenie Józefa, w którém się, prócz Efraima mieściły obie Manassesa połowy.— Język autora jest częstokroć kwiecisty ale niezawsze poprawny. Nie mówi się „pielęgnować ognisk“ (str. 14), zamiast „w przestrzeni“ (27) należało powiedzieć: w przerwie,—zamiast „nosząc“ i „wożąc“ (28), niosąc i wioząc, — zamiast „przenikać“ (32) przeniknąć.

Korekta przezwała Suidasa „Luidasem“ (42), a z Lacus Asphaltites zrobiła „Asphalites (36). Cóżkolwiek bądź, witamy pracę pana Nussbauma przyjaźnie i życzymy jéj rozpowszechnienia w sferach, dla których jest przeznaczona.

= **Kalendarz Powszechny** na rok 1889, wydany nakładem księgarni *Teodora Paprockiego i S-ki*, w dogodnéj formie książki *in 8-vo*, zawiera poezye i nowele, „strofy humorystyczne“, wskazówki gospodarskie dla właścicieli ziemskich, wykaz jarmarków i ogłoszeń. Jako premium bezpłatne dodano dwa kalendarze: ścienny i kieszonkowy.

= Od nowego roku 1889 wychodzić ma w Warszawie nowa gazeta **„Ziarno“**, „najtańsze codzienne pismo polskie, poświęcone sprawom społecznym, politycznym, ekonomicznym i literackim“, pod redakcyą p. *J. K. Korwin-Piotrowskiego*. W numerze okazowym, który wyszedł z pod prasy 20 listopada r. b. redakcya ogłosiła konkurs nieustający na kroniki tygodniowe, objętości 250 wierszy druku: najlepsza otrzymywać będzie honoraryum rs. 15.

= Z dniem 1-go stycznia 1889 r. zacznie wychodzić nakładem księgarni J. K. Żupańskiego a pod kierunkiem komitetu redakcyjnego, składającego się z pp. D-rów Chłapowskiego, Kaczorowskiego, Koehlera, Święcickiego, Wicherkiewicza i Zielewicza z Poznania i D-ra Szumana z Torunia czasopismo lekarskie pod tyt. **„Nowiny Lekarskie“**, organ wydziału lekarskiego Towarzystwa Przyj. Nauk Poznańskiego. Czasopismo to wychodzić będzie w miesięcznych zeszytach o 2—3 arkuszach druku, w formacie większéj ósemki i to dnia pierwszego każdego miesiąca. Zapisywać je można w ekspedycyi księgarni J. K. Żupańskiego, Poznań, Stary Rynek, pałac hr. Działyńskich. Przedpłata wynosi rocznie 8 marek, w Austryi 5 złr., w cesarstwie Rosyjskiém 4 ruble. Ogłoszenia przyjmują się w ekspedycyi (w księgarni wyżéj wypisanéj) za opłatą 30 fen. od wiersza petytowego. Pierwszy numer wyjdzie zamiast 1-go stycznia 1889 r., już 15 grudnia 1888 r.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Jeszcze o kanalizacyi. — Przyjazd p. Lindleya a odjazd p. Höhmana. — Wspomnienie o dżumie w Wetlance. — Suchoty kieszeniowe. — Rozmaite zarzuty dzisiejszych przeciwników kanalizacyi. — Rola przymusu w sprawach interesu publicznego. — Rola jaką kredyt w takich sprawach odegrać powinien. — Wystawa przemysłowa. — Wpływ wczesnych mrozów na obroty handlowe. — Projekt pana Juszczyka.

Sprawa kanalizacyi wciąż jeszcze zaprząta mieszkańców naszego miasta, a w szczególności właścicieli domów. Odbiciem tego zajęcia są pojawiające się ciągle artykuły bądź polemiczne, bądź tylko informacyjne, w organach prasy warszawskiéj umieszczane. To ogólne zainteresowanie kanalizacyą, jak również kilka faktów związek z nią mających, a zaszłych w ubiegłym miesiącu, skłoniło i nas do tego, że raz jeszcze do téj kwestyi dnia powracamy.

Otóż w ostatnim miesiącu zaszły, niespodzianie dla publiczności Warszawy, wypadki następujące: 1° p. Lindley starszy był aż dwa razy w Warszawie, 2° p. Höhman został z posady pomocnika inżyniera kanalizacyi usunięty i podobno już wywędrował z niepokornego miasta, które ośmieliło się głosić, że potrzebuje do prowadzenia kanalizacyi porządnych inżynierów, ale nie nauczycieli połajanek niemieckich i sztuki jak się zachowywać... nie należy, 3° zastępstwo starszego Lindleya objęli inżynierowie—p. Grotowski i p. Lindley młodszy, którzy mają rozpocząć czynności od przerobienia na nowo kanałów, przez p. Höhmana niezgodnie z planem pobudowanych.

Wszystko to, a zwłaszcza szczere przyznanie p. Lindleya starszego, że wadliwe pobudowanie niektórych kanałów z przyczyny jego niedozoru i nieodpowiedniego wyboru zastępcy wynikło, następnie zaś deklaracya, że to, co było źle zrobione, p. Lindley na swój koszt przebudować gotów, rozbraja nas zupełnie. Kto tak swe winy uznaje i naprawia, temu słów wyrzutu oszczędzić można.

Zdawałoby się, że w chwili obecnéj, gdy p. Lindley starszy przystępuje do naprawienia błędów w prowadzeniu kanalizacyi popełnionych, gdy „dobrego niemca“, (my wiemy co znaczy w stosunku do nas *ein guter Deutsche*) ale marnego zwierzchnika kanalizacyi usunięto, gdy wraca do nas znany nam i sympatycznie się zachowujący Lindley młodszy, gdy cieszący się uznaniem inżynier Grotowski przenosi się do zarządu kanalizacyi, jednem słowem w chwili, gdy wszystko rokuje, że kanalizacya ma wejść na dawniejsze dobre tory, utyskiwania prasy i publiczności ustać by powinny. Tymczasem *larum* trwa daléj. W czém tego przyczyna?

Żeby ją zrozumiéć, przebiegnijmy myślą historyę sprawy kanalizacyjnéj w Warszawie.

Czy pamiętacie panowie jakiéj okoliczności zawdzięczamy właściwie dzisiejsze roboty kanalizacyjne w naszém mieście? Dżumie w Wetlance. Pod wpływem obawy o zawitanie i do nas tego strasznego gościa, otrząsnęliśmy się na chwilę ze zwykłéj ospałości w sprawach publicznych i utworzony został komitet obywatelski z podkomitetem specyalistów. Możebyśmy i wówczas poprzestali na wzdychaniu i wyrzekaniu na wiatr wiejący nam wciąż w oczy, gdyby nie prezydent miasta, generał Starynkiewicz, który do działalności pobudzał i sam w niéj nie ustawał. Tak czy inaczéj, utworzony przy p. prezydencie podkomitet zajął się zbadaniem warunków sanitarnych miasta i przedewszystkiém ogłosił że zwykła śmiertelność Warszawy przewyższa blizko dwa razy śmiertelność innych miast europejskich, że wyższą jest niż w miastach o gorszych warunkach przyrodniczo-klimatycznych, np. niż w Petersburgu, że śmiertelność ta dochodzi u nas do olbrzymiéj cyfry 43 rocznie na tysiąc mieszkańców i że przyczyną tak nadmiernéj śmiertelności jest przedewszystkiém i główne brak porządnych wodociągów i brak kanalizacyi spławnéj.

Wówczas zaczęliśmy krzyczeć o kanalizacyę, żądaliśmy jéj natychmiast,—wypowiadaliśmy gotowość do wszelkich ofiar. I oto kanalizacya jest dziś faktem na wpół dokonanym, na wpół dokonywającym się. Ale dziś już dziewica morowa nie powiewa czarną płachtą w stronę naszego miasta i wspomnienia obawy przed nią osłabły, a natomiast cierpimy obecnie na chorobę inną, okropną, zabójczą i cierpimy na nią epidemicznie i chronicznie od dłuższego już czasu wszyscy prawie, z niewieloma wyjątkami.

Chorobą tą są... suchoty kieszeniowe. Ci nawet, którzy nią dotknięci nie są, drżą wobec widoku ofiar srożącéj się epidemii, bardziéj niż ongi przed dżumą. I oto pod wpływem téj obawy wyrobiła się w nas chorobliwa mania oszczędnościowa. Powiadam:

chorobliwa, bo pomija ona nieraz pozycye, gdzie rzeczywiście oszczędności czynić by można i należało, a dotyka spraw pierwszorzędnéj doniosłości społecznéj i prowadzi do strat milionowych dla oszczędności groszowych. Mania ta—jak wszelka mania zresztą—jest siebie nieświadoma, wskutek czego dotknięci nią są przekonani, że walczą w imię hygieny, zasad techniki, itp. wówczas gdy ukrytym motorem podjętéj przez nich walki jest nerwowa obawa.... suchot kieszeniowych. Przyznaję chętnie, że jestto obawa bardzo dla każdego dotkliwa, ale trzeba ją hamować i leczyć, gdy zaczyna przeszkadzać jasnemu i rozsądnemu na rzeczywistość zapatrywaniu. Podobnie jak podczas dżumy miał podobno pewien bankier, z dowcipu znany, schować się do... jakby to powiedziéć..... no do jednego z takich lokali, w jakie podobno wkrótce p. Lubecki ma uprowidować Warszawę, a schował się ów bankier jakoby ze strachu na widok lekarza, który miał zamiar dopiero jechać do Wetlanki, tak też i obecnie nie tylko widok rzeczywisty, ale hallucynacya tylko dziur w kieszeni, każe niektórym panom polemistom w sprawie kanalizacyi zapędzać się do... do takich miejsc, którychby zapewne za cel swych stałych dążeń obrać nie chcieli.

Nie trzeba być technikiem, ani hygienistą, żeby zrozumiéć, iż niektórzy panowie polemiści dążą nieświadomie do wpakowania całéj kanalizacyi w błoto i że potępianie przez nich w czambuł całéj kanalizacyi tylko w manii chorobliwéj źródło brać może. Może oczywiście jakiś szczegół w urządzeniach kanalizacyjnych ulegać dyskusyi, może być nawet wprost wadliwym, wątpliwości jednak chyba nie ulega, że jak na dzisiejsze stosunki bardziéj kompetentnych w sprawach kanalizacyjnych ludzi od Lindley'ów znaleść w całéj Europie trudno. Lindley'owie pracowali przy kanalizacyi Londynu, kanalizowali Hamburg i Frankfurt nad Menem. Kanalizacya w tém ostatniém mieście za wzór względnéj doskonałości przez najgłośniejszych lekarzy i hygienistów (Virchow, Petenkoffer, Erisman i inni) jest uważana i za najlepszą na zjazdach hygienicznych lat ostatnich uznana. Można więc było robić zarzuty Lindley'om że zbyt mało czasu i uwagi nam poświęcają, że niefortunnych wybierają zastępców; ale dziś, gdy zastępcy zmienieni, gdy omyłki na koszt Lindley'ów się naprawiają, gdy jeden z Lindley'ów ma na czas dłuższy osiąść w Warszawie, czy możemy z przeświadczeniem kompetencyi robić jakiekolwiek zarzuty ogólnemu planowi kanalizacyi pod względem technicznym lub hygienicznym? Umiejętność kanalizowania nie jest nauką wyłącznie teoretyczną, którąby pp. inżynierom z katedry wykładano. To jest sztuka w znacznéj części na doświadczeniu, na praktyce oparta. Gdzież są

ci, obeznani z robotami kanalizacyjnemi specyaliści krytycy, którzyby więcéj od Lindley'ów, albo choćby w przybliżeniu tyle co oni robót kanalizacyjnych wykonali? *La critique est aisée*, *mais l'art est difficile*, powiada przysłowie. Chcielibyśmy wiedzieć kogo pp. krytycy, odpowiedniejszego niźli Lindley'owie do kierownictwa robót kanalizacyjnych wskażą. Robimy tu oczywiście restrykcyę : o ile sami Lindley'owie będą naprawdę tych robót pilnować i niemi kierować. Jeżeli zaś będą oni odtąd pilniejsi, niż w ciągu ostatniego roku, to uwagi nad ich robotami mogą chyba dotyczyć jakichś drugorzędnych szczegółów wykonania i mogą jeszcze dotyczyć cen robót kanalizacyjnych.

W przeszłym zeszycie „Ateneum" wspominaliśmy już, że p. prezydent miasta przedsięwziął środki celem zbadania rzeczywistéj ceny robót kanalizacyjnych miejskich. Najgłośniejsze jednak krzyki, robót kanalizacyjnych dotyczące, rozpoczynają się od chwili zapowiedzenia pewnych środków, przynaglających właścicieli domów do kanalizacyi wewnątrz posesyi. Od téj chwili dopiero, gdy pp. „kamienicznicy" zaczęli przewidywać konieczność zajrzenia do swych kieszeni, odrazu kanalizacya zrobiła się w ich oczach niedołężną, a nawet wprost szkodliwą,—odtąd dopiero posypały się całym gradem zarzuty techniczne i hygieniczne. Gdyby się te roboty dokonywały o lat dziesięć wcześniéj, kiedyśmy w mniejszym stopniu byli chorzy na suchoty kieszeniowe, a zaraza morowa zaglądała nam w oczy, zakrzyczelibyśmy oponentów. Umielibyśmy wykazać rozmaite zyski, płynące ze zdrowotności publicznéj: w usunięciu kosztów leczenia, w powiększeniu zdolności do pracy, w uratowaniu zdrowia, w przedłużeniu życia mnóstwa jednostek;—wykazalibyśmy bezpośrednie, nawet pieniężne, jeśli nie zyski, to kompensaty dla pp. właścicieli domów w większéj wypłacalności zdrowych, a więc zdolnych do pracy lokatorów, w zmniejszeniu wydatków na koszta wywózki nieczystości, a w końcu zmusilibyśmy najbardziéj upartych do poddania interesów osobistych racyi wyższéj, racyi bezpieczeństwa publicznego wobec chorób zakaźnych i epidemicznych.

Dziś, kiedy niebezpieczeństwa bezpośredniego epidemii niema, a istnieją tylko mniéj uderzające w oczy fenomena chorobowe, oburzamy się na myśl użycia jakiegokolwiek przymusu względem pp. właścicieli domów, widząc w tém skrępowanie swobody osobistéj. A jednak na całym świecie, we wszystkich miastach zachodniéj Europy przymus w sprawach hygienicznych istniał i istnieje. W Anglii, w téj szczycącéj się swobodami indywidualnemi i nietykalnością mieszkania prywatnego „królowéj mórz", urzędnik hy-

gieniczny ma takie prawa, których policeman w drobnéj nawet cząstce nie posiada. Urzędnikowi hygienicznemu wolno jest w każdéj porze wejść do mieszkania prywatnego i oglądać najskrytsze zakątki, jak np. łazienki.

Co do kanalizowania posesyi, to wszędzie na zachodzie przymuszano do niego albo drogą prostego nakazu prawnego, lub administracyjnego, albo szeregiem — powiedzmy wyraźnie—takich szykan, że te do przeprowadzenia kanalizacyi domów zmuszały ich właścicieli, a więc drogą przymusu zamaskowanego.

Trzeba postawić kwestyę jasno, że skanalizowanie domów jest pewnego rodzaju wywłaszczeniem właścicieli domów z cząstki ich własności na rzecz użyteczności publicznéj. Mówimy „wywłaszczeniem“ dla tego, że wydatki na skanalizowanie nie opłacają się w powiększeniu cyfry dochodu, a przynajmniéj nie opłacają bezpośrednio, całkowicie i natychmiastowo. Nim więc przyjdą korzyści pośrednie, tymczasem żądamy od właścicieli domów ofiary na rzecz dobra publicznego. Znajdą się zapewne jednostki, które taką ofiarę poniosą dobrowolnie, ale większość bez przymusu jéj nie dokona.

Dla wielu jednak właścicieli obdłużonych domów, takie żądanie przymusowéj ofiary równa się podaniu im noża i żądaniu, żeby się dla względów interesu ogólnego zarżnęli. Ponieważ mieszkamy nie w Japonii, nie dziwmy się przeto, że amatorów rozprucia sobie wnętrzności, lub poderznięcia gardła nie znajdujemy.

To téż we wszystkich sprawach, w których dobro publiczne wymaga wywłaszczenia jednostek, konieczna jest zarazem pomoc publiczna, bądź to w formie zapłaty, bądź w formie dogodnéj i taniéj pożyczki.

Otóż w wynalezieniu źródła i formy takiéj taniéj, a dogodnéj pożyczki leży węzeł gordyjski całéj sprawy kanalizacyjnéj.

Gdyby dotąd obowiązywały u nas dawne przepisy kodeksu Napoleona o t. zw. *plus-valeur*, przez późniejsze prawo hypoteczne zmienione, lub téż gdyby hypoteka nasza przyjmowała zasadę hypoteki pruskiéj, która pozwala w dogodny dla właścicieli sposób wyjednywać pierwszeństwo hypoteczne dla nakładów wartość nieruchomości podnoszących, to byśmy tę zasadę i te przepisy do pożyczki kanalizacyjnéj zastosować mogli.

Skoro jednak hypoteka nasza wymaga bezwarunkowo formalnego i wyraźnego zgodzenia się wszystkich wierzycieli hypotecznych na umieszczenie pożyczki na wyższym przed nimi numerze, to chyba jedynym sposobem zabezpieczenia pożyczki kanalizacyjnéj byłoby zastosowanie do niéj a raczéj utworzenie przepisów na zasadzie t. zw. „przywilejów“ i ściąganie następne rat pożyczko-

wych na równi z podatkami rządowymi, korzystającymi z pierwszeństwa przed wszystkiemi sumami hypotecznemi.

Rozwinięcie szczegółowe sposobu wykonania téj myśli przekroczyłoby ramy kroniki „Ateneum". Projekt odpowiedni mógłby być wypracowanym przez władze miejskie, łącznie z komisyą z finansistów i prawników złożoną, a następnie przedstawiony na zatwierdzenie władzy prawodawczéj.

* * *

Znowu mamy wystawę przemysłową. Biédnie się ona przedstawia bardzo.

Sądząc z téj wystawy, przemysł nasz bardzo smutnie stać musi. Taką myśl wypowiedziałem jednemu z naszych doświadczonych handlowców, którego przypadkiem na pustkowiu wystawowém spotkałem.

— Przeciwnie. Ubóstwo wystawy dowodzi, że przemysł nasz stoi w obecnéj chwili dobrze, a szczególniéj, że przemysłowcy robią dobre interesa.

— Jak to mam rozumiéć? Jako żartobliwy paradoks?

— Jako najpoważniejszą prawdę. Przemysłowcy nasi rzucają się tłumnie do wystaw tylko w chwilach kryzysu przemysłowego, kiedy zaś interesa ich idą dobrze, wówczas zasypiają. Przypominam panu rok 1883/4, bardzo dla naszych rzemiosł i dla przemysłu ciężki. Wówczas zaczęto szukać nowych dróg zbytu, zwiększono różnorodność wyrabianych przedmiotów po fabrykach i wtedy także obsyłano starannie wystawy. Ale dziś położenie przemysłowców się poprawiło, na wystawę więc zjawiają się tylko ludzie nowi, mniéj znani. A i ci jeszcze nie wszyscy. Czyś pan np. słyszał kiedykolwiek, że w Warszawie istnieją dwie fabryki ołówków? Nie słyszałeś pan. I wielu nie słyszało. Zdawałoby się więc, że właściciele tych fabryk powinniby skorzystać z wystawy i dać publiczności wiedziéć o swém istnieniu. Ale oni o tém nie myślą, bo im się za dobrze dzieje, bo mają zbyt i bez wystawy. Ale niechno im się zamkną dotychczasowe rynki zbytu, wówczas dopiéro rozpocznie się lament i gra w ciuciubabkę. U nas tak zawsze. Dopóki dobrze — śpimy, a kiedy nadejdzie złe, zaczynamy płakać i wyrzekać, że uprzedzili nas mądrzejsi, a zwłaszcza pilniejsi.

— Cóż pan jednak uważasz za ciekawą nowość na obecnéj wystawie?

— Jest tu trochę nowości, ale nie wiele. Zobacz pan wytłaczane wyroby Witkowskiego z fornierów drzewnych, — to może najwybitniejsza jeszcze nowość. Zobacz pan ciekawe wagi syste-

matu Fairbanksa, wyrabiane u Sperlinga. Ćmielów ze swą porcelaną i fajansami ma zdaje się przyszłość przed sobą. Czy pan wiész, że harmoniki, które tu widzisz, stanowią wcale poważną gałąź naszego handlu wywozowego?....

— Wedle tańca i muzyki, to my zawsze jesteśmy majstrzy.......

* * *

Kilka już razy tego roku miałem pokusę zaznaczenia w kronice niezwykłych zmian i zaburzeń meteorologicznych, tylko mię obawa banalności tematu „o pogodzie" wstrzymywała. Ktoby jednak chciał rzucić okiem na skutki, jakie nagłe mrozy w ubiegłym miesiącu a potém odwilże wywołały, ten przestałby kwestyę pogody za banalną uważać. Z chwilą nagłych mrozów statki na Wiśle i Niemnie przykute zostały do miejsca i zamarł odrazu wywóz wodą naszych produktów. Pochwycone znowu w lodowe kleszcze statki, od Astrachania do Carycyna Wołgą płynące z towarami, mającemi podążyć do nas i wogóle na zachód, zatrzymały w drodze transporta bakalii perskich, zboża rosyjskiego i t. d. i t. d. Puściły lody i natychmiast wszystko się ruszyło, a jednocześnie z tym ruchem wznowionym spadła na rynkach zagranicznych cena zboża około 50 kopiejek na korcu. Czy to banalne?....

* * *

P. Juszczyk poruszył kwestyę utworzenia w Warszawie stałéj wystawy wyrobów rzemieślniczych i drobnego przemysłu. Przyklaskujemy całą siłą téj myśli,— jeżeli.... jeżeli to ma być nie zabawka wystawowa, ale wielka stała halla, w którejby, dajmy na to, tak jak w magazynie *„à la bonne menagere"* w Paryżu, albo téż w innych jeszcze większych magazynach można było zaopatrzyć się we wszelkie przedmioty, do domowego użytku potrzebne, — jedném słowem, jeżeli to będzie przedsiębiorstwo handlowe we właściwém tego słowa znaczeniu.

(— X —)

— Otrzymaliśmy następujące zawiadomienie:

„Zarząd Towarzystwa Osad Rolnych krząta się gorliwie około urządzenia jak zwykle w poście r. p. seryi prelekcyi publicznych. Według zasiągniętych wiadomości, serya ta zapowiada się bardzo świetnie, jak to wnosić można z poniższéj listy prelegentów. Dotąd zapewnili swój udział w wykładach: prof. d-r A. Białecki, r. r. stanu Jan Bloch, prof. Fr. Bylicki z Krakowa, literat Donimirski, adwokat

przysięgły A. Jawornicki z Kalisza, prof. d-r baron Lesser z Lipska, d-r J. Ochorowicz z Paryża, literat Wł. Olendzki (Jacek Soplica), adw. przys. Ed. Plebiński, literat H. Sienkiewicz, prof. d-r M. Straszewski z Krakowa, adw. przys. Ad. Suligowski, prof. d-r Szajnocha z Krakowa. Przedmioty wykładów bardzo interesujące, a niektóre w najwyższym stopniu na czasie. Mniemać należy, że oświecona publiczność nasza, tak chętnie gromadząca się na odczytach w sali ratuszowéj i w téj seryi prelekcyi znajdzie pożyteczny i przyjemny posiłek umysłowy, a jednocześnie dostarczy Towarzystwu Osad Rolnych środków do utrzymania Zakładu Studzienieckiego i założenia zamierzonego przytułku poprawczego dla dziewcząt."

Wydawca **W. Spasowicz**. — Redaktor **Piotr Chmielowski**.

